

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

DOLINA LUDZI MILCZĄCYCH

James Oliver Curwood

ROZDZIAŁ I

SPOWIEDŹ MORDERCY

James Grenfell Kent, sierżant Królewskiej Konnej Policji, nie miał cienia wątpliwości. Wiedział, że umiera. Przyjaciela swego, lekarza Cardigana, darzył całkowitym zaufaniem, a Cardigan powiedział, że czas, jaki mu pozostał do życia, mierzyć należy na godziny — być może, nawet na minuty lub sekundy. Wypadek był niezwykły; istniała jedna szansa na pięćdziesiąt, że przeżyje dwa lub trzy dni, lecz nie było szansy najmniejszej, że pociągnie dłużej. Koniec mógł nadejść z każdym nowym oddechem.

Sam Kent nie czuł się wcale jak człowiek umierający. Widział dobrze i rozumował z zupełną jasnością. Ból mu nie dokuczał i tylko chwilami gorączkował trochę. Gdy mówił, głos jego miał zupełnie naturalne brzmienie.

Początkowo, kiedy Cardigan obwieścił mu ponurą nowinę, uśmiechnął się niedowierzająco. Fakt, że zdaniem doktora kula, którą mu przed dwoma tygodniami posłał pijany Metys, drasnęła aortę tworząc groźbę aneurysmu — ani przekonał Kenta, ani go nawet nie zaniepokoił. „Aneurysm” i „aorta” były to słowa obce i wyzbyte treści. Kent posiadał jednak głęboką namiętność docierania do jądra rzeczy i tej cesze charakteru zawdzięczał właśnie reputację najlepszego łowcy ludzi w całej północno-zachodniej dywizji. Natarł więc na doktora, a ten wyjaśnił wszystko.

Jak się okazało, aorta jest główną żyłą prowadzącą do serca. Kula, drasnąwszy, tak silnie osłabiła jej ściankę, że utworzyła się wypukłość w kształcie woreczka. Gdy zaś woreczek ten pęknie — tłumaczył Cardigan — zginiesz natychmiast! — Tu przytknął w palce, by dobitnie treść tych słów podkreślić.

Teraz już rozsądek nakazywał wierzyć. Kent wszakże nie był zbyt przygnębiony, nawet obecnie. Niejednokrotnie dochodził do przekonania, że dramat i komedia ciasno się w życiu wiążą; ileż to razy widział, jak uśmiech przemienia się w łzy i odwrotnie?

Sytuacja bawiła go prawie. Zawsze przecież patrzył na życie jako na głupi żart, ponury nieraz, lecz przynajmniej krótkotrwały. Długie lata zresztą, spędzone na surowych krańcach ziemi, obdarzyły go swoistą filozofią. Był zdania, że egzystencja ludzka jest rzeczą najtańszą. — Byle im dać dość czasu — mówił — dwoje ludzi potrafi ziemię całą zaludnić.

Najistotniejsze było jednak to, że Kent się śmierci nie bał ani w chwili obecnej, ani nigdy przedtem. Ale nie znaczyło to, by życia nie cenił lub by je cenił mniej niż ktokolwiek inny. Z pewnością nawet nikt nie kochał życia tak jak on. Pogodny optymista, pełen wiary w przyszłość i pełen pragnień, lubił słońce, księżyc i gwiazdy, a góry, lasy i prerie wielbił po prostu. Lecz gdy los powiedział mu: koniec — miał dość siły woli, by odejść z tego świata bez jęku.

Siedział teraz na łóżku, wsparty o wysoko spiętrzone poduszki. Nie schudł zbyt wiele wskutek choroby. Smagła płeć szczupłej, dobrze modelowanej twarzy co prawda trochę zbladła, lecz znaczenie było na niej wpływ wiatru, słońca i ognisk obozowych. Bliskość śmierci może tylko nieco przyćmiła jaskrawy błękit oczu. Kent miał trzydzieści sześć lat, ale nie wyglądał na tyle, mimo iż jasne włosy na skroni przetykała mu smuga siwizny. Siedząc, widział przez okno migotliwą wstęgę wielkiej rzeki Atabaski, toczącej leniwy nurt ku Oceanowi Lodowatemu. Słońce świeciło jaskrawo, toteż Kent widział jeszcze za wodą gęsty wał cedrowego boru, faliste roztoki wzgórz i dolin, a słaby wietrzyk niósł mu wonie łąk i lasu, które od tylu lat ukochał.

— To moi przyjaciele najlepsi — rzekł do Cardigana. — Chcę umrzeć patrząc na nich!...

Przysunięto mu więc tapczan do okna.

Tuż przy łóżku chorego siedział Cardigan. Twarz jego, bardziej niż twarze reszty obecnych, wyrażała zwątpienie. Kedsty, inspektor Północno-Zachodniej Królewskiej Konnej Policji, dowodzący dywizją N. pod nieobecność właściwego zwierzchnika, był bardzo blady, bledszy nawet od młodej dziewczyny, która siedząc w kącie przy stole, zapisywała każde powiedziane słowo. Sierżant O'Connor sprawiał wrażenie ogłuszonego. Drobnym, gładko wygolonym misjonarzem katolickim, którego obecności w charakterze świadka Kent zażądał, siedział, mocno splótnięty palce na kolanach, i w milczeniu dodawał usłyszaną opowieść do innych znanych mu tragedii głuszy.

Wszyscy oni, z wyjątkiem stenografistki, byli przyjaciółmi Kenta — serdecznymi przyjaciółmi. Z małym misjonarzem Kent przegawędził niejedną wieczór; z O'Connorem odbył niejedną trudną wyprawę. Oni to przecież schwytali w dorzeczu Mackenzie dwu morderców, Eskimosów, wałęsając się w tym celu przez czternaście miesięcy po najdzikszych ostępach leśnych. Kent bardzo lubił O'Connora — jego czerwoną twarz, rude włosy, szlachetne serce, toteż niezmiernie cierpiał nad tym, iż przyjaźń tę obecnie łamie.

Najbardziej jednak wzruszył Kenta inspektor Kedsty. Dowódca dywizji N. był człowiekiem niezwykłym. Starzec sześćdziesięcioletni, o stalowosiwej czuprynie i oczach prawie bezbarwnych, w których zazwyczaj próżno byś szukał wyrazu roztkliwienia czy obawy — posiadał istic żelazne nerwy. Grupa policyjna pozostająca pod jego rozkazami patrolowała przestrzeń liczącą sześćset dwadzieścia tysięcy mil kwadratowych w najdzikszej części Ameryki Północnej. Obszar ten wybiegał przeszło dwa tysiące mil poza siedemdziesiąty stopień szerokości geograficznej, o trzy i pół stopnia przekraczając Krąg Polarny, a co do wielkości czternastokrotnie przewyższał stan Ohio. Otóż Kedsty był tym, który wykonywał powierzone mu zadanie lepiej niż ktokolwiek inny.

Teraz wszakże, spośród pięciu obecnych mężczyzn, Kedsty zdradzał największy niepokój. Twarz miał szarą jak popiół.

Głos mu się łamał. Palcami nerwowo gniótł poręcz fotela, a żyły nabrzmiewały mu na rękach, jakby miały pęknąć. Kent po raz pierwszy widział, jak się Kedsty poci.

Inspektor dwukrotnie otarł chustką czoło. Nie zasługiwał już na miano, jakie nadali mu Indianie Cree: *Minisak*, czyli skała. Zbroja, której dotychczas nie przebił żaden pocisk, opadła zeń obecnie. Przestał być surowym, chłodnym sędzią śledczym, postrachem zbrodniarzy. Z trudem tylko panował nad nerwami.

— Wiesz oczywiście, co to oznacza dla całego oddziału? — pytał głosem niskim i twardym. — Oznacza to...

— Niełaskę — skinął głową Kent. — Wiem. I będzie to czarną plamą na nieskalanej tarczy naszej dywizji. Nic jednak nie poradzę. Zabiłem Johna Barkleya. Człowiek, który siedzi w areszcie i ma zginąć na szubienicy, jest niewinny. Rozumiem. Przykro wam będzie przyznać, że sierżant policji w służbie Jego Królewskiej Mości jest zwykłym mordercą. Lecz...

— Właśnie że nie zwykłym mordercą — przerwał Kedsty. — Jakiś sam to opisał, zbrodnia popełniona była z rozmysłem, okropna, niewytłumaczalna. Nie działałaś pod wpływem nagłego zamroczenia umysłu. Męczyłeś swą ofiarę. To nie do wiary, doprawdy!

— A jednak to prawda — rzekł Kent.

Obserwował szczupłe palce stenografistki notującej słowa jego i inspektora. Promień słońca muskał jej schyloną głowę, zapalając we włosach czerwone ognie. Wtem dowódca dywizji N. pochylił się nad chorym tak blisko, że prawie dotknął jego twarzy, i szepnął tak cicho, że nie usłyszał nikt z obecnych.

— Kłamiesz, Kent.

— Nie, mówię prawdę — odparł Kent.

Kedsty cofnął się, znów ocierając kroplisty pot z czoła.

— Zabiłem Barkleya tak właśnie, jak to sobie ułożyłem za wczasu — ciągnął dalej Kent. — Chciałem, by konając cierpiał. Nie zamierzam natomiast wyjawić, dlaczego go zabiłem. Ale powód był dostateczny...

Zauważył drżenie przebiegające w tej chwili plecy dziewczyny spisującej jego zeznania.

— Odmawiasz wyjawienia motywu zbrodni?

— Odmawiam stanowczo. Powiem jedno: skrzywdził mnie tak ciężko, że zasłużył na śmierć.

— I składasz to zeznanie wiedząc, że sam masz umrzeć? Cień uśmiechu przemknął po wargach Kenta. Spojrzał na

O'Connora i przez chwilę widział w oczach kolegi błysk dawnej przyjaźni.

— Tak. Doktor Cardigan mnie uprzedził. W przeciwnym razie pozwoliłbym raczej powiesić oskarżonego niewinnie. Ale ta kula przeklęta, zabijając mnie, ocala życie tamtemu.

Kedsty zwrócił się do stenografistki. Dobre pół godziny odczytywała głośno stenogram śledztwa, po czym na ostatniej stronie Kent położył swój podpis. Wreszcie Kedsty wstał.

— Skończyliśmy, panowie — rzekł.

Obecni zaczęli wychodzić; dziewczyna uciekła pierwsza, zdenerwowana do najwyższego stopnia ponurą sceną, w jakiej musiała uczestniczyć. Inspektor był ostatni. Cardigan zawahał się w progu, jakby chcąc pozostać, lecz inspektor niecierpliwie machnął nań ręką i sam zamknął drzwi pokoju. Kent na sekundę jeszcze pochwycił spojrzenie zwierzchnika i aż się z wrażenia wzdrygnął. Kedsty miał w źrenicach nie tylko wyraz grozy, lecz ponadto wyraz zabobonnego lęku.

Chwila była niezaprzeczenie ponura, mimo to Kent uśmiechnął się leciutko. Wiedział, że zgodnie z nakazem prawa, Kedsty poleci teraz sierżantowi O'Connor ustawić pod jego drzwiami posterunek zbrojny. Fakt, iż obwiniony lada chwila umrze, nie zmieniał w niczym regulaminu. A Kedsty był służbistą aż do przesady. Poprzez zamknięte drzwi Kent słyszał niewyraźne głosy. Jakieś kroki oddalały się i cichły. Rozróżnił ciężki tupot wielkich nóg O'Connora; O'Connor zawsze człapał butami, nawet na szlaku.

Wtem po cichu drzwi się otwarły i wszedł ojciec Layonne, misjonarz. Kent wiedział z góry, że tak będzie, gdyż serce ojca

— Nie, nie zapomnę — szepnął misjonarz i odwrócił się.

Drzwi otworzyły się i zamknęły za wychodzącym. W oczach Kenta błysnęła wesoła iskierka; zaśmiał się, ścierając jednocześnie z warg nowe ślady krwi. Sprytnie rozegrał partię. A najkomiczniejsze w tym wszystkim jest to, że nikt na świecie całym nie wie prawdy prócz niego samego — i być może jeszcze jednej osoby.

— Muszą być jednak jakieś sprawy osobiste. Czy nie zechciałbyś mi ich powierzyć?

— Racja — uśmiechnął się. — Pora zrobić testament. Otóż kupiłem tu niegdyś parę skrawków ziemi. Teraz, kiedy kolej z Edmonton niemal już do nas dotarła, wartość działek % siedmiuset dolarów, jakie zapłaciłem za nie, podskoczyła do dziewięciu tysięcy. Chciałbym, żeby ojciec działki sprzedał, a pieniądze użył na cel dobroczynny. Na wspomnienie Indian przede wszystkim. Byli mi zawsze dobrymi braćmi. Jeśli trzeba podpisać jakieś pełnomocnictwo, chętnie uczynię to zaraz.

Oczy ojca Layonne zwilgotniały.

— Bóg ci za to zapłaci, Jimmy — rzekł używając zdrobniałego imienia Kenta. — Sądzę, że przebaczy ci także, jeśli znajdziesz w sobie dość pokory, by Go o to błagać.

— Już mi przebaczył — odparł Kent wyglądając oknem. — Czuję to. Jestem tego pewny, ojczu.

W głębi duszy misjonarz modlił się żarliwie. Wiedział, że wiara Kenta różni się od jego własnej,

mimo to gotów był w każdej chwili udzielić konającemu pociechy religijnej. Po pewnym czasie wstał; w szczupłej, ogorzałej twarzy Kenta siwe oczy patrzyły odważnie, wokół ust zaś igrał pogodny uśmiech.

— Mam wielką prośbę, ojcze — rzekł Kent. — Choćby mi został dzień życia, nie chcę, aby wszyscy przypominali mi o tym. Jeśli dawni druhowie jeszcze zachowali dla mnie przyjaźń, życzyłbym sobie widzieć ich wesołych, rozmownych, dowcipnych. Chciałbym palić fajkę. Chciałbym dostać pudełko cygar. Cardigan nie może już obecnie protestować. Czy ojciec mi te rzeczy załatwi? Ojca usłuchają najprędzej. I proszę mi jeszcze przed odejściem przysunąć tapczan bliżej okna.

Ojciec Layonne spełnił prośbę w milczeniu. Lecz poczucie obowiązku i litość wydarły mu wreszcie te słowa:

— Mój synu, więc się kajasz? Więc żałujesz, żeś zabił Johna Barkleya?...

— Nie, nie żałuję. Musiałem to zrobić. Ale proszę nie zapomnieć o tych cygarach, ojcze.

— Nie, nie zapomnę — szepnął misjonarz i odwrócił się.

Drzwi otworzyły się i zamknęły za wychodzącym. W oczach Kenta błysnęła wesoła iskierka; zaśmiał się, ścierając jednocześnie z warg nowe ślady krwi. Sprytnie rozegrał partię. A najkomiczniejsze w tym wszystkim jest to, że nikt na świecie całym nie wie prawdy prócz niego samego — i być może jeszcze jednej osoby.

ROZDZIAŁ II

DZIEWCZYNA NA ŚCIEŻCE

Za oknem Kenta była wiosna — cudna wiosna Dalekiej Północy, toteż nie zważając na śmierć dławiącą mu piersi, wychylał się z łóżka, wchłaniał wonne, rześkie powietrze i wodził wzrokiem po rozległym krajobrazie.

Przypominał sobie, jak to on sam doradzał Cardiganowi zbudowanie szpitala na tym właśnie wzgórzu, dającym rozległy widok na rzekę i osadę. Był to gmach prymitywny, pozbawiony wszelkich ozdób, nie tynkowany nawet, lecz jakże silnie i słodko woniejący sośniną. Z wnętrza biła wprost nadzieja i pogoda. Jasne belkowanie ścian, pełne krągłych sęków, to znów złotych i brunatnych plam żywicznych, mówiło radośnie o życiu niezniszczalnym; dzięcioły z pobliskiej kniei przylatywały kuć drzewo, jak gdyby stanowiło ono nadal część lasu, rude wiewiórki harcowały po dachu, aż dudnił zabawnie pod miękkim cwałem łapek.

— Chyba tylko niedołęga jakiś mógłby tu umrzeć mając tyle piękna przed oczyma — mówił Kent przed rokiem, gdy wraz z przyjacielem obierali miejsce pod budowę szpitala. A teraz on sam był tym konającą niedołągą...

Wzrokiem obejmował południową stronę, część wschodu i zachodu, a we wszystkich tych kierunkach nie było widać końca kniei. Puszcza stała się niby olbrzymie, pięknie cieniowane morze, żłobiona wgłębieniami dolin, zjeżona szczytami pagórków, aż na horyzoncie zielone czuby drzew wspierały błękitny strop nieba. Kenta niejednokrotnie bolało serce na wspomnienie dwóch wąskich szyn stalowych, metr za metrem i mila za milą pełzających od strony oddalonego o pięćdziesiąt kilometrów Edmonton. Jego zdaniem, równało się to świętokradztwu, przestępstwu wobec przyrody, znęcaniu się nad knieją. Dla Kenta puszcza była czymś więcej niż zwykłym zbiorowiskiem sosen, jodeł, cedrów, topoli i brzoź, czymś więcej niż setką jezior, rzek i błot. Była czymś szczególnym. Kochał ją bardziej niż ludzi. Wielbił po prostu. Sama jej obecność, szept wiatru, w gałęziach, blask słońca w listowiu dodawały mu otuchy w godzinie śmierci.

Przeniósł potem oczy bliżej, na osadę, której domki gnieździły się nad rzeką połyskującą o małe ćwierć mili. Nie tak dawno i tu również szumiała puszcza. Lecz i teraz jeszcze Athabaska Landing stanowiło wrota otwarte na bezmiar Dalekiej Północy. Domy, z rzadka rozsiane, były sklecone prymitywnie, z ledwo ciosanych bali. Ot i w tej chwili nawet dobiegał go szum tartaku tnącego leniwie ciężkie pnie. Nad budynkiem Towarzystwa Zatoki Hudsona łopotał stargany i wypłowywały sztandar amerykański. Szerokie barki, ładowne towarem aż po wręby, odbijały właśnie od brzegu, szukając bystrzejszego nurtu. Prąd niósł je zrazu wolno, potem coraz szybciej, pióra wiosel migotały w słońcu, a załoga na całe gardło rzucała w niebo ulubioną dziką nutę: Pieśń podróżników.

Kenta zdławiło coś za krtań, omal szlochom nie wybuchnął. Miał ochotę wychylić się przez okno i krzyknąć podróżnym słowa pożegnania. Wiedział, że odjeżdżających czekają całe miesiące swobodnej egzystencji pod otwartym niebem. Zmożony tęsknotą i wzruszeniem, Kent przechylił się w tył, na poduszki, i powiekami zakrył oczy.

Myśl jaskrawo i wyraźnie malowała mu to, co traci. Jutro lub pojutrze umrze, a tymczasem załoga płynąć będzie coraz dalej, przez porohy Athabaski, przez Wodospad śmierci, ważyć się zuchwale na przebycie strasznych wirów Paszczy Diabelskiej i ryczących czeluści Czarnej. Przelecą Athabaskę i Rzekę Niewolniczą, wyjdą na wspaniałą Mackenzie, płynąć będą, aż wyświechtany o skały kil ostatniej barki zakosztuje słonych wód morskiego przyływu. Zobaczą Ocean Lodowaty... Gdy

tymczasem on, James Kent — umrze.

Otworzył oczy i uśmiechnął się blado. Berek było szesnaście, a jak wiedział, największą kierował Piotr Rossand. Wyobrażał sobie doskonale, jak potężna, ogorzała pierś Piotra dudni strofami pieśni. O tysiąc mil stąd żona na niego czeka.

Rad był prawie, gdy barki umknęły poza obręb wzroku, a pieśni wioślarzy umilkły w oddaleniu. Nasłuchiwał znów leniwego brzęczenia tartaku; ponad głową, na gontach dachu harcowała wiewiórka, miękko i zabawnie dudniąc polotnymi łapkami. Plama słońca padła na kołdrę. Silniejszy powiew wiatru przyniósł słodką woń żywicy. Wtem drzwi się otwarły i wszedł Cardigan.

Doktor przywitał Kenta z tą samą co zwykle serdecznością. Nie potrafił wszakże ukryć zatroskanego wyrazu twarzy. Przyniósł fajkę i tytoń. Położył je na stoliku przy łóżku, po czym przytknął ucho do piersi chorego.

— Zdajemi się, że chwilami sam nawet słyszę jakiś szmer — ozwał się Kent. — Jest gorzej, prawda?

Cardigan twierdząco skinął głową.

— Palenie może nieco rzecz przyspieszyć — rzekł. — Jeżeli jednak chcesz koniecznie...

Kent wyciągnął rękę po tytoń i fajkę.

— Warto zaryzykować. Dziękuję, stary.

Nabił fajkę. Cardigan potarł zapałkę. Po raz pierwszy od dwóch tygodni Kent wypuścił spomiędzy warg kłęb dymu.

— Barki odplynęły już na północ — odezwał się.

— Towar przeznaczony przeważnie dla Mackenzie — odparł Cardigan. — Daleka droga!

— Najpiękniejsza na całej północy. Przed trzema laty O'Connor i ja odbyliśmy ją z kapitanem Follette. Pamiętasz, Follette i Ladouceur? Kochali obaj tę samą dziewczynę, a jako dobrzy przyjaciele postanowili uczciwie rozstrzygnąć spór. Mieli przepłynąć Wodospad Śmierci. Kto pierwszy wyjdzie na brzeg, do tego dziewczyna należy. I wiesz, Cardigan, co się stało? Follette przybył pierwszy, lecz z głową strzaskaną o skały. Umarł na miejscu. Ale Ladouceur po dziś dzień nie pojął dziewczyny za żonę. Twierdzi, że przegrał zakład, i boi się zemsty z za grobu w razie naruszenia umowy.

Urwał nasłuchując. Z sieni dochodziły ciężkie kroki, coraz bliższe.

— O'Connor — rzekł Kent.

Cardigan zbliżył się do drzwi i otworzył je, właśnie w chwili gdy O'Connor zamierzał pukać. Kiedy drzwi zamknęły się z powrotem, sierżant pozostał sam na sam z Kentem. W jednej potężnej garści trzymał pudełko cygar, w drugiej pęk jaskrawo-czerwonych kwiatów.

— Ojciec Layonne mi to dał, gdy tu szedłem — wyjaśnił kładąc na stoliku jedno i drugie. — Poza tym... poza tym naruszam regulamin przychodząc tu i mówiąc to, co zamierzam powiedzieć. Nigdy nie zarzucałem ci kłamstwa, Jimmy, ale teraz twierdzę, że jesteś łgarz.

Chwytał dłonie Kenta, miażdżąc je w uścisku trwałej przyjaźni. Kent drgnął; czymże był jednak ból chwilowy wobec olbrzymiej radości, jaką jednocześnie odczuł. Bał się przecież bardzo, że O'Connor, na równi z Kedsty'm, odsunie się od zbrodniarza. Zauważył jednak w twarzy i w oczach druha niezwykle wyraz. Sierżant, którego trudno było wyprowadzić z równowagi, zdradzał silne zdenerwowanie.

— Nie wiem doprawdy, co widzieli inni, gdy składałeś swe zeznania, Kent. Być może, ja dojrzałem więcej, ponieważ półtora roku spędziłem na włóczędztwie z tobą. Wiem, żeś kłamał. Co za grę prowadzisz, stary?

Kent burknął coś pod nosem. — Czy znów zamierzasz mnie dręczyć? — spytał wzdychając.

O'Connor jął spacerować po izbie tam i z powrotem. Kent widywał go już tak chodzącego, ilekroć miał jakiś trudny problem do rozwiązania.

— Ty nie zabiłeś Johna Barkleya! — nacierał O'Connor. — Ani ja w to nie wierzę, ani nawet inspektor Kedsty. Mimo to rzecz dziwna...

— Co takiego ?

— Kedsty w błyskawicznym tempie robi użytek z twoich zeznań. Nie wierzę, żeby to było zgodne z regulaminem. A jednak on się niesłychanie śpieszy. Kent, chcę wiedzieć, muszę wiedzieć, czy to ty zabiłeś Barkleya.

— O'Connor, jeżeli podajesz w wątpliwość słowa umierającego, to znaczy, że masz mały szacunek dla śmierci!

— Ach, to tylko wykręty. Zabiłeś go ? Powiedz!

— Tak.

O'Connor siadł ciężko i paznokciem przeciął opaskę na pudełku cygar.

— Czy mogę zapalić z tobą? — spytał. — To mi uspokoi nerwy. Od rana same niespodzianki, i to jeszcze jakie. Poza tym ta dziewczyna...

— Dziewczyna! — wykrzyknął Kent. Siadł wyprostowany i wlepił oczy w O'Connora. Sierżant również uparcie badał go wzrokiem.

— No tak, ty jej nie znasz — rzekł wreszcie, zapalając cygaro. — Ja także nie. Nie widziałem jej nigdy przedtem. I dlatego to Kedsty tak bardzo mnie dziwi. Mówię ci, to coś niepojętego zupełnie. Rano nie wierzył twoim zeznaniom, a jednak wstrząśnięty był do głębi. Ciągnął mnie ze sobą do domu. Żył nabrzmiały mu na karku do grubości mego małego palca. Ale raptem zmienił zdanie i prosił, byśmy razem szli do biura. Jak wiesz, droga wiedzie przez topolowy zagajnik. I tam właśnie stało się to najdziwniejsze.

Ne jestem kobieciarzem, Kent, trudno by mi więc było ją opisać. Ale gdy ją ujrzałem, jak stała na środku ścieżki, o dwa, trzy metry od nas, na jej widok, mówię ci, stanąłem jak wryty. Kedsty zatrzymał się również. Słyszałem, jak wydał coś niby stęknienie, taki dziwny dźwięk, jakby go ktoś niespodziewanie uderzył. Nie mogę ci nawet opisać, jak ta dziewczyna była ubrana, gdyż nigdy w życiu nie widziałem równie pięknej twarzy, włosów i oczu. Nie potrafiłem od niej wzroku oderwać. Wpatrywałem się jak wariat. Ale ona nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi, jak gdybym był tylko powietrzem czy niewidzialnym cieniem.

Patrzyła tylko na inspektora Kedsty i tak patrząc minęła nas z wolna. Nie wymówiła ani słowa, ani słóweczka. Przechodziła tak blisko, że mógłbym jej ręką dotknąć, i ani na sekundę nie odwróciła oczu od inspektora. Gdy znikła, pomyślałem, że zachowaliśmy się jak durnie; przecież nie pierwszy raz w życiu widzieliśmy ładną twarzyczkę. Chciałem to właśnie staremu powiedzieć, gdy...

O'Connor pochylił się nad łóżkiem chorego i tak mocno ścisnął zębami cygaro, że prawie przeciął je na dwie części.

— Słuchaj, Kent, przysięgam, Kedsty był biały jak wapno! W twarzy nie pozostała mu ani kropla krwi, a wpatrywał się wciąż przed siebie, jakby dziewczyna tkwiła tam nadal. Potem stęknął jak człowiek dławiony zморą i wyjąkał:

„Sierżancie, zapomniałem o rzeczy bardzo ważnej. Muszę się raz jeszcze zobaczyć z doktorem Cardiganem. Upoważniam pana do natychmiastowego wypuszczenia na wolność McTriggera”.

O'Connor urwał, oczekując od Kenta słów niedowierzania. Lecz gdy chory milczał, sierżant spytał znowu:

— Jak sądzisz, Kent, czy to polecenie zgadza się z literą prawa ?

— Niezupełnie. Ale skoro pochodzi z ust inspektora, jest prawne samo przez się.

— Toteż usłuchałem go — burknął sierżant. — Ach, gdybyś widział McTriggera! Kiedy powiedziałem mu, że jest wolny, i otworzyłem drzwi, wyszedł po omacku, jak ślepiec. A potem powędrował do biura. Mówił, że zaczeka na inspektora...

— No a Kedsty?

O'Connor zerwał się z krzesła i jął przebiegać pokój, ciężko człapiąc butami.

— Poleciał w ślad za dziewczyną! — wybuchnął. — Nie mógł nic innego zrobić. Skłamał mówiąc o Cardiganie. Nie byłoby w tym nic tajemniczego, gdyby nie fakt, że on ma lat sześćdziesiąt, a ona niespełna dwadzieścia. Jest bardzo piękna. Ale przecież nie z powodu jej urody tak zbladł, jakby miał zemdleć. Mówię ci, w ciągu dziesięciu sekund postarzał o dziesięć lat co najmniej. Oczy jej przeraziły go bardziej niż lufa rewolweru. I zaraz pomyślał o McTriggerze, człowieku, którego twoje zeznanie ocaliło od szubienicy. Czyż nie dziwne jest to wszystko, począwszy od twego zeznania?

— Zupełnie się z tobą zgadzam — przyznał Kent. — Od dawna już to sobie rozważyłem. Widzisz, taki drobiazg jak kula, a ile spowodowała zmian. Gdybym bowiem tej kuli w pierś nie dostał, nie złożyłbym zeznań i niewinny człowiek zginąłby na szubienicy. Ale zrozum, Kedsty jest obecnie wstrząśnięty. Zdarza się przecież po raz pierwszy, żeby członek Północno-Zachodniej Królewskiej Konnej Policji tak swój honor splamił, i trzeba pecha, że to padło właśnie na dywizję naszego starego. Cóż dziwnego, że stracił głowę. Co do dziewczyny zaś...

Wzruszył ramionami usiłując się roześmiać.

— Być może, przybyła po prostu dziś rano na jednej z łodzi płynących w górę rzeki. Czyś nigdy nie zauważył, O'Connor, że słońce przesiane przez liście topoli daje nieraz widmowe oświetlenie?

— Owszem, zauważyłem to, gdy liście są rozwinięte zupełnie, ale nie wtenczas, gdy na drzewach są same pąki. Jeśli nasz stary zbladł, to jedynie z powodu dziewczyny. Jej oczy go urzekły. Ach, żebyś te oczy widział; istne fiołki pełne złotych iskier. Myślałem dotychczas, że tylko czarne źrenice mogą tak płonąć. W inspektora jakby piorun trafił. A co najważniejsze, istnieje tu jakiś związek ze skazańcem siedzącym w celi. Kedsty natychmiast pomyślał o nim.

— To istotnie ciekawe — zauważył Kent. — Więc ta blondyneczka...

— Ależ ona wcale nie jest blondynką! Nigdy w życiu nie widziałem nic równie czarnego jak jej włosy. Co za czarodziejka! Gdybyś ją raz ujrzał, do śmierci byś pamiętał. Z pewnością nie była dotąd w Athabaska Landing ani w okolicy, gdyż słyszano by o niej. Zjawiała się nie bez powodu, sądzę zaś, że osiągnęła swój cel, gdy McTrigger wyszedł z więzienia.

— To bardzo prawdopodobne — przyznał Kent. — Twierdziłem zawsze, że jesteś najlepszym detektywem w naszej dywizji, Bucky. Sprawa jest jednak mocno zagmatwana. Szczęście, że nie mam z nią nic wspólnego.

O'Connor uśmiechnął się złowieszczo.

— Nie masz nic wspólnego? Ha, jestem może ślepy, głupi i posiadam zbyt bujną fantazję, ale oto, co ci powiem: Coś mi się wydaje, że z chwilą gdy Kedsty dziewczynę ujrzał, rad był jak najprędzej McTriggera uwolnić, a ciebie powiesić na jego miejscu. Pojmujesz?

Blady uśmiech przeleciał po twarzy Kenta, rysy jego stwardniały. Skinął głową w kierunku cygar.

— Spróbuję, jak mi też to będzie smakować po fajce — rzekł i przyciął zębami czubek cygara. — Zapominasz, Bucky, że ja nie będę wisiał. Nie mam czasu. Cardigan powiedział, że dożyję do jutra wieczór. Najwyżej do pojutrze rano. Czy widziałeś, jak szkuty Rossanda odpływały na północ? To mi przypomniało naszą jazdę sprzed trzech lat...

O'Connor chwycił dłonią rękę Kenta i aż się wzdrygnął czując jej chłód. Milcząc wstał i wyjrzał oknem. Potem podszedł do drzwi.

— Zobaczmy się znów jutro — rzekł. — Przyjdę cię odwiedzić. Jeśli się dowiem czegoś nowego o tej dziewczynie, to ci powtórzę.

Usiłował parsknąć śmiechem, lecz głos mu się załamał, więc tylko uczynił niewyraźny gest dłonią.

Kent nasłuchiwał potem człapania jego ciężkich kroków, wolno oddalających się w korytarzu.

ROZDZIAŁ III

W OCZEKIWANIU ŚMIERCI

Kent wpatrzył się znów w leżący za oknem krajobraz. Ledwie wszakże O'Connor wyszedł, świat cały uległ nagłej zmianie i mimo postanowienia, by do końca utrzymać nerwy na wodzy, chory uczuł, jak ogarnia go i pochłania niewymowne przygnębienie.

Rozległy przestwór kniei zmieniał szybko ton i barwę pod wpływem nadciągającej burzy. Gaś jaskrawy koloryt dolin i pagórków. Ponura czerń zajęła miejsce migotliwej zieleni. Ściemniały sosny, jodły i cedry. Złote i srebrne błyski topól oraz *brzóz* utonęły w jednolitej szarzyźnie. Mrok coraz głębszy, coraz bardziej złowieszczy, niby welonem okrył rzekę, która przed chwilą jeszcze odbijała przepych słońca i smagłe twarze wioślarzy. A wraz z mrokiem, bliski już i wyraźny, nadlatywał grzmot.

Podniecony poprzednio wyznaniem przedśmiertnym, Kent doznał obecnie po raz pierwszy uczucia samotności. Samotność przygniatała go po prostu. Nie bał się śmierci nadal, lecz część jego stoicyzmu znikła. Rozważał, że trudno jest jednak konać samemu. Ciężar w piersi dokuczał mu bardziej niż przed godziną lub dwiema, myślał więc, że straszno będzie odejść w nieznanie o zmroku lub nocą. Marzył o powrocie O'Connora; Cardigana albo ojca Layonne powitałby okrzykami radości. Najbardziej wszakże w tej męczącej chwili tęsknił do kobiety, owej najdelikatniejszej z istot niosącej z sobą jednak zawsze siły i otuchy.

Walczył z własnym nastrojem. Pamiętał, jak go doktor Cardigan uprzedzał, że nadejdą chwile ogromnego przygnębienia. Pod ręką miał dzwonek, lecz zły na siebie za okazywane tchórzostwo, nie chciał nikogo wzywać. Cygaro mu zgasło, więc je ponownie zapalił. Usiłował skierować myśl ku tajemniczej dziewczynie, którą Kedsty i O'Connor spotkali w topolowym zagajniku. To znów wyobrażał sobie, jak McTrigger, cudem wybawiony od szubienicy, czeka w biurze policyjnym na powrót inspektora. Aż wreszcie rozpętała się burza.

Deszcz lunął jak z cebra, ledwie zaś zabębnił po dachu, drzwi się otworzyły i do izby wpadł Cardigan. Spieszył zamknąć okno. Zabawił potem przy chorym dobre pół godziny. Po jego wyjściu młody Mercer, jeden z dwu asystentów doktora, odwiedzał Kenta parokrotnie. Pod wieczór, gdy zaczęło się już wypogadzać, wrócił ojciec Layonne niosąc testament gotowy do podpisu. Pozostał do zachodu słońca. O zmierzchu Mercer przyniósł choremu kolację.

Po kolacji Kent zauważył, że Cardigan podwaja czujność. Doktor czterokrotnie osłuchiwał pierś pacjenta, lecz gdy Kent zadał pytanie najważniejsze, Cardigan przecząco ruszył głową.

— Nie, Kent, nie jest gorzej. Wątpię, by to się stało dziś w nocy.

Mimo tego zapewnienia Kent widział doskonale, że Cardigan jest coraz bardziej niespokojny. Tłumaczenie było tylko jedno: doktor czuł, że koniec nadchodzi, uważał sobie jednak za obowiązek ludzi chorego do ostatniej chwili.

Kent nie miał ochoty zasnąć. Knot lampy skręcono nisko, tak iż pod szkłem pełzał jedynie słaby płomyk, okno zaś rozwarło ponownie, noc była bowiem cicha i pogodna po minionej burzy. Ulewa tak dalece oczyściła powietrze, że niebo, pełne złotych gwiazd, sklepiało się dziwnie wysoko. Księżyc wstawał późno i Kent obserwował silny jego blask świecący rudawo przez gałęzie. Miasteczko spało już, jedynie parę mdłych światełek migotało wzdłuż łożyska rzeki. Wśród ciszy ogólnej z rzadka dobiegał dźwięk — szczebiot zbudzonego ptaka, ujadanie psa, szczęk targanego przez łódź łańcucha. Na wprost okna dwie strzaskane piorunami jodły sprawiały wrażenie dwu widm

odzianych w białe całuny. Na jednym z drzew sowy uwiły gniazdo. Kent chwycił słuchem niesamowity ich chichot oraz łopot skrzydeł, gdy bawiąc się i ścigając nawzajem, krążyły blisko. Wtem usłyszał ostre kłapanie dziobów. Jakiś wróg się zbliżał, więc sowy gotowały się do obrony. Wydało mu się, że słyszy kroki. W chwili następnej wiedział, że się nie myli. Ktoś okrążał budynek podchodząc do okna. Kent wychylił się przez futrynę i znalazł się twarzą w twarz z O'Connorem.

— Ach, te moje przeklęte nożyska! — burknął sierżant. — Czyś spał, Kent?

— Czuwałem jak te sowy naprzeciwko — zapewnił Kent szczerze.

O'Connor przysunął się jeszcze bliżej do okna.

— Zobaczyłem, że się u ciebie świeci, więc pomyślałem, że czuwasz — rzekł. — Chciałem się tylko upewnić, że jesteś zupełnie sam. Nie chcę, by wiadano, że tu przyszedłem. I wiesz co, zgasz lepiej światło. Kedsty czuwa także.

Kent wyciągnął rękę w kierunku lampy. Na pokój spłynęła głęboka ciemność, łagodzona tylko słabo poświatą księżyca i gwiazd, lecz i tę tłumili częściowo szerokie bary stojącego w oknie sierżanta. Twarz O'Connora słabo majaczyła w cieniu.

— Wiem, że to zbrodnia tak ciebie denerwować, Kent — zaczął O'Connor zniżając głos niemal do szeptu — ale doprawdy, musiałem przyjść. Może ostatni raz mówię z tobą! Coś jest nie tak, jak być powinno. Kedsty chce się mnie pozbyć, ponieważ byłem przy nim, gdy spotkał dziewczynę w topolowym zagajniku. Wysłała mnie służbowo do fortu Simpsona — dwa tysiące mil wodą! To znaczy pół roku, a może i rok nieobecności. Ruszamy motorówką o świcie, by dopędzić szkuty Rossanda. Chciałem cię koniecznie widzieć przed odjazdem. Zawahałem się jednak, skoro ujrzałem światło.

— Rad jestem, żeś przyszedł — serdecznie przerwał Kent. — I Bogu jednemu wiadomo, jak bardzo pragnąłbym ci towarzyszyć. Gdyby nie ta historia w piersi, Bucky, gdybym tylko mógł wstać...

— Gdyby nie ta historia, to bym nie odjeżdżał — znacząco wyszeptał O'Connor. — Gdybyś był na nogach, Kent, niejedno poszłoby innym trybem. Z Kedstym od rana dzieje się coś niesamowitego. To nie ten Kedsty, którego znaleźliśmy wczoraj lub przed rokiem. Jest zdenerwowany i sprawia wrażenie, jakby się ustawicznie czegoś bał. I mnie się boi również. Widzę to doskonale. Podróż do fortu Simpsona to tylko pretekst. Chce się mnie pozbyć. A jednocześnie zabiega o moje względy. Obiecuje mi w ciągu roku awans na inspektora. Wezwał mnie do siebie po południu, przed samą burzą. Od tej pory...

O'Connor popatrzył na siebie, na wysrebrzony księżycem krajobraz, i znów zwrócił się w stronę przyjaciela.

— Od tej pory tropię nieustannie dziewczynę i Sandy McTriggera. Ale znikli, jakby ich ziemia pochłonęła. McTrigger zresztą mógł po prostu uciec do lasu. Dziewczyna intrygowała mnie bardziej. Wypytywałem wszystkich flisaków w przystani. Szperałem wszędzie, gdzie tylko mogła znaleźć pożywienie i przytułek. Dałem nawet napiwek staremu Mooie, żeby przeszukał pobliskie chaszczki. Sprawa jednak wikła się coraz bardziej. Nikt w całym Athabaska Landing nie widział jej na oczy. Brzmi to prawie jak bajka, he? Aż przyszła mi do głowy wspaniała myśl. Już zgadłem bodaj, gdzie się dziewczyna ukrywa.

Kent słuchał słów kolegi z należytyim przejęciem. Pochłonięty opowiadaniem, zapomniał o losie, jaki go czeka. Niejednokrotnie przecież wspólnie z nim rozplątywali najbardziej zawikłane sprawy. W oczach jego zamigotał teraz dawny płomień. Śmiejąc się rzekł:

— Kedsty jest starym kawalerem, dziwnie nieczułym na wdzięki niewieście. Ale ogromnie lubi zacisze domowe...

— I zbudował sobie drewniany dworek w ustroniu za miastem — dodał O'Connor

— I właśnie odprawił kucharza-Chińczyka oraz gospodynię.

— A dom stoi na głucho zamknięty. Przynajmniej tak wygląda.

— Z wyjątkiem nocnej pory, gdy Kedsty wraca do domu spać.

O'Connor chwycił Kenta za rękę:

— Jimm, w całej dywizji nie ma sprytniejszych detektywów od nas. Dziewczyna ukrywa się w dworku Kedsty'ego!

— Ale dlaczego się ukrywa? — nacierał Kent. — Nie popełniła przecież żadnej zbrodni.

O'Connor stał chwilę w zupełnym milczeniu. Kent słyszał, jak przyjaciel napycha fajkę.

— Tego już nie wiem — burknął. — A jednak czuję, że się ukrywa. Zresztą...

Potał zapałkę i przez chwilę trzymał drobny płomyk w czarce złączonych dłoni. W słabym rozbłysku Kent ujrzał jego twarz, skupioną i niepewną.

— Widzisz, pożegnawszy ciebie wróciłem ponownie do topolowego gaju. Znalazłem miejsce, w którym Kedsty ją dopędził — mech był tam silnie ubity. Musieli długo rozmawiać stojąc. Potem on wrócił do miasta przez gaj topolowy, a ona zginęła między sośniną. Tu straciłem jej trop. Idąc między sosnami, mogła dotrzeć do dworku inspektora nie zwróciwszy niczyjej uwagi. Ciężko jej musiało być w tych trzewiczkach, nie dłuższych niż pół mojej dłoni i na obcasach dwucalowej wysokości. Dziwi mnie, że nie nosi sportowego obuwia ani mokasynów.

— Przybyła widać z Południa, a nie z Północy — poddał Kent. — Zapewne z Edmonton.

— Właśnie. Ale Kedsty chyba jej się nie spodziewał, w przeciwnym razie byłby mniej wstrząśnięty.

— Chciałbym też zrozumieć, dlaczego z chwilą gdy ją ujrzał, zmienił swój stosunek do ciebie. Obecnie pragnie twej zguby dlatego po prostu, by mieć wymówkę na wypadek, gdyby go spytano, czemu tak śpiesznie uwolnił McTriggera. Złożyłeś zeznanie w samą porę. Dziewczyna kazała mu więźnia wypuścić, popierając żądanie swe groźbą — niestety, nie wiem, jakiego rodzaju. Bądź co bądź, sterroryzowała starego zupełnie. A potem Kedsty rozmawiał z McTriggerem w biurze urzędu — pojęcia nie mam o czym. Policjant Doyle mówi, że przegadali dobre pół godziny. Wreszcie McTrigger wyszedł i natychmiast gdzieś zniknął. Nikt go dotąd nie widział na oczy. Czyż to nie podejrzane? Czyż cała ta rzecz nie jest podejrzana? A najważniejsze to moja nagła delegacja do fortu Simpsona...

Kent chciał odpowiedzieć, lecz nagle opadł w tył na poduszki, Zaniósł się kaszlem, a powietrze gwizdząc wychodziło mu z krtani. Przy świetle gwiazd O'Connor dojrzał, że twarz przyjaciela starzeje naraz, przyjmując wyraz wielkiego zmęczenia. O'Connor przegiął się przez futrynę okna i oburącz ujął prawicę Kenta.

— Zanudzam ciebie, Jimmy — rzekł chrapliwie. — Do widzenia, stary druhu. Ja... ja... — tu zawahał się, po czym skłamał odważnie — ja i tak zamierzam się jeszcze przejść. Zobaczę, co słyhać koło dworku inspektora. Za pół godziny będę wracał, to cię znów odwiedzę. Jeśli jednak będziesz spał...

— Nie będę spał — odparł Kent. O'Connor mocniej uściśnął mu rękę.

— Do widzenia, Jimmy!

— Do widzenia.

Lecz gdy O'Connor cofnął się już w mrok leżący za oknem, doleciał go jeszcze stłumiony głos Kenta:

— Będę ci towarzyszył w tej długiej podróży, Bucky. Pamiętaj, żebyś o sobie dbał... żegnaj!

O'Connor chciał odpowiedzieć, ale szloch wezbrał mu w piersi i zdławił za gardło niby silna pięść. Gorące łzy zalały mu oczy. Nie skręcił w kierunku dworku inspektora, tylko cicho poczłapał ku

rzece. Wiedział, że Kent kłamstwo przejrzał i że się nie zobaczą już nigdy.

ROZDZIAŁ IV

NIEZWYKŁY GOŚĆ

Kent usnął dopiero po dłuższym czasie. Była to właściwie drzemka, którą niestrudzony mózg, walczący do ostatka z wyczerpaniem i śmiercią, zaludniał koszmarnymi wizjami. W marzeniach Kent wracał wstecz, do lat dawno przeżytych, do dni dzieciństwa, przeskakując jedne fakty, dłużej zatrzymując się przy drugich.

Oto znów był dzieckiem i przekomarzał się z Skinny Hillem, milutkim Skinny nieżyjącym od dawna. Ten najmilszy kolega był zawsze uśmiechnięty i zawsze pachniał cebulą, najpiękniejszą cebulą, jaką kiedykolwiek hodowano w Ohio. W porze obiadowej Kent wymieniał jeden z otrzymywanych od matki pikli na cebule Skinny Hilla — dwie cebule za pikiel, podług raz na zawsze ustalonej ceny.

A potem bawił się z matką w jakąś staromodną grę. Później znów szli przez las, zbierając czarne jagody, i Kent kijem okładał żmiję zabita w borze przed dwudziestu laty, matka zaś uciekała krzycząc, siadała na mchu i zalewała się łzami.

Jakże tę matkę wielbił! We śnie szukał mogiły w dolinie, gdzie pod białym kamieniem spoczywała obok ojca. Dzielili ją od niego tysiące mil. Szukał gorliwie, lecz na próżno, i sam nie wiedział, w jaki sposób trafił na Daleką Północ, w głąb puszczy.

Knieja obstąpiła go zewsząd. Niespokojnie rzucał się na posłaniu, chwilami budził się, lecz oto znów zapadał w sen. Siedział przy obozowym ognisku wraz z O'Connorem, w jaskrawym kręgu światła i ciepła; początek zimy obdzierał puszcę z jaskrawych barw, wtrącając świat w otchłań jednolitej, mroźnej szarzyzny. Scenariusz wciąż ulegał zmianie. Wśród szalejącej śnieżycy biegł za saniami zaprzęgniętymi w psy; mknął czółnem po rwących wodach potoku; przeprowiał się przez rzekę, po czym nieoczekiwanie znów widział przy sobie O'Connora. Tkwili obok siebie plecami do ściany, z dymiącymi karabinami w garści, stawiając czoło rozjuszanej bandzie opryszków. Grzechot karabinów zbudził go prawie, ponownie jednak zapadł w sen. Sny były teraz przyjemniejsze. Wiatr szemrał w wierzchołkach drzew, łagodnie bulgotały wezbrane z wiosną strugi, ćwierkały ptaki i kwiaty pachniały odurzająco.

Na piersi zwała mu się zmora. Niegdyś w okolicy Jachfish przygniotło Kenta padające drzewo; i wówczas również walczył daremnie z okrutnym ciężarem, powoli tracąc przytomność. Obecnie czuł, że płucom brak powietrza, a głowę obejmuje ciemność. Naraz w mroku błysnęło światło. Otworzył oczy. Przez okno wlewały się strugi słonecznego blasku, ciężar zaś na piersi pochodził od lekkiego nacisku stetoskopu Cardigana.

Pomimo niepokoju wywołanego koszmarnymi snami, Kent zbudził się tak spokojnie, iż Cardigan dopiero podniósłszy oczy zdał sobie z tego sprawę. Twarz lekarza miała dziwny wyraz; gdy spostrzegł, iż pacjent na niego patrzy, usiłował przybrać maskę obojętności, Kent wiedział jednak, co o tym sądzić. Cardigan miał pod oczyma sine podkowy. Rysy zdradzały znużenie, jak po nocy nieprzespanej.

Kent uniósł się i siadł w łóżku, mrugając powiekami do słońca. Uśmiechnął się, zmieszany.

— Zaspałem dzisiaj — tłumaczył — więc...

Urwał z nagłym grymasem bólu. Ostre, palące ukłucie przeszło mu pierś niby cios noża. By schwytać powietrze, musiał szeroko otworzyć usta. Ciężar na piersi nie pochodził już od nacisku stetoskopu. Nie był urojony, lecz prawdziwy.

Cardigan, stojąc nad chorym, udawał pogodną wesołość.

— Zbyt ostre powietrze nocne — wyjaśnił. — To minie wkrótce.

Kent byłby przysiągł, iż Cardigan nieznacznie podkreśla słowo „wkrótce”, nie zadawał jednak żadnych pytań. Rozumiał doskonale, o co chodzi; wiedział, iż lekarzowi trudno przyjdzie dać odpowiedź. Poszukał pod poduszką zegarka. Była dziewiąta. Cardigan nerwowo krzątał się po izbie, porządkując na stole drobiazgi i poprawiając przy oknie firanki. Przez chwilę trwał zupełnie bez ruchu, plecami do Kenta. Potem odwrócił się i rzekł:

— Co sobie życzysz wpierw, Kent: umyć się i zjeść śniadanie czy przyjmując gościa?

— Nie jestem głodny, a w tej chwili nie czuję specjalnej sympatii do wody i mydła. Co to za gość? Ojciec Layonne czy też Kedsty?

— Ani jeden, ani drugi. To... kobieta.

— O... w takim razie poproszę jednak wodę i mydło. Czy możesz mi powiedzieć, kto taki?

Cardigan potrząsnął głową przecząco.

— Nie wiem. Nie widziałem jej nigdy przedtem. Przyszła dziś rano, gdy byłem jeszcze w pidżamie, i dotąd czeka. Radziłem jej przyjść później, ale uparła się, że woli tu zostać do twego przebudzenia. Czeką bardzo cierpliwie od dwu godzin.

Kent nie usiłował bynajmniej ukryć silnego podniecenia.

— Czy to młoda dziewczyna? — spytał żywo. — Prześliczne czarne włosy, błękitne oczy, nosi trzewiki na wysokich obcasach, malusienki jak połowa twojej dłoni, i jest bardzo piękna?...

— Wszystko się zgadza — skinął głową Cardigan. — Nawet trzewiki zauważyłem. A piękna jest niewątpliwie.

— Wprowadź ją, proszę — powiedział Kent. — Mercer wyszorował mnie dokładnie wczoraj wieczór, a co do brody, to ją przeproszę. Jak jej na imię?

— Pytałem, jednak zdawała się nie słyszeć. Nieco później Mercer pytał również, lecz spojrzała nań tylko bez słowa i jak twierdzi, lodem powiało z tych oczu. Obecnie czyta jedną z moich książek, *żywoty* Plutarcha, i to czyta naprawdę. Widzę po sposobie przewracania kartek.

Gdy tylko Cardigan wyszedł, Kent podciągnął się wyżej na poduszkach i wzrokiem przywarł do drzwi. W jednej chwili przypomniał sobie rozmowę z O'Connorem — dziewczyna, Kedsty, tajemniczy stosunek tych dwojga. Dlaczego chciała się z nim widzieć? Jaki był powód tej wizyty? Czy może chciała podziękować za złożenie zeznań, dzięki którym Sandy McTrigger odzyskał wolność? Obchodził ją bardzo, może więc zamierza wyrazić swą wdzięczność.

Kent wyteżył słuch. Dalekie kroki dały się słyszeć w sieni. Zbliżały się szybko, by zatrzymać się u jego drzwi. Czyjaś dłoń nacisnęła klamkę, ale drzwi nie otworzyły się jeszcze. Kent rozróżnił głos Cardigana i stąpanie lekarza, zrazu bliskie, potem coraz dalsze. Serce skoczyło mu w piersi. Nigdy bodaj jeszcze sprawa, drobna na pozór, tak dalece nie wytrąciła go z równowagi.

ROZDZIAŁ V

MARETTE

Klamka poruszyła się lekko i jednocześnie ktoś cichutko zastukał do drzwi.

— Proszę — odpowiedział Kent.

W chwili następnej zaniemówił. Dziewczyna weszła do pokoju zamykając drzwi za sobą. Odpowiadała zupełnie opisowi O'Connora. Spotkał jej oczy. Barwą przypominały fiołki, lecz wyraz miały zgoła inny niż tam w lesie. O'Connor widział w nich ponury tłący ogień, Kent natomiast zauważył, iż są szeroko otwarte, ciekawe jak oczy dziecka. Badawcza ciekawość górowała w nich niezaprzeczenie. Zamiast spodziewanej wdzięczności Kent czytał w głębi nich pytanie. I ani śladu zmieszania.

Przez chwilę Kent nie widział nic prócz tych cudnych, wpatrzonych w niego oczu. Potem obserwując dziewczynę, gdy stała plecami do drzwi, z dłonią wspartą nadal na klamce, spostrzegł resztę: wspaniałe włosy, śliczną twarzyczkę, szczupłą kibić. Nigdy nie spotkał równie pięknego zjawiska. Trudno było odgadnąć jej wiek — mogła mieć równie dobrze lat osiemnaście jak dwadzieścia czy dwadzieścia dwa. Włosy, zgarnięte z czoła na tył głowy i falujące mocno, czyniły ją wyższą, niż była w istocie, miała bowiem wzrost raczej średni. Schyliła nieco głowę i w ciemnych splotach zaśniły złotawe blaski słońca.

Kent usiłował coś powiedzieć, lecz nim znalazł słowa odpowiednie, dziewczyna zrobiła parę kroków i siadła na krześle przy łóżku.

— Czekam już długo, by się z panem widzieć — rzekła. — Pan jest James Kent, prawda?

— Tak, jestem Jim Kent. Żałuję, że doktor Cardigan kazał pani czekać. Gdybym był wiedział...

Całkowicie opanowawszy nerwy uśmiechnął się do niej. Dziewczyna zatrzepotała niebywałej długości rzęsami, lecz błękitne oczy nie zmieniły wyrazu. Spokój jej spojrzenia łatwo mógł człowieka zmieszać. Sprawiała wrażenie surowego sędziego, pragnącego przejrzeć do dna istotę oskarżonego.

— Powinien był mnie zbudzić — ciągnął Kent. — To niegrzecznie kazać czekać kobiecie.

Rzęsy nieznajomej zatrzepotały znowu.

— Jest pan zupełnie inny, niż myślałam — rzekła półgłosem, niby sama do siebie. — A ja właśnie przyszłam zobaczyć, jaki też pan jest. Pan umiera?

— Mocny Boże, tak, umieram — westchnął Kent. — Zgodnie z opinią doktora Cardigana mogę skonać każdej chwili. Czy nie lęka się pani trochę, siedząc tak blisko człowieka mającego lada moment umrzeć?

Po raz pierwszy oczy jej zmieniły wyraz. Jakkolwiek światło słoneczne nie padało na nią wprost, w głębi źrenic zatańczyły złote promyczki, ciepłe, wesołe jak iskierki śmiechu.

— Nie, wcale się nie lękam — zapewniła go. — Marzę zresztą od dawna, by być świadkiem czyjejś śmierci, widzieć, jak człowiek kona, i to powolutku, bez pośpiechu, cał za całem. Ale pana śmierci wolałabym nie oglądać.

— Bardzo mi miło — szepnął Kent. — Doprawdy, jest to dla mnie wielką pociechą.

— Ale gdyby pan mimo wszystko umarł, to bym się nic a nic nie bała.

— Oh!

Kent dźwignął się wyżej na poduszkach. W życiu swym przeżył niejedną przygodę. Zaznał wszystkich niemal dostępnych człowiekowi wzruszeń. To było jednak coś nowego. Wpatrzył się w

błękitne oczy oszołomiony, zapomniawszy języka w ustach. Były to piękne oczy, chłodne i niewzruszone. A co najważniejsze, wiedział, że dziewczyna mówi prawdę. Nawet drgnieniem tych pięknych rzęs nie zdradziłaby lęku czy grozy, gdyby nagle padł bez życia. Co za zdumiewająca osoba.

Przez chwilę doznał uczucia niechęci. Lecz uczucie to pierzchno równie szybko, jak się pojawiło, dziewczyna wyciągnęła bowiem rękę i przyłożyła dłoń do czoła Kenta. Był to nowy, gwałtowny wstrząs. Dłoń nieznajomej miała w sobie niezwykłą miękkość i słodycz. Dotknięcie trwało jednak krótko, ręka cofnęła się niemal zaraz, a szczupłe palce splotły się z palcami drugiej ręki, spoczywającej na kolanach.

— Pan wcale nie ma gorączki — rzekła. — Dlaczego sądzi pan, że ma umrzeć ?

Kent wyjaśnił, o co chodzi. Prawdę mówiąc, czuł się dość niezręcznie. Sądził poprzednio, iż gość przedstawi mu się zaraz po wejściu do izby, po czym on sam zacznie stawiać pytania, uprzejmie, lecz stanowczo. Nie przypuszczał także, mimo zapewnień O'Connora, że dziewczyna jest aż tak piękna. I oto zamiast pytać o jej imię i o powód wizyty, zachowywał się jak niedołęga, bełkocząc coś o sercu i aorcie. Dopiero gdy skończył mówić, zdał sobie sprawę z komizmu sytuacji. Niespodziewanie dla samego siebie parsknął śmiechem.

— To jest doprawdy szalenie zabawne, panno, panno...

— Murette — poddała dziewczyna.

— To jest szalenie zabawne, panno Murette.

— Nie panno Murette, tylko zwyczajnie Murette — poprawiła.

— W każdym razie to bardzo zabawne — ciągnął Kent — bo proszę sobie wyobrazić, że właśnie zeszłej nocy marzyłem gorąco, by mieć przy sobie w godzinie śmierci kobietę. Doznać sympatii z jej strony, widzieć, jak mi współczuje. I oto Bóg wysłuchał mnie na pozór i przychodzi... pani, ale bodaj jedynie po to, by zobaczyć, jak wygląda człowiek konający.

W oczach dziewczyny zamigotały złotawe ogniki. Policzki, blade poprzednio, z wolna pokryły się słabym rumieńcem.

— Nie byłby pan pierwszym, który przy mnie skonał — zapewniła go. — Widziałam niejednego trupa i nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek wiele łez wylała. Wolę patrzeć na agonie człowieka niż niektórych zwierząt. Pana śmierci wolałabym jednak nie oglądać. Czy jest to dla pana pewną pociechą?

— Owszem — wyjąkał zdumiony Kent. — Ale dlaczego... z jakiej racji... panno Murette...

— Murette — poprawiła ona znowu.

— Niech sobie będzie Murette. Po co więc przysłaś teraz właśnie, gdy lada chwila mam się przenieść na tamten świat. Jak się nazywasz właściwie, ile masz lat i, przede wszystkim, czego chcesz ode mnie?

— Murette jest moim jedynym imieniem, mam lat dwadzieścia i chciałam pana zobaczyć, żeby stwierdzić, jak pan wygląda.

— Brawo! — krzyknął Kent. — Zbliżamy się szybko do sedna sprawy. Ale pytam raz jeszcze: po co?

Dziewczyna przysunęła krzesło o parę cali bliżej i Kent doznał wrażenia, że wargi jej składają się do uśmiechu.

— Ponieważ skłamał pan tak wspaniale, by ocalić człowieka, któremu groziła szubienica.

— I ty, Brutusie — westchnął Kent opadając na poduszki. — Czyż przyzwoity człowiek nie może zabić drugiego człowieka, by nie zasłużyć natychmiast na miano kłamcy, kiedy sam swą zbrodnię wyzna? Dlaczego tyle ludzi zarzuca mi łgarstwo? Jestem doprawdy ciekaw.

— Sytuacja już się zmieniła — zaprzeczyła dziewczyna spokojnie. — Teraz wszyscy panu wierzą. Opisał pan tak dokładnie szczegóły morderstwa, że przekonał najbardziej opornych. Żle byłoby, gdyby pan wyżył, gdyż niewątpliwie nie uniknąłby pan szubienicy. Kłamstwo pana posiada wszelkie cechy prawdy. Tylko ja jedna wiem, co o tym sądzić. Pan nie zabił Johna Barkleya.

— Na czym opiera pani to twierdzenie?

Dobre pół minuty dziewczyna patrzyła mu wprost w oczy. Źrenice jej zdawały się przenikać go na wskroś.

— Na tym, że wiem, kto zabił Johna Barkleya — rzekła wreszcie z zupełnym spokojem. — I to nie był pan.

Szalonym wysiłkiem woli Kent zachował spokój mamj zewnętrzny. Wyciągając rękę wziął cygaro z pudełka, które Cardigan postawił na łóżku, i zębami uciął koniec.

— Czy ktoś jeszcze składał zeznania? — spytał. Uczyniła głową ledwo dostrzegalny gest przeczący.

— Czy... hm... czy widziałaś, jak tamten ktoś mordował Johna Barkleya? — nacierał Kent...

— Nie.

— W takim razie powtórzę to, co już tyle razy mówiłem innym. Ja zabiłem Johna Barkleya. Jeśli podejrzewasz kogoś innego, jesteś w błędzie.

— Co za wspaniałe kłamca! — w tonie dziewczyny znać było szczerzy podziw. — Czy pan nie wierzy w Boga?

Kent drgnął i niespokojnie poruszył się na łóżku.

— Ogólnie biorąc, oczywiście, że wierzę — odparł. — Ale chyba nie po to do mnie przysłaś, by mówić o religii?

Śliczna główka pochyliła się ku niemu niżej, niżej jeszcze. Doznał ogromnej ochoty, by unieść rękę i pogłodzić jej lśniąące włosy, tak jak ona dotknęła jego czoła.

— Wiem, kto zabił Johna Barkleya — uparcie powtórzyła dziewczyna. — Wiem kiedy, jak i dlaczego został zabity. Proszę więc wyznać mi prawdę. Chcę wiedzieć, dlaczego przyznał się pan do zbrodni, której pan nie popełnił.

Nie patrząc na nią Kent powoli zapalał cygaro. Dziewczyna nie spuszczała z niego świecących oczu.

— Jestem, być może, obłąkany — odezwał się Kent. — Sądzę, że każdy człowiek może być wariatem i nie zdawać sobie z tego sprawy. W tym właśnie leży tragizm i komizm obłądu. Jeśli wszakże jestem przy zdrowych zmysłach, w takim razie zabiłem Johna Barkleya. O ile go nie zabiłem, jestem wariatem, gdyż mam absolutną pewność, że popełniłem ów mord. Lecz może to ty właśnie postradałaś zmysły. Mam pewne poszlaki co do tego. Czy osoba normalna nosiłaby tak małe pantofelki na obcasach półmetrowej wysokości?

Wymownym gestem wskazał jej malutkie trzewiczki i dziewczyna po raz pierwszy uśmiechnęła się, szczerze, wesoło, pogodnie. Trwało to jednak zaledwie chwilę, uśmiech znikł niby gasnące słońce za chmurami.

— Jest pan dzielny człowiekiem — rzekła. — Jest pan po prostu człowiekiem niezwykłym. Nienawidzę ludzi, ale sądzę, że gdyby pan żył dłużej, pokochałabym pana. Skłonna jestem uwierzyć, że pan Barkleya zabił. Zmusza mnie pan, abym w to uwierzyła. Przyznał się pan do zbrodni sądząc, że pan i tak umrze, a chcąc niewinnego człowieka ocalić od śmierci. Prawda, że tak się rzecz miała?

Kent potwierdził słabym ruchem głowy.

— Tak. Wolałbym to sobie wyobrazić inaczej, sądzę jednak, że zgadłaś słusznie. Złożyłem zeznanie wiedząc, że umrę, W przeciwnym razie milczałbym niewątpliwie i tamten człowiek by

wisiał. Powiesz teraz, że jestem potwór.

— Wszyscy ludzie są potworami — wtrąciła szybko. — Pan jest jednak inny niż reszta. Lubię pana. Gdyby zaszła potrzeba, walczyłabym w pana obronie. Umiem walczyć!

Z miłym półuśmiechem wyciągnęła przed siebie dwie drobne rączki.

— Przecież nie rękoma! — zawołał Kent. — Sądzę, że wystarczyłyby oczy. O'Connor mi mówił, że po wczorajszym spotkaniu w gaju topolowym Kedsty omal nie umarł.

Oczekiwał, że wzmianka o inspektorze zmiesza dziewczynę. Nie zauważył jednak, by wywarła na niej jakiegokolwiek wrażenie.

— O'Connor to ten wielki, opalony mężczyzna, który towarzyszył panu Kedsty?

— Tak, mój towarzysz ze szlaku. Odwiedził mnie wczoraj i cały czas mówił o twoich oczach, Murette. Są rzeczywiście bardzo piękne. Nie widziałem nigdy równie cudnych oczu. Nie to jednakże uderzyło O'Connora. Oszołomiło go wrażenie jakie wywarły na Kedsty'm. O'Connor twierdzi, że Kedsty był po prostu zmiażdżony, choć nasz inspektor ma na ogół silne nerwy. Najdziwniejsze było jednak to, że ledwie odeszłaś, Kedsty dał O'Connorowi rozkaz uwolnienia McTriggera, a sam poszedł w ślad za tobą. O'Connor spędził resztę dnia na dowiadywaniu się o ciebie w Athabaska Landing, lecz nie mógł zasięgnąć zgoła żadnych informacji. Doszliśmy zatem do przekonania, że z tych czy innych przyczyn kryjesz się w dworku inspektora. Nie gniewasz się, że człowiek mający lada chwila umrzeć jest tak bardzo szczery?

Poniewczasie pożałował nieco zbytnej swej szczerości. Cofnąłby chętnie wymówione słowa, lecz było już za późno. Czekał więc w milczeniu. Dziewczyna spoglądała w dół, mnąc w palcach jedwabne chwasty zdobiące przód sukni, a ponieważ przechyliła głowę, więc Kent, mimo woli, zaczął mierzyć wzrokiem długość jej rzęs. Były wspaniałe. W przypiływie zachwyty przysięgłby, że mają przynajmniej cal długości. Nagle uniosła powieki i pochwyciła żywszy blask jego źrenic oraz rumieńce przeglądające spod opalenizny. Poczzerwieniała lekko.

— A gdyby pan nie umarł? — spytała wprost, jakby nie usłyszała ani słowa z tego, co mówił o Kedsty'm. — Co by pan wtedy zrobił?

— Ja przecież na pewno umrę.

— Ale gdyby pan nie umarł? Kent wzruszył ramionami.

— Sądzę, że poszedłbym na szubienicę. Wychodzisz już? Dziewczyna wyprostowała się, siedząc już tylko na brzeжку krzesła.

— Tak, wychodzę. Nie dowierzam swoim oczom. Mogę spojrzeć na pana jak na inspektora Kedsty i... gotów pan umrzeć. A ja nie chcę być świadkiem pana śmierci.

Posłyszał w jej głosie leciutką, drżącą nutę śmiechu. Dreszcz nim wstrząsnął. Co za zachwycająca, krwiożercza bestyjka! Spoglądał na jej schyloną głowę, na lśniące pukle prześlicznych włosów. Pomyślał, że gdyby tak wyjął szpilki, sploty okryłyby ją całą. Jakże muszą być miękkie i ciepłe w dotknięciu. Co za cudna dziewczyna, i brak jej jedynie serca. Z nadchodzącej śmierci kpi iście po szatańsku, a w błękitnych oczach próżno byś szukał wyrazu współczucia.

Wstała, po raz pierwszy badawczo rozglądając się po izbie. Odwracając nieco głowę wyjrzała przez okno. Wytworna, szczupła, silna, przypominała Kentowi prześliczną młodą wierzbę, rosnącą nad brzegiem strugi. Mógłby ją wziąć na ręce równie łatwo jak pierwsze lepsze dziecko, przeczuwał wszakże, iż zdolna jest do ponoszenia ciężkich nawet trudów. Zachwycał się swobodnym osadzeniem jej głowy. Za ten zarys szyi i za te włosy okalające czoło połowa kobiet świata oddałaby niejedną rok życia.

Wciąż wyglądając oknem rzekła:

— Kiedyś, gdy będę miała umrzeć, chciałabym umierać w takim jak ten pokoju.

— Mam nadzieję, że nie umrzesz nigdy — rzekł Kent z przejęciem.

Odeszła od okna i przystanąła koło niego na chwilę.

— Było mi bardzo miło — rzekła, jakby dziękując za jakąś szczególną rozrywkę. — Doprawdy, szkoda, że pan umiera. Jestem pewna, że bylibyśmy wielkimi przyjaciółmi. Jak pan sądzi?

— Na pewno. Gdybyś tylko przyszła wcześniej...

— Będę o panu myśleć zawsze jak o kimś, kto się od reszty ludzi różni — przerwała mu. — Mówię szczerze, twierdząc, że nie chciałabym być świadkiem śmierci pana. Wolę odejść, zanim się to stanie. Czy pocałunek mój sprawiłby panu przyjemność?

Przez chwilę Kent doznał wrażenia, że aorta w nim zaraz pęknie. Wybełkotał:

— Ja... ja... tak, naturalnie.

— W takim razie proszę przymknąć oczy.

Usłuchał. Pochyliła się nad nim. Poczul muśnięcie jej rąk na twarzy, owionął go subtelny zapach jej włosów i oto drżące jej usta, ciepłe i miękkie, na mgnienie dotknęły jego warg.

Kiedy znowu na nią spojrzał, nie była ani zaczerwieniona, ani zmieszana. Mogło się zdawać, iż ucałowała dziecko.

— Całowałam dotychczas jedynie troje ludzi — wyznała. — Zabawne. Nie sadziłam, że kiedykolwiek jeszcze to zrobię. A teraz żegnam.

— Czekaj! — zawołał Kent żałośnie. — Czekaj, proszę. Chcę wiedzieć, jak się nazywasz. Więc jesteś Murette...

— Radisson — dokończyła zamiast niego. — Murette Radisson, a przybywam z bardzo daleka, z miejscowości, którą zwiemy Doliną Ludzi Milczących.

Dłonią wskazała kierunek.

— To na Północy? — pytał Kent bez tchu.

— Tak, na dalekiej Północy. Hen, tam...

Trzymała dłoń na klamce. Drzwi otwierały się z wolna.

— Czekaj! — bełkotał Kent. — Nie odchodź!

— Muszę. I tak bawiłam zbyt długo. Żałuję, że pocałowałam pana. Nie powinnam była tego robić. Ale to dlatego, że jesteś tak wspaniałym kłamcą!

Drzwi otwarły się i szybko zatrzasnęły za nią. Słyszał kroki, biegiem prawie oddalające się w korytarzu. Zapadła cisza zupełna, a w ciszy tej słowa dziewczyny doszły go znowu, niby małe młoteczki bębniąc po wrażliwym mózgu.

„To dlatego, że jesteś tak wspaniałym kłamcą!”

Rozdział VI

OSTATNI DZIEŃ

Jedną z cech charakteru Kenta stanowiła umiejętność trzeźwego osądzenia własnych niepowodzeń. Nigdy wszakże nie osądził siebie tak surowo, jak w chwili, gdy drzwi się zamknęły za tajemniczą dziewczyną. Ledwo Murette znikła, już przygniotło go poczucie przewagi jej na pół dziecinnego sprytu nad jego dojrzałą, męską filozofią. Gdy znalazł się sam, policzki okrył mu ciemny rumieniec wstydu.

On, sierżant James Kent, znany w całej dywizji z krwi zimnej, postrach złoczyńców, słynący słusznie z odwagi i trzeźwego sądu w obliczu najgroźniejszych nawet wydarzeń — został pobity, pobity haniebnie przez — dziewczynę! Lecz w porażce nawet nie opuszczało go poczucie słuszności i humoru. Najbardziej upokarzające było to, iż strona przeciwna zawdzięczała zwycięstwo urodzie kobiecej. Kpił z O'Connora, gdy sierżant opisał, jaki efekt wywołały oczy dziewczyny na inspektora Kedsty'm. Gdybyż teraz O'Connor wiedział, co w tej izbie zaszło?

Nagle ponury tok myśli Kenta został przerwany. Uderzył go komizm sytuacji i niespodziewanie parsknął śmiechem, choć rumieniec nadal okrywał mu policzki. Dziewczyna przyszła, odeszła, a on wiedział o niej tyleż co przedtem, prócz tej jednej rzeczy, iż zwie się Murette Radisson. A tyle pytań pragnąłby jej zadać — tuzin, pół setki nawet. Kim jest? Dlaczego i w jaki sposób trafiła do Athabaska Landing? Dlaczego interesuje ją los Sandy McTriggera? Co łączy ją z inspektorem Kedsty'm? A przede wszystkim, po co przyszła go odwiedzić wiedząc, że kona? Pocieszył się przekonaniem, iż z pewnością zasięgnąłby pewnych informacji, gdyby się nie oddaliła tak pośpiesznie. Nie spodziewał się jej odejścia.

Najbardziej dręczyło go pytanie: po co przyszła? Czy grała tu rolę jedynie ciekawość? Czy między nią a Sandy McTriggerem istniały więzy tak mocne, że chciała obejrzeć człowieka, który tamtego od stryczka ocalił. Nie powodowało nią niewątpliwie poczucie wdzięczności, gdyż nie podziękowała mu nawet jednym słowem. Widząc go na łożu śmierci, kpiła zeń prawie. Nie przyszła też jako posłanniczka McTriggera, gdyż nie mówiła nic w jego imieniu. Po raz pierwszy pomyślał, że może go w ogóle nie znała. Jedno było pewne: zna inspektora Kedsty. Nie zaprzeczyła przecież, gdy stwierdził, że kryje się w domu inspektora. Rozmyślnie użył słowa: kryje. Sądził, że wywoła jakiś efekt. Tymczasem ona przyjęła to równie obojętnie, jakby na tę chwilę ogłuchła, pewien był jednak, że słyszała wyraźnie. Spuściła tylko powieki na oczy, ukazując bajecznie długie rzęsy i spytała: „A gdyby pan nie umarł?”

Tu Kent skrzywił się wciągając głęboko haust powietrza. Ciężar na piersi przeszkadzał mu oddychać. Jakie to dziwne, że nikt mu nie wierzy. Nawet ta tajemnicza dziewczyna, której przedtem nigdy na oczy nie widział, uprzejmie nazwała go kłamcą, gdy z uporem twierdził, że to on zabił Johna Barkleya. Czyż mord zostawia piętno na twarzy mordercy? Jeśli tak, nigdy tego nie zauważył. Niejeden notoryczny zbrodniarz, schwytyany przez niego w kniei, miał rysy zupełnie normalne. Taki Harrigan na przykład przez długie siedem tygodni bawił go dowcipami, choć u końca drogi czekała na niego szubienica. Albo McTabb, albo Dzik, miły włóczęga na pozór, w gruncie rzezimieszek. Albo Le Beau, uprawiający zyskowny proceder okradania poczty. Bez trudu mógł jeszcze wyliczyć z pół tuzina innych. Żadnemu nie zarzucono kłamstwa, gdy widząc, że wszystko stracone, po męsku wyznawali swoje grzechy.

Tymczasem on wyznaje winę na łożu śmierci i nawet ta dziewczyna zwie go kłamcą. A poszlak

przecież nie brak. Drobiazgowo opisał szczegóły mordu. Pokazał, co i jak, czarno na białym. Położył własny podpis u dołu zeznań. I mimo wszystko nie chcą mu wierzyć. Komedia, jak Bóg miły, komedia!

Tak go pochłonał ten trudny problem, że zapomniał zupełnie, iż obudziwszy się rano, czuł głód. Uprzytomnił to sobie dopiero, gdy drzwi się otwarły i wszedł Mercer, niosąc tacę ze spóźnionym śniadaniem. Mercer bawił Kenta od początku. Ten młody, różowolicy Anglik, świeżo przybyły z Europy, zarówno wyrazem twarzy, jak ruchami zdradzał stale, iż pamięta o ciężącym nad tą izbą cieniu szubienicy. Zwierzył się nawet Cardiganowi, że mu to bardzo działa na nerwy. Karmić i myć człowieka niewątpliwie skazanego na śmierć, a mającego wisieć, jeżeli się naturalnej śmierci wymiga — przekraczało granice jego wytrzymałości nerwowej. Było to jakby pielęgnowanie żywego trupa, jeśli można użyć takiego określenia. Kent nauczył się traktować Mercera jako barometr zdradzający tajemnice Cardigana. Nie zwierzył się z tym lekarzowi, lecz szczerze się swą obserwacją bawił.

Tego ranka różowa twarz Mercera była mniej rumiana, a blade oczy jeszcze bledsze. Poza tym miał jajka posolić zamierzał najwyraźniej osypać je cukrem.

Kent śmiejąc się powstrzymał go ruchem ręki.

— Możesz cukrzyć moje jajka, gdy już umrę, Mercer — rzekł — lecz póki żyję, wolę je jeść z solą. Czy wiesz, stary, że jakoś źle dziś wyglądasz. Czy to dlatego, że dajesz mi śniadanie po raz ostatni?

— Broń Boże, mam nadzieję, że nie — odpowiedział Mercer szybko. — Prawdę mówiąc, wierzę, że pan będzie żył.

— Dziękuję — odparł mu Kent sucho. — Gdzie jest Cardigan?

— Inspektor przysłał po niego. Musiał tam pójść zapewne. Czy jajka są dobrze przyrządzone?

— Mercer, jeśli byłeś kiedy kelnerem, na miłość boską, zapomnij o tym na chwilę! — wybuchnął Kent. — Chcę, byś mi teraz powiedział prawdę, bez wykrętów. Ile czasu mi zostało?

Przez chwilę Mercer wylamywał palce, a twarz jego zbladła bardziej jeszcze.

— Nic nie wiem, proszę pana. Doktor Cardigan nic mi nie mówił. Ale nie sądzę, żeby jeszcze dużo. Doktor Cardigan jest dziś bardzo wzburzony, a poza tym ojciec Layonne ma przyjść lada chwila pana odwiedzić...

— Bardzo mi przyjemnie — skinął głową Kent, z całym spokojem zaczynając drugie jajko. — A jakże ci się podobała ta młoda dama?

— Cudo! Istne cudo! — wykrzyknął Mercer.

— Zupełnie słusznie — przyznał Kent. — Określenie całkiem właściwe. A czy nie wiesz przypadkiem, gdzie ona mieszka i po co tu przyszła?

Kent wiedział, że zadaje niemądre pytania, i bynajmniej nie oczekiwał rozsądnej odpowiedzi. Był więc niemało zdziwiony, gdy Mercer rzekł:

— Słyszałem, jak doktor Cardigan pytał, czy zaszczyci nas jeszcze jedną wizytą. Na to odparła, że nie będzie to możliwe, gdyż dziś wieczór odpływa w dół rzeki. Wspomniała fort Simpsona, jeśli się nie mylę.

— Co mówisz? — zawołał Kent, ze wzruszenia rozpryskując nieco kawy na kołdrę. — Przecież sierżant O'Connor udał się tam właśnie!

— Doktor Cardigan powiedział jej to samo. Ale przyjęła to do wiadomości bez komentarzy. I odeszła. Jeśli mimo obecnej sytuacji nie pogniewa się pan o trochę żartu, zauważę, że doktor Cardigan stracił niemal głowę. Piękna dziewczyna, proszę pana, piękna, nie ma co mówić. Wpadła w oko doktorowi.

— A tobie, Mercer, nie?

— He, co, tak... proszę pana — wybełkotał Mercer, czerwieniąc się nagle aż po cebulki lnianych włosów. — Przyznaję, że w tym niezwykłym miejscu widok jej mógł człowieka oszołomić.

— Zupełnie się z tobą, przyjacielu, zgadzam — skinął głową Kent. — Mnie oszołomiła także. I słuchaj no, stary, czy chcesz oddać konającemu największą w życiu przysługę?

— Będzie mi niezmiernie miło, proszę pana. Niezmiernie miło, doprawdy.

— Więc chodzi o to. Chcę wiedzieć, czy ta dziewczyna istotnie dziś wieczór lub w nocy opuści Athabaska Landing na jednej z barek. Jeśli do jutra rana dożyje, to mi powiesz.

— Postaram się, proszę pana.

— Dobrze. To po prostu kaprys umierającego człowieka, Mercer. Ale... nie chcę, by Cardigan o tym wiedział. W szafasie zaraz za tartakiem mieszka stary Indianin imieniem Mooie. Daj mu dziesięć dolarów i powiedz, że otrzyma jeszcze dziesięć, jeżeli się dobrze sprawi, i to, co będzie wiedział, powtórzysz tylko, nikomu innemu. Pieniądze mam pod poduszką.

Kent wyciągnął sakiewkę, dobył pięćdziesięciodolarowy banknot i wręczył go Mercerowi.

— Za resztę pieniędzy kup sobie cygar, stary. Mnie one już niepotrzebne. Byłeś się dowiedział, o co proszę.

— Dziękuję panu. Pan bardzo dobry.

Mercer należał do typu wałęsających się po świecie Anglików, często spotykanego w Kanadzie. Obleśnie grzeczny, sprawiał wrażenie dobrze wytresowanego lokaja, obrażał się jednak na samą wzmiankę o takim podobieństwie. Kent dobrze znał ten gatunek ludzi. Spotykał ich po trochu wszędzie, jedną z ich cech był bowiem ciągły niepokój oraz zupełny brak rozsądku w wyborze stanowiska. Mercer na przykład, wymarzony organista w dużym mieście, udawał pielęgniarkę w samym sercu głuszy.

Skoro Mercer się oddalił, zabierając tacę z resztkami śniadania oraz pieniądze, Kent jał sobie przypominać ludzi jego pokroju. Wiedział, że pod pozorami płaszczonego się serwilizmu kryją znaczną dozę odwagi, a nawet zuchwalstwa. Trzeba jedynie specjalnych warunków, by je wywołać na powierzchnię. Człowiek taki przy świetle dziennym nie stawia czoła lufom fuzji. Lecz w ciemną noc przepęłźnie niby wąż między fuzjami. Krótko mówiąc, Kent był pewien, iż te pięćdziesiąt dolarów przyniesie mu sporą garść informacji — o ile naturalnie dożyje rana.

Usiłował zapomnieć o tym, co czekało go w ciągu najbliższych paru godzin. Nie mógł jednak pozbyć się ciężaru w piersi. Przeciwnie, ciężar zdawał się rósć. Chwilami musiał robić znaczny wysiłek, by wciągnąć w płuca dostateczną ilość powietrza.

Myślał, czy istnieje choć najmniejsza możliwość, że dziewczyna wróci. Prawdę mówiąc, los wyraźnie zadrwił sobie z niego, chowając tę przygodę na ostatnie godziny życia. Gdyby spotkał dziewczynę sześć miesięcy temu, trzy chociażby, zapewne zmieniłaby bieg jego życia. Po raz setny wspominał oczy jej i włosy, szczupłą kibić na tle okna, harmonijne ruchy, miękki dotyk dłoni na czole i słodkie muśnięcie ust.

A pochodziła z Północy! Świadomość tego faktu dominowała, w rozmyślaniach Kenta. Nie słyszał co prawda nigdy o miejscowości zwanej Doliną Ludzi Milczących, lecz kraj był rozległy, fort Simpsona zaś, wraz z faktorią Towarzystwa Zatoki Hudsona oraz pół tuzinem baraków, leżał o tysiąc mil od Athabaska Landing. Kto wie zresztą, czy taka miejscowość naprawdę istnieje? Łatwiej było wierzyć, że dziewczyna zamieszkuje fort Providence, fort Simpsona, fort Dobrej Nadziei czy nawet fort McPherson. Wyobrażał ją sobie jako córkę jednego z magnatów Północy, to znów jako córkę zwykłego agenta — handlarza futer lub po prostu myśliwca trapera.

— Och, gdybym tylko pożył jeszcze! — dumiał Kent. — Gdybym tylko żył!...

A w sieni, pod drzwiami stał ojciec Layonne, tak blady, jakby utracił wszystką krew. Obok niego stał Cardigan, postarzały raptem o lat dziesięć. Dalej Kedsty z twarzą kamienną i Mercer z wyrazem niewymownej goryczy w oczach. Cardigan usiłował coś powiedzieć, lecz mu głosu zabrakło. Kedsty otarł z czoła rześisty pot. Ojciec Layonne, ujmując klamkę drzwi Kenta, drżącymi ustami zaczął szeptać pacierz.

ROZDZIAŁ VII

TRAGICZNA OMYŁKA

Na szcęk klamki Kent odwrócił się od okna. Drzwi otwierały się wolniutko. Kent spodziewał się zresztą wizyty. Z zachowania Mercera mógł czytać jak z otwartej księgi. To zachowanie oraz ciężar rosnący w piersi stanowiły przestrożę dostateczną. Koniec miał lada chwila nadejść, więc ojciec Layonne się zjawia. Kent usiłował się uśmiechnąć, powitać małego misjonarza wesoło i bez okazywania lęku. Ale kiedy drzwi się otworzyły i dojrzał stojącą w progu postać, uśmiech zamarł mu na wargach.

Niejednokrotnie towarzyszył ojcu Layonne przy oddawaniu ostatniej posługi, nigdy wszakże nie widział w postaci misjonarza tego, co tam wyczytał obecnie. Patrzył jak urzeczony. Misjonarz tkwił w progu, niepewny, jak gdyby ogromna trwoga wzbraniała mu wejść. Oczy obu mężczyzn spotkały się w ciszy niezmiernej. Minuty mijały. Wreszcie ojciec Layonne wszedł, zamykając drzwi za sobą.

Kent odetchnął głęboko i spróbował uśmiechnąć się.

— Zbudził mnie ojciec ze snu — rzekł. — A raczej z marzeń. Dziś rano zawarłem taką miłą znajomość.

— Właśnie mi o tym wspomniano, Jimmy — odparł misjonarz, z widocznym trudem uśmiechając się w odpowiedzi.

— Mercer mówił?

— Tak. Zwierzył mi się w zaufaniu. Biedny chłopak musiał się zakochać w tym dziecku.

— I ja również zakochałem się w niej, ojcze. Wyznaję bez wstydu. Jestem raczej zadowolony z tego. Gdyby Cardigan nie skazał mnie na śmierć...

— Jimmy — przerwał mu misjonarz szybko, głosem lekko zachrypniętym — czy nie przyszło ci na myśl, że doktor Cardigan mógł się omylić?

Ujął oburącz jedną z dłoni Kenta. Zacisnął uścisk tak mocno, że aż stał się bolesny. Kent, spoglądając w oczy misjonarza, uczył raptem w mózgu całkowitą ciemność i pustkę. Kropla po kropli krew uciekała mu z twarzy, aż stał się bledszy nawet niż ojciec Layonne.

— Czy... czyżby doprawdy?...

— Tak, mój chłopcze, to właśnie mam na myśli — rzekł misjonarz głosem dziwnie obcym. — Nie umrzesz, Jimmy. Będziesz żył!

— Będę żył! — Kent bezwładnie opadł na poduszki. — Będę żył!

W kółko dyszał te dwa słowa. Przymknąwszy na chwilę oczy doznał wrażenia, że świat cały stoi w ogniu. — Będę żył! — powtórzył raz jeszcze, ale tylko usta poruszały się lekko, nie wyszedł z nich bowiem żaden dźwięk. Zmysły jego, napięte do ostatnich granic w oczekiwaniu śmierci, uległy gwałtownemu odprężeniu. Miał wrażenie, że zemdleje. Podniósł powieki, lecz za oknem, kędy powinien się być znajdować krajobraz wielobarwny, leżała po prostu zielona, mętna mgła. Słyszał natomiast głos ojca Layonne. Daleki bardzo, dźwięczał mimo to wyraźnie. Misjonarz mówił, że Cardigan popełnił omyłkę. Z powodu tej omyłki doktor nieomal od zmysłów odchodzi. Omyłka jednak jest zrozumiała.

Gdyby był aparat Roentgena! Szpital go jednak nie posiada. Doktor Cardigan postawił diagnozę, którą potwierdziłoby dziewięciu dobrych lekarzy na dziesięciu. To, co brał za aneuryzm, było po prostu szmerem serca, ciężar zaś w piersi pochodził od resztek bronchitu. Wielka szkoda, że zaszła pomyłka, nie należy jednak mieć do Cardigana pretensji.

„Nie należy mieć do Cardigana pretensji!" Te ostatnie słowa kołatały w mózgu Kenta niby bijące o nabrzeże drobne fale. „Nie należy mieć do Cardigana pretensji!" Śmiał się, śmiał się póty, aż otepiałe zmysły nabrały znowu ostrości i świat za oknem zarysował się wyraźnie. „Nie należy mieć do Cardigana pretensji!" Co za absurd! Mieć pretensję o to, że mu życie wraca? że go do życia powołuje na nowo? O, o to mieć do niego żal?

Jaśniało mu w mózgu. Rozumował trzeźwiej. Zobaczył ponownie ojca Layonne z twarzą bardzo bladą i oczyma wciąż pełnymi grozy, jak wtenczas gdy stał w progu nie śmiąc wejść. Dopiero teraz pojął, o co chodzi.

— Ach, tak, rozumiem — rzekł. — Zarówno ojciec, jak Cardigan sądzą, że lepiej by było, żebym umarł.

Misjonarz nadal trzymał go za rękę.

— Nie wiem, Jimmy. Nie wiem. To, co się stało, jest straszne...

— Lecz nie tak straszne jak śmierć! — krzyknął Kent sztywno wyprężony na poduszkach. — Wielki Boże, przecież ja chcę żyć! Och...

Wyrwał dłoń z uścisku misjonarza. Obie ręce wyciągnął ku oknu.

— Patrz, ojcze! Mój świat! Mój świat! Chcę doń wrócić! Cenię go po stokroć więcej niż dawniej. Z jakiej racji mam mieć żal do Cardigana? Ojcze, wysłuchaj mnie. Ojcze! Powiem coś, co mam teraz prawo powiedzieć. Skłamałem! Nie zabiłem Johna Barkleya!

Ojciec Layonne krzyknął. Był to zdławiony okrzyk pełen zdumienia i żalu!

— Jimmy!

— Przysięgam! Wielkie nieba, ojcze, czy mi nie wierzysz?

Misjonarz wstał. Twarz jego zmieniła wyraz. Był wstrząśnięty, zdumiony, pełen grozy. Lecz już w następnej chwili z łagodnym wyrzutem oparł dłoń na czole Kenta.

— Niech ci Bóg wybaczy, Jimmy — rzekł. — I niech cię Bóg wspomůže.

Kent uczył, jak miejsce nieprzytomnej, rozsadzającej serce radości zajmuje bolesny chłód.

— Ojciec mi nie wierzy? — spytał.

— Chciałbym wierzyć, Jimmy! — odparł misjonarz głosem miękkim i po dawnemu spokojnym. — Muszę wierzyć dla twego dobra, lecz teraz już nie ma miejsca na sentymenty, mój chłopcze. Tu wkracza prawo. Jakiegokolwiek uczucia żywiłbym dla ciebie, nie mogę ci nic pomóc — w znaczeniu ziemskim. Jesteś...

Zawahał się, nie chcąc zapewne wymówić słowa — skazany. Dopiero teraz Kent jasno i wyraźnie pojął sytuację. Wyczuwał ją już co prawda od dobrej chwili; obecnie poczęła mu się narzucać we wszystkich szczegółach. Mimo woli zacisnął szczęki i zwarł pięści. Groźba śmierci naturalnej pierzchła; jak na kpiny pojawiło się widmo śmierci innej. Dzwoniło mu w uszach, jakby ktoś piekielnie chichotał w pobliżu. A jednak będzie żył! Ponad wszystko inne górował ów fakt niezaprzeczalny. Mniejsza o to, co mu się przytrafi za tydzień, za miesiąc — dziś niewątpliwie nie umrze!

Dowie się jeszcze od Mercera, czy Murette odpłynęła w dół rzeki. Stanie mocno na nogach i będzie walczył w swej obronie. Wszak jest przede wszystkim człowiekiem walki. Takim się już urodził, mniej zaś go pociągała walka z ludźmi niż z przeciwnościami losu. Przyszła teraz pora wziąć się za bary z wrogiem najgroźniejszym. Widział to. Czuł to. Rozpierała go już chęć czynu. W oczach prawa był mordercą, a w prowincji Alberta karą za popełnienie mordu była szubienica.

Raptem uderzyła go myśl szczególna i na moment serce przestało w nim bić. Murette Radisson wiedziała, że on nie umrze! Poruszyła nawet ten temat, lecz on, jak ostatni idiota, nic nie rozumiał. Murette nie żałowała go, śmiała się z niego, drwiła prawie, dlatego po prostu, że wiedziała, iż

będzie żył.

Odwrócił się gwałtownie do ojca Layonne.

— Oni mi uwierzą! — zawołał. — Zmuszę ich, by mi uwierzyli! Skłamałem, ojcze! Skłamałem, by ocalić Sandy McTriggera. Wyjaśnię, dlaczego. Jeśli doktor Cardigan nie pomylił się tym razem, chciałbym ich znów wszystkich widzieć. Czy ojciec mógłby się tym zająć?

— Inspektor Kedsty czeka w sieni — rzekł ojciec Layonne spokojnie. — Jednak na twoim miejscu, Jimmy, nie śpieszyłbym się tak bardzo. Poczekałbym trochę. Namysliłbym się dobrze...

— Ojciec sądzi, że muszę mieć czas, by jakąś prawdopodobną historię wymyślić. Ależ historia już jest gotowa. Najprawdziwsza. Tylko, niestety, przed paru dniami opowiedziałem już jedną... dość wiarygodną.

Uśmiechnął się trochę smutno. Misjonarz spoglądał nań ze współczuciem.

— Twoje zeznanie było bardzo przekonujące, Jimmy. Przytoczyłeś tyle szczegółów, a szczegóły te zgadzały się najzupełniej z faktem, że widziano cię po południu z Johnem Barkleyem i że pierwszy znalazłeś później trupa.

— Tak, poszlaki są wyraźnie przeciwko mnie — przyznał Kent. — Prawdę mówiąc, poszedłem do Barkleya, by obejrzeć starą mapę rejonu Jeżozwierza, którą Barkley wyrysował przed dwudziestu laty. Nie mogłem jej znaleźć. Później nieco dał mi znać, że już ją ma. Udałem się do niego powtórnie i zastałem — trupa.

Misjonarz skinął głową, lecz nie wymówił ani słowa.

— To zaczyna być denerwujące — ciągnął Kent. — Wydaje się po prostu, że powinienem się pogodzić z losem. Kiedy mężczyzna przegrywa, powinien zachować jak najwięcej spokoju, w przeciwnym razie łatwo zasłużyć na miano tchórza. Wypadałoby zatem milczeć i dać się powiesić bez dalszych brewerii. Ale jest jeszcze inny punkt widzenia. To biedne gardło ma do mnie zaufanie. Oddało mi niejedną przysługę. Przełykało nawet jajka na śniadanie, będąc przekonane, że nie doczekam nawet zachodu słońca. Muszę się więc nim z kolei zaopiekować. Cóż byłbym wart, gdybym je opuścił. Chcę je ocalić od stryczka i ocalę — jeśli tylko będę mógł.

Widząc dobry humor Kenta ojciec Layonne uczul wzruszenie. Uśmiechnął się więc pocziwie, pogodnie i rzekł:

— Bóg pozwala każdemu człowiekowi walczyć o życie własne — w pewnych granicach. Przerażony byłem, Jimmy, gdy tu wszedł. Sądziłem, że lepiej by ci było umrzeć. Widzę teraz twój błąd. To będzie ciężka walka. Jeśli wygrasz — będę rad. Jeśli przegrasz, pewien jestem, że przyjmiesz los odważnie. Może masz słuszość. Może istotnie lepiej, byś się zobaczył z inspektorem, zanim będziesz miał czas do namysłu. Idzie tu o efekt psychologiczny. Czy mam mu powiedzieć, że chcesz się z nim zobaczyć?

Kent energicznie skinął głową:

— Tak. Zaraz.

Ojciec Layonne podszedł do drzwi. W progu jednak zawahał się nieco, jak gdyby raz jeszcze dając Kentowi czas do namysłu. Potem otworzył drzwi i wyszedł.

Kent czekał niecierpliwie. Niespokojnie wodząc rękoma po pościeli natrafił na chustkę, którą ocierał wargi, i raptem przyszło mu na myśl, że od dawna już nie odpluwał krwią. Teraz, kiedy wiedział, że nie jest chory śmiertelnie, ciężar w piersi mniej mu dokuczał. Miał niemal ochotę wstać i przyjąć gości na stojąco. Każdy nerw w jego ciele łaknął ruchu; od chwili gdy misjonarz zamknął drzwi za sobą, minuty wlokły się nieznośnie. Minął wszakże kwadrans, zanim usłyszał powracające kroki i po tupocie już poznał, że inspektorowi towarzyszy ktoś jeszcze. Może ojciec Layonne? Może Cardigan?

To, co zaszło w ciągu najbliższych paru sekund, wstrząsnęło Kentem do głębi. Ojciec Layonne wszedł pierwszy, za nim Kedsty. Kent przyłgął wzrokiem do twarzy dowódcy dywizji N. Rysy inspektora nigdy bardziej nie przypominały mu rysów kamiennego sfinksa. Na ukłon i uśmiech podwładnego zwierzchnik ledwo skinął głową. Największe wrażenie wywarła jednak na Kencie obecność paru osób, których się nie spodziewał. Tuż za Kedsty'm kroczył sędzia McDougal, a dalej dwaj policjanci. Pelly i Brand, sztywno wyprostowani, w postawach służbowych. Na ostatku wszedł Cardigan, blady i nieswój, oraz zmieszana stenografistka. Gdy tylko znaleźli się w pokoju, Pody wymówił formułę prawną. Kent był aresztowany.

Nie spodziewał się tego. Wiedział oczywiście, że prawo musi iść swoim trybem, lecz nie oczekiwał tak krwiożerczego pośpiechu. Sądził, że pomówi z Kedsty'm jak człowiek z człowiekiem, tymczasem stawiano go od razu przed faktem dokonanym. Błądził wzrokiem od kamiennego oblicza inspektora do surowych twarzy obu policjantów, starych druhów w gruncie rzeczy. Jeśli ktokolwiek z obecnych czuł do niego sympatię, zachowywał to dla siebie. Tylko ojciec Layonne i Cardigan mieli w oczach wyraz współczucia.

Przed chwilą pełen dobrej myśli, Kent uczuł teraz, że serce ciąży mu jak bryła ołowiu. W ogromnym napięciu duchowym czekał, aż przyjdzie pora walki w obronie wolności i życia, które tak nieopatrznie naraził na niebezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ VIII

W CIENIU SZUBIENICY

Skoro drzwi się zamknęły za przedstawicielami prawa, Mercer pozostał jeszcze parę chwil w sieni, rozważając pilnie, czy przypadkiem nie nadeszła dla niego pora działania. Zdecydował wreszcie, że tak, i z pięćdziesięcioma dolarami Kenta w kieszeni udał się do chatynki Indianina Mooie. Wrócił w godzinę później, właśnie gdy drzwi Kenta otwierały się znowu. Ukazali się w nich doktor Cardigan i ojciec Layonne oraz sędzia, stenografistka i policjanci Pelly i Brand. Drzwi zamknęły się za nimi.

W izbie Kent, spocony ze zmęczenia, siedział wsparty o poduszki i płonąłym wzrokiem obserwował inspektora Kedsty.

— Prosiłem o te parę chwil sam na sam, Kedsty, gdyż chciałem mówić z tobą jak człowiek z człowiekiem, a nie jak podwładny z przełożonym. Nie jestem już zresztą członkiem policji, a co za tym idzie, nie mam względem ciebie żadnych specjalnych obowiązków. Miło mi zatem, że z całym spokojem mogę cię nazwać łotrem!

Kedsty był czerwony od początku, teraz jednak, zaciskając ręce w pięści, spąsował jeszcze bardziej. Zanim zdołał przemówić, Kent ciągnął dalej:

— Nie okazałeś mi ani współczucia, ani grzeczności, jakie zawsze okazywałeś nawet najgorszym złoczyńcom. Wszyscy tu obecni byli zdumieni twoim zachowaniem, gdyż każdy z nich, jeśli nie dziś, to dawniej, szanował mnie swą przyjaźnią. Nie chodzi o to, co mówiłeś. Chodzi o to, jak mówiłeś. Ilekroć udawało mi się ich przekonać, stawałeś mi w poprzek drogi. Ilekroć zaistniał dla mnie cień nadziei, wysuwałeś nieubłagane widmo prawa... A jednak sam nie wierzyłeś, abym to ja zabił Johna Barkleya. Wiem o tym. Nazwałeś mnie kłamcą w dniu, gdy uczyniłem to szalone zeznanie. W dalszym ciągu pewien jesteś, że wtenczas skłamałem. Wyczekałem więc, aż zostaniemy bez świadków, by ci zadać parę pytań, gdyż chociaż ty wzięłeś rozbrat z przyzwoitością, ja nie wyzbyłem się jeszcze wszelkiej kurtuazji. Co za grę prowadzisz? Co cię tak zmieniło? Czy przypadkiem...

Zwarł prawą dłoń w pięść i połową ciała pochylił się ku inspektorowi.

— Czy to z powodu tej dziewczyny, która się kryje w twoim dworcu, Kedsty?

Lecz nawet w chwili gdy gotów był tego człowieka uderzyć pięścią, odczuł mimowolny podziw wobec kamiennego spokoju przeciwnika. Nie słyszano nigdy, by ktoś się poważił nazwać inspektora łotrem, a jednak Kedsty pozostał niewzruszony. Wpatrywał się tylko w Kenta czas jakiś, jak gdyby rozważając, co tamten wie naprawdę, a czego się tylko domyśla. Gdy zaś przemówił, głos miał tak spokojny i równy, aż się Kent zdziwił.

— Nie mam ci wcale za złe, Kent, ani będę miał za złe, jeśli prócz łotra, którym mnie już poczęstowałeś, wymyślisz jeszcze jakiś inny epitet. Sądzę, iż będąc na twoim miejscu, uczyniłbym to samo. Jak widzę, nie możesz pojąć, dlaczego w imię łączącej nas niegdyś przyjaźni nie czynię wszystkiego, co jest w mojej mocy, by cię ratować. Otóż robiłbym, co w mojej mocy, gdybym wierzył, że jesteś niewinny. Jest jednak przeciwnie. Wierzę, że jesteś winien. Zeznanie twoje, gdyś sam siebie oskarżył, było tak kompletne, że nie można było nic dodać ani ująć. Ale nawet gdybym, przypuśćmy, uwierzył, że nie ty zabiłeś Johna Barkleya...

Urwał i półobrócony do okna, w zadumie kręcił siwego wąsa.

— Gdybym nawet temu uwierzył — ciągnął po chwili milczenia — miałbyś bądź co bądź dwadzieścia lat więzienia za krzywoprzysięstwo i rozmyślne wprowadzenie władzy w błąd. Winien

jesteś, Kent, jeśli nie w ten, to w inny sposób. A codo dziewczyny... w moim dworku nie ma żadnej dziewczyny.

Skręcił ku drzwiom. Kent nie usiłował go nawet zatrzymać. Słowa wybiegły mu na usta i zamarły bezdźwięcznie. Skoro zaś Kedsty wyszedł, Kent długą chwilę jeszcze patrzył na ścielący się za oknem krajobraz, nie widząc jednakże nic zgoła. Z pomocą paru spokojnych słów inspektor rozwalił pracowicie wzniesiony gmach nadziei i złudzeń. Miał zupełną rację twierdząc, że jeśli uda mu się uniknąć ręki kata, czeka go cela więzienna za popełnienie przestępstwa równego niemal zbrodni morderstwa. Jeśli bowiem nie zabił, znaczy, że przysięgł fałszywie, i to na łożu śmierci. Więc dwadzieścia lat w celi więziennej. Przy łagodzących okolicznościach i w najlepszym razie dziesięć. To — albo szubienica.

Pot wystąpił mu na czoło. Już nie przeklinał inspektora. Gniew pierzchł. Kedsty miał poniekąd rację. Trzeźwo oceniał rzeczy i bez względu na to, co czuł w głębi serca, Kent przyznawał, że inspektor nie mógł postąpić inaczej. Ale jakimże szaleńcem był on sam, James Kent, nienawidzący kłamstwa jak zarazy, a teraz kłamca najgorszy, *kin as kisew*, jak mówią Indianie, krzywoprzysięzca w chwili zgonu.

Przygniótł go straszliwy ciężar beznadziejności, pogrążając w chwilowym otępieniu. Lecz w miarę jak minuty płynęły, duch wojowniczy upominał się o swoje prawa. Kent nie należał do gatunku ludzi, którzy biernie przyjmują wyroki losu. Niebezpieczeństwo budziło w nim zawsze niespodziewane źródło energii, nigdy zaś dotąd nie znajdował się w położeniu tak rozpaczliwym.

Jego uwagę zwróciło teraz przede wszystkim otwarte okno. Przygody weszły mu w krew i w nerwy. Tam zaś, poza zielonym, falującym wałem boru, leżały możliwości przygód największych. Znalazłszy się w sercu umiłowanych kniei, gotów był nawet umrzeć, jeśli walkę przegra. On, dotąd łowca ludzi, potrafi zagrać rolę ściganej zwierzyny genialnie jak nikt inny. Trochę tylko swobody, fuzję w garść i świat stanie otworem.

Oczy świeciły mu dziarskim ogniem, lecz zwolna płomień ów wygasł. Otwarte okno, szczerze mówiąc, było ironią losu. Stoczył się na brzeg łóżka i usiłował stanąć na nogach. Od razu zakręciło mu się w głowie. Zważył, czy wylazłszy przez okno potrafi dać sto kroków chociażby. Lecz tu nasunęła mu się nowa myśl. Powoli odzyskiwał równowagę. Chwiejąc się przemaszerował przez pokój tam i z powrotem. Odkąd trafiła weń kula Metysa, był na nogach po raz pierwszy. Oszuka więc Cardigana. Oszuka Kedsty'ego. Przyrost sił zachowa w tajemnicy. Uda chorego do końca, po czym pewnej nocy wykorzysta otwarte okno.

Przejął się swym planem jak żadnym innym dotąd. Po raz pierwszy odczuł olbrzymią różnicę między ściganym a ścigającym, między tym, co igra ze śmiercią samotnie, a tym, którego popiera cała potęga prawa. Łowy, w których się jest myśliwym, dają wiele silnych wzruszeń. Łowy, w których jest się zwierzyną, dają ich nieporównanie więcej. Każdy nerw się w nim prężył. Podniecony mózg pracował niespokojnie. Oto jest osaczony zewsząd, a jednak wymknie się pogoni.

Wrócił do okna i wychylił się na zewnątrz. Nowymi oczyma spojrzął na rozległą knieję. W powolnym nurcie rzeki dopatrzył się nowego znaczenia. Gdyby go teraz Cardigan zobaczył, przysięgłby, że pacjent ma znów gorączkę. Oczy Kenta błyszczały. Twarz była czerwona. Lecz nie o śmierci myślał w danej chwili. Przez mózg przelatowały mu już wspomnienia znanych miejsc, mogących zapewnić kryjówkę i bezpieczeństwo. Żaden człowiek na Dalekiej Północy nie znał lepiej od niego zapadłych kątów, przelicznych zakamarków nie znaczonej na mapie, gdzie słońce wstaje i idzie spać nie pytając prawa o pozwolenie. Byle skoczyć przez to okno, byle mieć siły do drogi, a policja może go szukać i sto lat bez żadnego rezultatu.

Układał już marszrutę. W dół rzeki, do Polarnego Kręgu. Odszuka Murette Radisson. O tak,

choćby nawet żyła w nędznych barakach fortu Simpsona, odszuka ją niewątpliwie! A potem? Och, dalej wiele dróg miał przed sobą. Byle dziewczynę znaleźć, to najważniejsze...

Wiedząc, że cały plan może wziąć w łeb, jeśli go na nogach znajdą, wrócił do łóżka. Kiedy w pół godziny później wszedł doktor Cardigan, na twarzy Kenta były jeszcze widoczne wypieki spowodowane ruchem i podnieceniem.

W ciągu następnych minut Kent potrafił nader umiejętnie rozruszać strapionego doktora. Szczerze mówiąc, cała ta pomyłka przyniosła mu więcej zadowolenia niż smutku. Przyznawał, iż początkowo myślał, że będzie żył, przeraziła go trochę. Lecz teraz patrzył na to z innego punktu widzenia. Jak tylko sił nabierze, zacznie gromadzić dowody swojej niewinności i jak sądzi, łatwo mu przyjdzie dowieść, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem Johna Barkleya.

Czeka go co prawda dziesięć lat zamknięcia w więzieniu Edmonton. Lecz co znaczy dziesięć lat więzienia w porównaniu z mogiłą przedwczesną? Ściskając prawicę Cardigana dziękował za wspaniałą opiekę lekarską. To on, Cardigan, wydarł go śmierci. Słuchając tych słów Cardigan młodził w oczach.

— Obawiałem się, że przyjmiesz to inaczej, Kent — mówił lekarz oddychając głęboko z widoczną ulgą. — Mój Boże, gdy spostrzegłem, że ten błąd popełnił...

— Wyobraziłeś sobie, że mnie oddajesz w ręce kata — uśmiechnął się Kent. — Niewątpliwie, nie powinienem był składać tego zeznania, stary, choćbym cię uważał za najwyższy autorytet w sprawie życia i śmierci. Ale każdy z nas popełnia błędy. Ja między innymi. Nie masz więc czego przeproszać. Proszę cię natomiast, byś mi od czasu do czasu przysłał do Edmonton skrzynkę dobrych cygar i przy okazji wstąpił pogawędzić o nowinach znad rzeki. Obawiam się jednak, że przedtem będziesz miał jeszcze ze mną nieco kłopotu. Mam jakieś głupie uczucie w piersi. To by dopiero byłszyt wszystkiego, gdyby przyplątała się jakaś nowa komplikacja i pokrzyżowała szyki nam obu.

Mówiąc obserwował Cardigana ukradkiem. Nie pomylił się bynajmniej co do wrażenia, jakie słowa jego wywrą. Cardigan, rozgrzeszony tak całkowicie przez człowieka, którego wyroku najbardziej się obawiał, pod wpływem reakcji psychicznej jał wprost przesadzać w objawach sympatii. Kiedy ostatecznie opuścił pokój, Kent triumfował w duchu. Cardigan bowiem oświadczył solennie, że minie sporo czasu, zanim pacjent zdoła się podnieść z łóżka.

W ciągu reszty dnia Mercer się nie zjawił. Cardigan osobiście przyniósł obiad, potem kolację i wreszcie przygotował chorego na noc. Kent prosił, by nikt mu już nie przeszkadzał, gdyż czuje się bardzo znużony i senny. Pod drzwiami lazaretu ustawiono od rana posterunek policyjny.

Zbyteczna ta ostrożność bardzo irytowała Cardigana. Głośno twierdził, iż Kedsty stanowczo przesadza. Obiecał, że przynajmniej da strażnikowi obuwie na gumowych podszewkach i poleci, by unikał wszelkiego hałasu. Kent podziękował serdecznie, a gdy Cardigan wyszedł, roześmiał się uradowany.

Wyczekał, aż zegarek wskaże godzinę dziesiątą, po czym zabrał się do obmyślonych ćwiczeń. Bezszelestnie wyszedł z łóżka. Gdy tym razem stanął na nogach, nie doznał już zawrotu głowy. Rozumował jasno. Wyprostowany, począł coraz głębiej wciągać w płuca powietrze.

Nie bolało nic a nic. Gotów był krzyżeć z radości. Wyprostował ramiona i wykonał parę ćwiczeń gimnastycznych. Wygiął się jak łuk, muskając podłogę końcami palców. Potem przysiadł do ziemi, przechylił się na boki, zdumiony siłą i elastycznością własnych mięśni. Zanim wrócił do łóżka, ze dwadzieścia razy przeszedł się w tę i z powrotem po pokoju.

Nie czuł potrzeby snu. Wygodnie leżąc na poduszkach, obserwował świecące na niebie gwiazdy, szukał pierwszych promieni księżycowych i słuchał hukania sów gnieźdzących się na strzaskanym burzą drzewie. Po upływie godziny podjął ćwiczenia na nowo.

Stał właśnie na nogach, gdy usłyszał przez okno dźwięk zbliżających się głosów, a potem tupot biegnących nóg. W chwilę później ktoś walił w drzwi, natarczywie domagając się doktora Cardigana. Kent ostrożnie przysunął się bliżej okna. Księżyc świecił, dostrzegł więc parę postaci nadchodzących wolno i zgiętych jak gdyby pod ciężarem. Zanim mu z oczu znikli skręcając za węgiel, rozróżnił dwu ludzi dźwigających coś na noszach. Wreszcie otwarły się drzwi szpitala, wymieniono parę nerwowych zdań i nastąpiła głucha cisza.

Kent wrócił do łóżka rozważając, kim może być ów nowy pacjent. Po ćwiczeniach gimnastycznych oddychał znacznie łatwiej. Poczucie wracających sił budziło w nim entuzjastyczną radość. Pogodnie i z nadzieją spoglądał na świat. Zasnął późno i długo spał rano. Zbudziło go dopiero wejście Mercera. Asystent wszedł wolno i po cichu zamknął drzwi za sobą, jednak Kent go usłyszał. Siadając na łóżku wiedział już, że Mercer ma mu coś ważnego do zakomunikowania, twarz młodego Anglika zdradzała bowiem silne podniecenie.

— Przepraszam bardzo, że pana budzę — rzekł nachylając się nisko nad Kentem, jak gdyby w obawie, iż strażnik podsłuchuje za drzwiami. — Sądziłem jednak, że lepiej będzie, jeśli się pan o tym Indianinie dowie...

— O Indianinie?

— Tak, proszę pana. O tym Mooie, proszę pana. Strasznie mną ta historia wstrząsnęła. Z wieczora jeszcze mi doniósł, że znalazł barkę, którą dziewczyna odpłynęła w dół rzeki. Mówił, że jest schowana w zatoce.

— W zatoce! To doskonała kryjówka!

— Doskonała, proszę pana. Zaledwie ściemniło się dostatecznie, Mooie udał się znów na przeszpiegi. Nie bardzo wiem, co się z nim stało później. Jednak gdzieś koło północy zjawił się w knajpie Crossena, skrwawiony, półprzytomny i ledwie trzymający się na nogach. Przynieśli go tu i czuwałem nad nim do rana prawie. Mówi, że dziewczyna wstąpiła na barkę, a barka odpłynęła w dół rzeki. Tylko tyle potrafiłem z niego wyciągnąć. Plecie coś jeszcze, ale w narzeczu, którego nie znam. Crossen twierdzi że to Cree i że stary Mooie wierzy, iż diabły opadły go z kijami, gdy czatował na brzegu. Oczywiście musieli to być ludzie. Nie wierzę w diabły, proszę pana.

— Ja także nie — odparł Kent, czując, jak krew szybciej krąży mu w żyłach. — Rzecz jest jasna. Ktoś sprytniejszy od starego Mooie pilnował również brzegu rzeki.

Mercer, z twarzą zmienioną, spoglądał niepewnie w stronę drzwi. Potem nachylił się nad Kentem niżej jeszcze.

— Gdy byłem z nim sam na sam, proszę pana, w beładnym bełkocie rozróżniłem pewne imię. Powtórzył je kilkakrotnie:

Kedsty!

Palce Kenta nerwowo pochwyciły dłoń młodego Anglika.

— Mówił to! Słyszałeś ?

— Pewien jestem, że się nie mylę, proszę pana. Powtórzył: Kedsty, kilkakrotnie!

Kent opadł na poduszki. Umysł jego pracował w natężeniu. Ustalał plan działania.

— Musimy to zachować w tajemnicy, Mercer — rzekł wreszcie. — Gdyby Mooie był ciężko ranny, gdyby przypadkiem umarł i gdyby wykryto, że my dwaj...

Wiedział, że tych parę słów wywarło efekt dostateczny. Nie patrząc nawet na Mercera, po chwili podjął rzecz na nowo.

— Obserwuj go bacznie, stary, i donoś mi o wszystkim. Postaraj się wywieść o Kedsty'm czegoś więcej. Doradzę ci, jak masz postępować dalej. To kwestia raczej drażliwa, dla ciebie oczywiście. I... — tu uśmiechnął się do Mercera — czuję dzisiaj specjalną jakąś czczość. Dodaj,

proszę, jeszcze jedno jajko. Trzy zamiast dwóch i o parę kawałków chleba więcej. Ale nie wspominaj nikomu, że nabieram apetytu. To stanowczo lepiej dla nas obu, szczególnie gdyby Mooie miał umrzeć. Rozumiesz, co mam na myśli, stary?

— Zdaje się, że tak... że rozumiem — odparł Mercer, blednąc na widok ponurych iskierek w oczach Kenta. — Zrobię, jak pan radzi, proszę pana.

Wyszedł zmieszany. Kent wiedział, że ocenił chłopaka właściwie. Zgodnie ze swym charakterem Mercer uczyni niejedno dla pięćdziesięciu dolarów. W grze otwartej jest tchórzem. Ale w pewnych wypadkach może oddać nieocenione usługi.

ROZDZIAŁ IX

PRÓBA UCIECZKI

Gdyby doktor Cardigan wiedział, jak solidne śniadanie Kent zjadł tego ranka, byłby na pewno niemało zdumiony, a Kedsty zwiększyłyby niewątpliwie nadzór roztoczony nad więźniem. Jedząc Kent zadzierzgnął silniej jeszcze więzy łączące go z Mercerem. Udawał, iż stan zdrowia starego Mooie niepokoi go bardzo. Nie tyle ze względu na samego siebie zresztą, ile właśnie ze względu na Mercera. — Ze mną nie może już być gorzej — tłumaczył. — Ale ty możesz mieć nieprzyjemności. — Mercer był przejęty ogromnie. Już sobie wyobrażał, jak pada na niego podejrzenie o próbę zamachu.

Dla formalności zmierzył Kentowi temperaturę. Była najzupełniej normalna, ale Kent namówił go łatwo do zapisania stopnia wyżej.

— Niech sądzą lepiej, że jestem ciężko chory — tłumaczył. — Nie powezmą wtenczas podejrzeń.

Mercerowi plan ten tak dalece przypadł do gustu, że z własnej inicjatywy dodał jeszcze pół stopnia.

Zdaniem Kenta był to wspaniały dzień. Z każdą godziną czuł, jak siły w nim rosną. Jednakże nie ruszał się z łóżka, w obawie, że ktoś to zauważy. Cardigan odwiedził go dwukrotnie i ani mu przez myśl przeszło wątpić w prawdziwość karty temperatury. Opatrzył ranę gojącą się prawidłowo. Niepokoiła go jedynie gorączka. Twierdził, że są, widać, jakieś nieporządki wewnątrz. Ale to musi prędko ustąpić i pacjent będzie mógł wkrótce wstać.

— Trochę to zabawnie brzmi w moich ustach — dodał zażenowany. — Tak niedawno przecież mówiłem, że pora ci umierać.

Tego wieczoru po dziesiątej Kent czterokrotnie przerobił ćwiczenia gimnastyczne. Szybkość, z jaką mu wracały siły, napępiała go istotnym zdumieniem. Nie raz i nie dwa niespokojny diablik szeptał mu na ucho, że pora skoczyć przez okno i uciekać w las.

Trzy doby jeszcze Kent utrzymywał tajemnicę i nabierał sił. Doktor Cardigan odwiedzał pacjenta od czasu do czasu, ojciec Layonne zaś wstępował co dzień po południu. Najczęściej jednak zaglądał do chorego Mercer. Czwartego dnia zaszły dwie rzeczy nieprzewidziane. Cardigan wyjechał na kilka dni do osady odległej o pięćdziesiąt mil w kierunku południowym, stary Mooie zaś przestał gorączkować i zaczął szybko wracać do zdrowia.

Pierwsze z tych dwóch zdarzeń niezmiernie ucieszyło Kenta. Wobec nieobecności Cardigana łatwiej było udawać chorego. Drugi fakt natomiast spowodował przyływ nieprzytomnej radości u przygnębionego Mercera. Promieniał. Nie omieszkał też wyjawić Kentowi powodu uciechy. Po prostu przestał się obawiać, że będzie posądzony o zamach na starego Indianina. Skoro zaś znikła wisząca nad nim groźba, przybrał ton tak arogancki, iż Kent z miłą chęcią wyrzuciłby go za kark z pokoju. Rozpierała go także duma, gdyż pod nieobecność Cardigana sprawował zastępczo funkcje doktora. Kent zwietrzył niebezpieczeństwo i jął asystentowi pochlebiać. Wychwalał jego uczynność, zręczność, umiejętność, a jednocześnie usiłował się dowiedzieć, czy Mooie nie zająknął się więcej o Kedsty'm. Lecz tu wszelkie starania były daremne. Stary Indianin zamknął się w milczeniu jak ślimak w skorupie.

— Przeraził się, gdy mu powiedziałem, że wspomniał nazwisko inspektora — opowiadał Mercer. — Zaprzeczał wszystkiemu. Trząśł głową, że nie wie nic a nic. Nie widział Kedsty'ego na

oczy. Nie da się z niego nic wyciągnąć, Kent.

Mercer zapomniał o swoim „proszę pana” i o niedawnej uniżoności. Palił cygara i papierosy Kenta i skłonny był mówić mu „ty”. Pęczniał dumą. Kent wiedział, że młody Anglik staje się z każdą godziną niebezpieczniejszy.

Podejrzewał także, że Mercer gada za wiele. Niejednokrotnie w ciągu dnia słyszał go gawędzącego ze strażą, to znów widział przez okno, jak asystent idzie do miasteczka kręcąc w palcach laskę trzciniową, której dawniej nie powazyłby się nosić. Zaczął dawać Kentowi rady lub udzielać mu informacji tonem łaskawej wyższości. Piątego dnia przysłała wiadomość, że Cardigan wróci dopiero za czterdzieści osiem godzin. Powiadamiając o tym Kenta Mercer podkreślił, że po powrocie doktor znajdzie niejedną zmianę. Po czym głupota i zarozumiałość podsunęły mu zdania następujące:

— Kedsty ma do mnie prawdziwą słabość, Kent. To doprawdy zupełnie przyzwoity chłop, jeśli umieć sobie z nim radzić. Zabrał mnie na wspólny spacer dziś po południu i paliliśmy razem cygara. Gdy powiedziałem mu, że zajrzawszy przez twoje okno wczoraj, widziałem, jak robisz gimnastykę, skoczył jak ukłuty igłą. „O... a ja sądziłem, że Kent jest chory” — rzekł. Zdradziłem mu wtenczas, że są lepsze sposoby leczenia chorych, niż je stosuje doktor Cardigan. Trzeba mu dawać jeść ile wlezie, to najważniejsze. „Proszę tylko spojrzeć na Kenta — mówię ci. — Od tygodnia wsuwa jak niedźwiedź, toteż dziś może kozły wywracać”. Mówię ci, Kent, omal go z nóg nie zbiła ta wiadomość. Wielkie dziwo, ja dopiąłem tego, czego Cardigan nie potrafił. Jak mu wzruszenie przeszło, to zawołał tego policjanta, Pelly, i dał mu jakąś notatkę na skrawku papieru. A potem ścisnął mi rękę, klepał mnie po ramieniu i znów częstował cygarem. To bystry chłop, wierz mi, Kent. Starczy mu jednej pary oczu, by widzieć, czego dokonałem, odkąd Cardigan wyjechał.

Nigdy jeszcze Kent nie miał tak szalonej ochoty chwycić człowieka za gardło. Aż go swędziały palce. Oto w chwili gdy zamierzał już działać, Mercer zdradził go przed Kedsty'm. Kent odwrócił głowę, by asystent nie mógł dostrzec wyrazu jego oczu. Zaciśnięte pięści ukrył pod kołdrą. Walczył sam ze sobą, by nie wyskoczyć z łóżka i nie zamordować Anglika na miejscu. Gdyby Cardigan doniósł inspektorowi o poprawie zdrowia pacjenta, byłoby to zupełnie co innego. Cardigan musiał to uczynić ; wchodziło to w zakres obowiązków. Ale Mercer, ten idiota, ten sprzedawczyk, ten osioł skończony...

Szttywno wyprężony, z twarzą zwróconą do okna, oddychał ciężko. Rozsądek brał jednak w nim górę. Wiedział, że tylko zimna krew może go jeszcze ocalić. Mercer dopomógł mu bezwiednie, chwytając ukradkiem parę cygar i opuszczając pokój na palcach. Parę minut jeszcze Kent słyszał go rozmawiającego za drzwiami ze strażą.

Gdy głosy ucichły, Kent siadł na łóżku. Dochodziła piąta. O której godzinie Mercer rozmawiał z Kedsty'm? Co za rozkaz inspektor wydał policjantowi?

Czy szło po prostu o roztoczenie baczniejszego dozoru nad więźniem, czy też o przeniesienie go do jednej z cel w budynku policyjnym? Jeśli to ostatnie — plan ucieczki runął. Kent wybiegł myślą ku tym celom.

Athabaska Landing nie posiadało więzienia w ścisłym znaczeniu tego słowa, jednakże policjanci obdarzyli tym mianem parę cel umieszczonych za kancelarią inspektora. Cele były z cementu; Kent osobiście kierował ich budową. W chwili obecnej wszakże nie zastanawiał się bynajmniej nad ironią losu. Rozważał fakt, iż z tych cementowych cel nie umknął jak dotąd żaden więzień. Jeśli nie zabiorą go ze szpitala przed szóstą, znaczy to, że przeprowadzka odłożona została do jutra rana. Możliwe, że Kedsty nakazał tylko uprzątnięcie cel. Modlił się w głębi duszy, by istotnie nie szło na razie o nic innego. Niech mu tylko dadzą jeszcze jedną noc, jedną jedyną noc...

Zegar wydzwonił wpół do szóstej. Potem kwadrans. Szóstą wreszcie. Kent czuł, jak mu się gorąco robi, mimo iż posiadał opinię najbardziej zrównoważonego człowieka w całej dywizji. Zapaliwszy ostatnie swe cygaro, ćmił je wolno, by ukryć wzruszenie za osłoną dymu, w razie gdyby się kto w izbie pojawił. O siódmej przynoszono mu kolację. O ósmej zapadał zmierzch.

Księżyc wstawał późno, nie wypłynię z za czubów drzew przed jedenastą. O dziesiątej zatem Kent wymknął się przez okno. Szybko i pewnie obmyślał szczegóły tej ucieczki nocnej. Opodal knajpy Crossena leżało zawsze wiele łodzi. Weźmie jedną z nich i zanim Mercer odkryje, co zaszło, zrobi ze czterdzieści mil w dół rzeki. Potem albo schowa łódź, albo puści ją z prądem, sam zaś ruszy w głąb kniei i zmyli pościg. Gdzieś po drodze w jakikolwiek sposób zdobędzie broń i żywność. Co za szczęście, że nie wręczył Mercerowi ostatnich pięćdziesięciu dolarów, jakie ma pod poduszką!

O siódmej wszedł Mercer z kolacją. Gdy spostrzegł, iż z pudełka znikło ostatnie cygaro, lekkie rozczarowanie błysnęło w jego bladych oczach. Kent zauważył ten wyraz i zmusił się do dobrodusznego uśmiechu.

— Poproszę ojca Layonne, by mi przyniósł rano nowe pudełko — rzekł. — Naturalnie jeśli się z nim zobaczę.

— Sądzę, że spotkacie się bez trudu — warknął Mercer. — Mieszka w pobliżu budynku policyjnego, a właśnie masz się tam przenieść, Kent. Jutro rano, nie później.

Kent doznał uczucia, że krew zamienia się w nim w ogień. Łyknąwszy nieco kawy odpowiedział jednak z beztroskim wzruszeniem ramion.

— Cieszę się z tego, Mercer. Chciałbym raz z tym skończyć. Im prędzej przeniosą mnie do celi, tym szybciej wdrożą postępowanie karne. Doprawdy, wcale się nie obawiam wyniku, ani trochę. Muszę wygrać. Mam za sobą wszystkie szanse.

Po chwili zaś dodał:

— Każę ci przysłać skrzynkę cygar, Mercer. Niezmiernie jestem wdzięczny za opiekę, jaką mnie stale otaczałeś.

Zaledwie jednak, zabrawszy tacę, Mercer wyszedł, Kent z pasją, pogroził pięścią w kierunku drzwi.

— O Boże, jakżebym cię chciał złapać w lesie samego i przetrzymać z godzinkę!

Wybiła ósma. Dziewiąta. Parę razy dochodził z sieni dźwięk rozmów; zapewne Mercer gawędził ze strażnikiem. Raz wydało się Kentowi, że słyszy grzmot, więc serce zabiło mu radośnie.

Nigdy chyba nie cieszył się tak burzą, jakby się ucieszył dziś wieczór. Lecz niebo pozostało czyste. Co gorzej, gwiazdy wydały się Kentowi jaskrawsze niż kiedykolwiek. Panowała cisza zupełna. Szczęk łańcuchów wiążących barki u brzegu dobiegał tak wyraźnie, jakby rzeka była oddalona o sto jardów najwyżej. Od tartaku przeciągle wył pies. Sowy, mijając okno w przelocie, kłapały dziobami głośniejszy niż nocy ubiegłej. Nawet chlupot fal rzecznych zdawał się docierać do uszu Kenta.

Rzeka! Rzeka, która go wkrótce poniesie ku wolności! Rzeka, którą popłynęła Murette Radisson i w dorzeczu której dziewczynę odnajdzie. Murette! W ciągu długich sześćdziesięciu minut dzielących godzinę dziewiątą od dziesiątej Kent wysiłkiem myśli ścigał do swej izby ducha dziewczyny. Przypomniawszy sobie każdy jej gest, każde słowo. Czuł dotyk jej ręki na czole, jej pocałunek na ustach, a w mózgu szumiało mu w kółko to jej zdanie: „Sądzę, że gdyby pan żył dłużej, pokochałabym pana”. I przecież, mówiąc te słowa, wiedziała, że *on* nie umrze!

Ale dlaczego w takim razie odeszła? Wiedząc, że będzie żył, czemu nie została, by mu w potrzebie pomoc okazać? Więc albo żartowała, albo...

Nowa myśl błysnęła mu w mózgu. Omal nie krzyknął. Siadł na łóżku, a serce łomotało mu w

piersi. Czy był to tylko fortel? Może zwodzi inspektora? Może przeciwko niemu grę prowadzi? Widział już jasno całą sprawę. Kedsty odprowadził Murette na barkę. Mooie to podpatrzył i zdradził się w gorączce. Bąknął przecie słowo: Kedsty. Jedno tylko pozostawało nadal niejasne: kto i dlaczego Indianina napadł? Mooie był stary i nieszkodliwy. Wrogów chyba nie miał.

Któż w Athabaska Landing nastawałby na życie białowłosego starca? Chyba sam doprowadzony do wściekłości Kedsty? Tak, chyba on tylko.

Wtem zegar wydzwonił dziesiątą. Kent nerwowo siadł na łóżku. Nasłuchiwał chwilę, wstrzymując oddech. W sieni panowała zupełna cisza. Cał za całem wygramolił się z łóżka i stanął na nogach. Odzież jego wisiała na ścianie, więc jął się ku niej skradać tak ostrożnie, że nawet ktoś podsłuchujący pod samymi drzwiami nie pochwyciłby żadnego odgłosu. Ubrał się szybko. Potem wrócił do okna, wychylił się na zewnątrz i patrzył.

Przy jasnym świetle gwiazd nie dostrzegł nic zgoła, prócz dwu białych pni drzew strzaskanych burzą, na których gnieździły się sowy. Było niezmiernie cicho; rześki, pachnący oddech nocy pieścił mu policzki. Łowił odległą woń sosen i cedrów. Knieja, milcząca i wspaniała, czekała na zbiega.

Czas działania nadszedł. Nim upłynęło dziesięć sekund, Kent znalazł się po drugiej stronie okna. Chwilę stał, nasłuchując, w pełnym blasku gwiazd. Potem skoczył w kierunku węgła budynku, kryjąc się w gęstym cieniu. Mimo szybkich ruchów nie czuł ani zmęczenia, ani bólu. Radością napelniała go ziemia, którą czuł pod stopami, i myśl, że rana w piersi jest snadź jeszcze lepiej wygojona, niż sądził poprzednio. Ogarnęło go wszechwładne uczucie szczęścia. Był wolny! W oddali widział rzekę, migocącą, bełkotliwą, nawołującą do pośpiechu.

Spojrzał w kierunku knajpy Crossena. Postanowił, iż ruszy ku niej wprost, otwarcie, jak człowiek nie mający nic do ukrycia. Jeśli szczęście mu posłuży, za kwadrans powinien być na rzece. Krew pulsowała w nim szybciej, gdy odrywając się od ściany dał pierwszy krok naprzód. O pięćdziesiąt jardów miał szpitalny skład drzewa. Wiedział, że kiedy skryje się poza ten budynek, nikt go już z okien szpitala nie dojrzy. Szedł szybko. Dwadzieścia kroków, trzydzieści, czterdzieści — wtem stanął jak ugodzony kulą. Zza węgła składu wysunęła się postać. Był to Mercer. Obracał w palcach laseczkę cicho jak kot. Dzieliło ich trzy metry najwyżej.

Mercer stanął. Laseczka wypadła mu z ręki. Nawet przy świetle gwiazd Kent widział, jak twarz Anglika blednie.

— Milczeć, Mercer! — przestrzegł Kent. — Używam świeżego powietrza. Jeśli wydasz dźwięk — zabiję cię!

Sunął wolno naprzód, ścisząc głos, tak by go nie usłyszano z okien szpitala. Ale raptem stało się coś, co mu zmroziło krew w żyłach. Znał przecież głos każdego ze zwierząt leśnych, lecz nigdy nie obił mu się o uszy dźwięk podobny do tego, jaki wydobył się nagle z warg Mercera. To już nie był krzyk ludzki. Mercer nie wzywał ratunku. Nie wymawiał w ogóle żadnego wyrazu, tylko darł się przeraźliwie w obł w ąkaną trwodze. Kent widział brzęknące z wysiłku gardło i oczy wylające na wierzch. Widok ten przywiódł mu na myśl żmiję, gadzinę jadowitą.

Chłód ustąpił mu z żył, a jego miejsce zajęła fala gorąca. Zapomniał o wszystkim prócz tego, że żmija leży mu na drodze. Zastępuje mu drogę po raz wtóry. Nienawidzi gada. Nienawidzi śmiertelnie. Ani zew wolności, ani groźba więzienia nie powstrzymają go teraz od spełnienia zemsty. Milcząc Kent skoczył Mercerowi do gardła; nieprzytomny wrzask zaatakowanego przeszedł w chrapliwe charczenie. Palce Kenta wpijały się w skórę i mięśnie, twarda pięść z rozmachem uderzała twarz.

Upadli obaj. Kent zapomniawszy o wszystkim bił i dusił Mercera w dalszym ciągu.

Bił wtenczas jeszcze, gdy droga do rzeki ponownie stanęła mu otworem.

ROZDZIAŁ X

ZA KRATĄ

Dopiero wstając znad bezwładnego ciała Mercera Kent zdał sobie jasno sprawę z rozmiaru własnego szaleństwa. Nigdy jeszcze nie miał w mózgu takiego obłądu. Przypuszczał na razie, iż Mercera zabił. Lecz nie współczucie i wyrzuty sumienia bynajmniej doprowadziły go do przytomności. Mercer był tchórzem i zdrajcą, niech więc umiera. Oprzytomniał na myśl, iż dobrowolnie zaprzepaścił szanse ucieczki.

Słyszał tupot nóg. Przy świetle gwiazd widział szybko zbliżające się postacie, ale czuł, że jest zbyt słaby zarówno do walki, jak i do ucieczki. Te trochę sił, których ostatnio nabrał i które zamierzał stopniowo wykorzystać, zużył nieoględnie od razu. Rana, tygodnie spędzone w łóżku, zbyt wysokie napięcie mięśni przy wykonywaniu zemsty — spowodowały teraz zawrót głowy. Dysząc ciężko i zataczając się bezwładnie, słuchał tętentu nadbiegających nóg.

Mąciło mu się w głowie. Nie widział nic przed sobą. Nagle czyjeś ręce schwytały go i unieruchomiły. Usłyszał zdumiony głos, jeden, drugi, aż wreszcie coś twardego i chłodnego otoczyło mu napiętki, niby szczęki pozbawione zębów.

W miarę jak zawrót głowy mijał, Kent rozróżnił przecie wszystkim Cartera, prawą rękę inspektora Kedsty, potem starego Sandsa, dozorcę szpitalnego. Osłabienie zniknęło równie szybko, jak przyszło. Kent wyciągnął ręce przed siebie. Carter założył mu kajdanki; chłodna stał połykiwała w świetle gwiazd. Sands pochylił się nad Mercerem, Carter zaś mówił po cichu:

— Bardzo mi przykro, Kent. Ale cóż robić, służba. Zobaczyłem cię przez okno właśnie w chwili, gdy Mercer krzyknął. Po coś się dla niego zatrzymał?

Tymczasem Mercer wstawał przy pomocy Sandsa, obracając na wszystkie strony napuchłą, nie widzącą twarz. Bełkotał coś jękliwie, jak gdyby błagał o zmiłowanie, bojąc się, że Kent jeszcze bić nie skończył. Carter pociągnął Kenta za sobą.

— Jedno mi teraz pozostaje do zrobienia — rzekł. — Miłe to nie jest. Ale podług prawa muszę cię zamknąć.

Kent zupełnie już odzyskał siły. Na niebie widział gwiazdy jaskrawe i czyste, w płuca wciągnął swobodnie rześkie powietrze nocy. Mogło się prawie zdawać, iż wszystko jest tak samo jak przed spotkaniem z Mercerem.

A jednak było inaczej. Przegrał z winy Mercera. Carter, idąc z ręką opartą na ramieniu więźnia, uczył, jak mięśnie Kenta prężą się nerwowo. Zaciskając zęby Kent usiłował nie zdradzać się żadnym dźwiękiem, lecz Carter usłyszał czy też wydało mu się, że słyszy ni to westchnienie, ni to szloch.

Pelly był właśnie na służbie, on więc zamknął Kenta w jednej z trzech cel. Gdy policjant odszedł, Kent usiadł na brzegu więziennej pryczy i jęk rozpaczony wydarł mu się z ust. Przed pół godziną jeszcze świat wyciągał ku niemu ramiona, a on biegł mu naprzeciw, lecz oto tragedia spadła niespodziewanie jak miecz Damoklesa. Była to bowiem prawdziwa tragedia. I nadziei znikąd. Kleszcze prawa chwyciły winowajcę i trzymały mocno.

Nie do zniesienia była zwłaszcza myśl, że on sam, James Kent, dozorował budowy tych cel. Znając wszelkie sztuczki i podstępny spragnionych wolności więźniów, przewidywał zawczasu i zapobiegł możliwościom ucieczki. Zaciskając pięści Kent kłął teraz Mercera. W jakiejś chwili wstał z pryczy i podszedł do małego okratowanego okienka. Rzeka była obecnie tuż. Słyszał jej plusk i szum. Widział migotanie płynącej wody i miał niemal wrażenie, że fala drwi zeń, śmieje się z jego

szaleństwa.

Wrócił do pryczy, siadł i w rozpacz ukrył twarz w dłoniach. Dobre pół godziny trwał tak bez ruchu. Po raz pierwszy w życiu czuł, że jest pobity, pobity tak zupełnie, że nie miał nawet ochoty do dalszej walki.

Wreszcie otworzył oczy i natychmiast w ciemnościach nocy ujrzał niezwykle zjawisko. Ciemną celę przecinała złotawa smuga. Był to promień wschodzącego księżyca wpadający przez zakratowane okienko. Kent przyglądał mu się oczarowany. Wzrokiem śledził jasną smugę aż do okiennego otworu; czerwony, ogromny, wiszący ponad lasem księżyc wypełniał swym światłem cały świat. Dobrą chwilę Kent nie widział nic prócz tajemniczej twarzy miesiąca. Siedząc tak, zalany światłem księżycowym, uczył, jak się w nim budzi na nowo cień nadziei. Szmer rzeki słyszał teraz bliżej. Wyciągając ręce zacisnął palce na stalowych kratkach. Duch wojowniczy podnosił głowę, szeptał, iż nie wszystko stracone.

Lecz inne duchy jeszcze zaczęły krążyć wokół. Kent cofnął się i siadł na pryczy, a one otoczyły go kręgiem — duchy tych, co w tej samej celi odbyli pierwszą porcję kary. Z kątów wyzierały twarze białe i śniade, pełne rozpacz i nienawiści, to znów znaczone daremną nadzieją lub piętnem bliskiej śmierci. Z całej ponurej plejady najwyraźniej rysowała się twarz Antoniego Fourneta, gdyż to przecież Kent sam sprowadził Antoniego do tej właśnie celi — Antoniego, olbrzymiego Francuza o kruczej czuprynie i kruczej brodzie, którego grzmiący śmiech na krótko przed egzekucją jeszcze wstrząsał dosłownie całym gmachem.

W oczach Kenta Antoni wyrósł na mocarza. Francuz zabił człowieka, lecz jako dzielny chłop nie zaparł się swej winy.

Mało tego, mając serce miękkie jak dziewczyna, Antoni jednak szczyił się swym postępkiem. Siedząc w więzieniu układał pieśni na ten temat. Zabił białego handlarza z fortu Chipewyan, który ukradł żonę jego sąsiadowi. Nie jemu samemu, tylko właśnie sąsiadowi. Antoni bowiem stosował w życiu zasadę: „Świadczyć drugiemu, jak byś chciał, by świadczyli ci”. Przy tym darzył sąsiada głęboką przyjaźnią, znaną jedynie mieszkańcom puszczy. Ale sąsiad był cherlakiem, Antoni natomiast posiadał siłę olbrzyma, toteż skoro godzina działania nadeszła, Antoni sam dokonał pomsty. Na śmierć zaś poszedł uśmiechnięty, jak ktoś, kto tanim kosztem naprawił wielki błąd.

Nocy dzisiejszej Antoni Fournet wrócił znów do celi i siedział wspólnie z Kentem na pryczy, na której niegdyś tyle nocy przespał, zaś melodia jego śmiechu i pieśni wypełniała uszy Kenta, a przypomnienie odwagi tamtego wspierało stroskaną duszę więźnia. Antoni Fournet konał z uśmiechem na wargach. Kent z uśmiechem na wargach — usnął. We śnie odwiedził go jeszcze jeden człowiek: Brudny Paluch, a wraz z nim przyszło — natchnienie.

ROZDZIAŁ XI

BRUDNY PALUCH

Tu gdzie wielka rzeka wyginała się niby chłepczący wodę psi język, omywając brzegi u stóp Athabaska Landing, tkwiły rzędem domy Palucha — dziewięć koślawych, zniszczonych niepogodą, od początku zresztą tandetnie budowanych szop. Genialny spryciarz przed dziesięciu laty jeszcze przewidział rozrost osady i w porę za bezcen zakupiwszy grunta wystawił te „czynszowe kamienice”. Piątej z brzegu, od którego byś nie liczył końca, sam właściciel nadał pompatyczną nazwę „Pod Dobrą Królową Elżbietą”.

Była to rudera kryta papą, o dwu oknach, niby kwadratowe ślepiea ustawicznie pilnujących rzeki. Od frontu Brudny Paluch kazał zrobić ganek, mający go chronić ód wiosennych deszczów, letniego skwaru i od śnieżnej zadymki zimową porą. Na tym podsieniu bowiem gospodarz spędzał całe swoje życie, tę jego część przynajmniej, której nie przesypiał w łóżku.

Brudny Paluch znany był o dwa tysiące mil w górę i w dół rzeki, przy czym niejeden zabobonny biały lub Indianin wierzył, że diabliki i rozliczne duszki zlatują się zewsząd, by siadywać współ z nim przed domostwem. Nikt w całej okolicy nie był na tyle mądry lub pyszny, by nie zazdrościć rozumu Brudnemu Paluchowi. Co prawda trudno go było o ten rozum podejrzewać, widząc, jak króluje na podsieniu. Był to duży, pleczysty chłop, nadmiernie porośnięty tłuszczem. Siedząc w drewnianym fotelu, wygładzonym przez lata używania, zatracił niemal wszelki kształt ludzki. Głowę miał ogromną, włosy rozczochrane i rzadkie, twarz równie pozbawioną wyrazu jak twarz niemowlęcia, puciołowatą i zupełnie bez zarostu. Ręce krzyżował zawsze na wydętym brzuchu przepasanym na domiar olbrzymim łańcuchem od zegarka, wykutym z litego złota Klondike. Kciuk i wskazujący palec prawej ręki właściciela stale bawiły się tym łańcuchem. Nikt w całej okolicy nie wiedział, kto pierwszy nadał mu przezwisko Brudnego Palucha, gdyż nazywał się właściwie Aleksander Toppet, niezaprzeczenie jednak miał stale zaniedbany i niechlujny wygląd.

Nie jego wygląd oczywiście, nie te dwieście funtów żywej wagi, lecz zalety mózgu zyskały mu szacunek współobywateli. Brudny Paluch bowiem był prawnikiem, doradcą prawnym wszystkich mieszkańców leśnych.

W głębi czaszki gromadził wszelkie prawo obyczajowe i pisane dotyczące tej dzikiej krainy. Sięgał po przykłady o dwieście lat wstecz. Wiedział, że prawo nie umiera ze starości, że zawsze da się zastosować, toteż z mglistej przeszłości wygrzebywał nieprzeliczone kruczki i podstępny, stosując je w przypadkach, jakie napotykał w swoim zawodzie. Nie posiadał książek prawniczych. Bibliotekę nosił w mózgu, zaś akta spraw stanowiły stosy zakurzonych papierów, ciasno zapisanych drobnym pismem, spiętrzone w głębi domu. Nie stawał nigdy osobiście na rozprawach; w niedalekim Edmonton niejeden adwokat błogosławił ten zwyczaj Brudnego Palucha.

Urzędował wyłącznie we własnym domu. Siadując z dłońmi splecionymi na brzuchu, dawał rady, wskazówki, wygłaszał sentencje. Mógł tkwić w jednym miejscu godzinami. Od rana do nocy wykonywał jedynie ruchy najkonieczniejsze, by przyjąć posiłek lub ukryć się przed zbytnim chłodem czy upałem. Godzinami także spoglądał na rzekę, nie mrugając nigdy bladymi oczyma. Odzywał się bardzo rzadko. Jedyńm towarzyszem był mu pies, tłusty, nieruchawy, leniwy jak jego pan. Stworzenie to bądź drzemało u stóp Brudnego Palucha, bądź też wlokło się za nim powoli, gdy on wyruszał do pobliskiego sklepiku po prowianty.

Rankiem po nieudanej ucieczce nocnej pierwszy odwiedził Kenta ojciec Layonne. W godzinę

potem ojciec Layonne podążał udeptaną ścieżką do chałupy Brudnego Palucha. Jeśli twarz tłuszciocha zdradzała kiedy wzruszenie, to chyba tylko podczas rzadkich wizyt misjonarza. Cudem jakimś rozwiązywał mu się wtenczas język i dwaj przyjaciele wiedli długie rozmowy na nie znany innym ludziom temat.

Tego ranka wszakże ojciec Layonne przychodził nie z wizytą, lecz dla interesu, gdy zaś Brudny Paluch się dowiedział, na czym polega ten interes, bardziej jeszcze skrzyżował tłuste ręce na wydatnym brzuchu i oświadczył stanowczo, że nie może udać się do Kenta. Nie leży to w jego zwyczaju. Klienci zawsze sami go odwiedzają. Wiadomo, że nie lubi chodzić. Jego dom od więzienia dzieli dobre ćwierć mili, kto wie, czy nie pół mili nawet. I trzeba iść pod górę! To przecież strasznie męczące...

A Kent czekał, zamknięty w celi. Przez okno, ilekroć otwierały się drzwi biura, słyszał głosy policjantów, mógł zatem sprawdzić, że Kedsty przyszedł dopiero godzinę później niż normalnie. Kent nie usiłował odgadnąć przyczyny opóźnienia, zauważył wszakże, iż ledwie inspektor się pojawił, w urzędzie nastąpił niezwykły ruch i bieganina. Wydało mu się też, że słyszy głos Cardigana, a potem głos Mercera. Tu Kent uśmiechnął się niedowierzająco. Był pewien, iż Mercer dobre parę dni nie potrafi z siebie głosu dobyć, chyba całkiem nieartykułowane dźwięki.

Przypuszczenia i domysły czynił zresztą na oślep, gdyż występ muru zakrywał widok na drzwi urzędu. Był z tego rad. Cieszyła go także okoliczność, iż w celi nie miał towarzysza. W obecnych warunkach potrzebował samotności. Dla powodzenia planu, który właśnie rozważał, samotność była równie konieczna jak pomoc Brudnego Palucha.

Wszystko zależało od tego, jak dalece Brudny Paluch zechce mu iść na rękę, toteż niespokojnie oczekiwał powrotu ojca Layonne, nasłuchując odgłosu jego kroków w korytarzu. Bo jeśli tłuszcioch odmówi, co wtedy?

Bezradnie wzruszył ramionami. Jeśli plan zawiedzie, nie widział wyjścia z matni. Będzie musiał przyjąć pokornie wyrok sądu. Lecz jeśli Paluch da się namówić...

Spojrzał znów na rzekę, a migotliwa wstęga wodna zdawała się szeptać mu odpowiedź. Jeśli Paluch pomocy nie odmówi, wystrychną na dudka inspektora Kedsty'ego i całą dywizję N. Plan był nieco zuchwały, to prawda, lecz dlatego właśnie musi się powieść!

Kilkanaście razy już słyszał trzask drzwi wejściowych. Obecnie usłyszał go raz jeszcze, a w chwilę potem doszedł go nowy głos, na dźwięk którego Kent mimo woli wydał okrzyk radości. Brudny Paluch z powodu nadmiernej tuszy i braku ruchu cierpiał na astmę, toteż nadejście jego zwiastowało charakterystyczne sapanie. Wielki kundel z wyżej wymienionych powodów posiadał dolegliwości identyczne, gdy więc wędrowali społem, słysząc ich było z daleka.

„Obu nam, chwała Bogu, brak oddechu — mawiał nieraz Brudny Paluch. — To bardzo szczęśliwie, gdyż w przeciwnym razie chodzilibyśmy pewno więcej, a my bardzo nie lubimy ruchu”.

Tym razem nadchodzili we czwórkę: Brudny Paluch z psem, ojciec Layonne i Pelly. Ten ostatni otworzył zamasyście drzwi celi, wpuścił tłuszciocha z kundlem i zatrzasnął drzwi na nowo. Ojciec Layonne rzucił więźniowi przez szparę spojrzenie pełne otuchy, skinął mu głową znacząco i oddalił się razem z policjantem. Paluch otarł z potu szkarłatną twarz chustką bajecznych rozmiarów, łapiąc powietrze rozwartymi ustami. Jego pies, Togs, ział tak ciężko, jakby dopiero co odbył decydujący wyścig.

— Piekielna droga! — wycharczał Paluch. — Piekielna droga, doprawdy!

Siadł na jedynym w celi krześle, przy czym miękkie jego ciało zatrzęsło się jak galareta, i począł się wachlować kapeluszem. Kent już przejrzał sytuację. W czerwonym obliczu Palucha i bezbarwnych jego oczach wykrył tajony starannie cień podniecenia. Wiedział, co to znaczy. Ojciec

Layonne uznał za właściwe powierzyć Paluchowi to i owo, a grubas począł się sprawą interesować.

Kent usiadł na brzegu pryczy więziennej i uśmiechnął się, współczująco.

— Nie zawsze tak było, he, Paluch — rzekł poważniejąc nagle i pochylając się nieco w stronę gościa. — Był czas, lat temu dwadzieścia, gdy wbiegałeś na pagórek bez zadyszania. Dwadzieścia lat stanowi nieraz znaczną różnicę.

— Tak bywa — przyznał Paluch skrzeczącym szeptem.

— Przed dwudziestu laty miałeś bojowy charakter.

Kent wpatrzył się pilnie w twarz grubasa i doznał wrażenia, że jego blade oczy nabierają przy tych słowach ciemniejszej barwy.

— Bojowy charakter! — powtórzył. — Większość ludzi zresztą miała bojowe charaktery w owych czasach złotej gorączki. Włóczęc się po kniei słyszałem niejedną dawną opowieść. Niektóre wstrząsnęły mną po prostu. Ludzie ówczesni z pogardą patrzyli w oczy śmierci. Tyś do nich należał, Paluch. Opowiadano mi dzieje pewnej zimy arktycznej. Zachowałem opowieść dla siebie sądząc, że wolisz, by poszła w niepamięć, w przeciwnym razie sam byś innym powtórzył. A teraz proszę cię, byś do mnie przyszedł. Wiesz, o co chodzi. Czeka mnie albo stryczek, albo cela więzienna. Oczywiście każdy na moim miejscu szukałby ratunku u przyjaciół. Ja jednak zwróciłem się jedynie do ojca Layonne. Przyjaźń, ten rodzaj pozornej przyjaźni, jaką znamy dzisiaj, nic nie pomoże. Dlatego posłałem po ciebie. Nie myśl, że chcę odgrzebać tajemnice, które są dla ciebie święte. Boże broń! Muszę wszakże, byś wszystko zrozumiał, sięgnąć do dawnych czasów. Pamiętasz... nie mogłeś zapomnieć... Ben Tatmana?...

Gdy Kent wymówił to nazwisko, którego dźwięku Brudny Paluch nie słyszał od ćwierćwiecza niemal, dziwny dreszcz wstrząsnął postacią domorosłego prawnika. Jego otyłe ciało nabrało prężności, tłuszcz przeobraził się w mięśnie a leniwe ręce z wolna zwarły się w sękatę pięści. Znikło gwiżdżące, astmatyczne sapanie. Głos, który teraz dał się słyszeć, był po prostu głosem innego człowieka.

— Słyszałeś o Ben Tatmanie, Kent?

— Mówiono, że to się zdarzyło lat temu dwadzieścia, może więcej. Ten Tatman był podobno żółtodziobem z San Francisco — urzędnikiem bankowym bodaj — a przybył na północ w poszukiwaniu złota razem z młodą żoną. Nie zbywało mu na odwagę, a jak opowiadano, każde z nich wielbiło nawet ziemię, której dotknęły stopy drugiego. Kobieta sama uparła się, że będzie towarzyszyć mężowi. Oczywiście ani podejrzewali, co za los ich czeka.

Ale przyszła ta okropna zima w Los City. Wiesz lepiej ode mnie, Paluch, co się wtedy działo. Żywność nie przybyła na czas. Śnieg natomiast spadł przedwcześnie, więc Los City zmieniło się w piekło głodowej śmierci. Warunki ustalały na oczekaniu nowe prawa. Mogłeś zabić człowieka i przy sprzyjających okolicznościach jakoś się wymigać. Ale jeśli ukradłeś choćby kawał suchara czy garnek fasoli, wyprowadzano cię na skraj osady i kazano iść precz. A wyrok ten równał się wyrokowi śmierci — okropnej śmierci z głodu i zimna.

Tatman złodziejem nie był. Lecz widok młodej żony coraz słabszej z braku żywności, lęk, że powali ją grasujący w osadzie skorbut — pchnęły go do kradzieży. Nocą włamał się do jakiejś chaty i ukradł dwie puszki konserwowanej fasoli oraz miskę ziemniaków — łup cenniejszy niż tysiąckrotna waga w złocie. Schwytano go. Oczywiście, żona robiła, co mogła, ale był to czas, gdy uroda i łzy kobiece nie znaczyły nic zgoła. Tatmana wyprowadzono na skraj obozowiska, dano mu koc, fuzję i ani kruszyny pożywienia. Kobieta, odziana jak do drogi, stanęła u jego boku, gdyż chciała zginąć z nim razem. Ze względu na nią właśnie Tatman kłamał do ostatniej chwili, przysięgając, że jest niewinny.

Lecz fasolę i kartofle znalezione w jego chacie, co było dowodem dostatecznym. Jednak właśnie gdy mieli zniknąć w zawieci idąc w paszczę śmierci, raptem...

Kent urwał wstając, podszedł do okna i stanął spoglądając na rzekę.

— Wiesz, stary — podjął opowieść na nowo — bywa nieraz, że na ziemi urodzi się nadczyłowiek. Otóż traf chciał, że taki nadczyłowiek znalazł się wtedy w zgorzkniałej i wygłodzonej gromadzie ludzkiej. W ostatniej chwili wystąpił naprzód i oświadczył głośno, że Tatman jest niewinny, a kradzież on popełnił. Odważnie złożył zdumiewające zeznanie. Ukradł fasolę i kartofle i podczas snu Tatmanów podrzucił je im do chaty. Dlaczego? Bo chciał uratować kobietę od śmierci głodowej. Kłamał! Słyszysz, Paluch, kłamał, gdyż kochał tę kobietę należącą do innego. Jakże piękne było jego kłamstwo. I odszedł sam, w zawieję, wiedziony miłością większą niż obawa śmierci. W obozie nie słyszano już o nim nigdy więcej. Tatman z żoną wrócił do chaty. Przetrzykali jakoś zimę. Żyli nadal. Słyszysz, Paluch!

Kent odwrócił się od okna. Paluch, nieruchomy, obserwował go dwójgim oczu pozbawionych wyrazu.

— Ty byłeś tym człowiekiem — rzekł Kent podchodząc parę kroków bliżej. — Skłamałeś, boś kochał kobietę, i dla jej dobra poszedłeś na pewną śmierć. Nikt nie podejrzewał tej miłości, ani sam Tatman, ani nawet jego żona. A jednak to szczerą prawdą. Wydostałeś się jakoś z piekła śmierci. Wyżyłeś. I wszystkie te lata, siedząc przed domem, marzysz o tej, dla której gotów byłeś umrzeć. Czy mam rację, Paluch? A jeśli mam, czy chcesz podać mi rękę?

Paluch wstał wolno z krzesła. Oczy jego nie były już tępe i bezbarwne; płonął w nich ogień, który Kent po wielu latach zdołał rozżarzyć na nowo. Wyciągając rękę chwycił dłoń Kenta.

— Dziękuję ci, Kent, za twoją opinię o tamtym — rzekł. — Nie wstydzę się jakoś. Ale, widzisz, ten bojowy charakter musiał gdzieś po drodze zostać, z zamieci wyszła jego powłoka zewnętrzna. Coś się stało. Sam doprawdy nie wiem, co. Spójrz na mnie teraz. Nigdy już nie wróciłem na tereny złotodajne. Degenerat ze mnie. Sam widzisz.

— A jednak jesteś tym samym, który poszedł na pewną śmierć dla Mary Tatman! — wykrzyknął Kent. — To samo serce i ta sama dusza. Czy dziś nie zechciałbyś walczyć dla niej?

— O Boże, tak! Masz rację, Kent!

— Dlatego też właśnie pragnąłem cię widzieć — ciągnął Kent szybko. — Tobie jednemu chcę powierzyć swoje plany. Słuchaj! Wybacz, że grzebałem w twoich świętościach, ale chciałem, byś mnie lepiej zrozumiał. To nie był podstęp. To było natchnienie. A teraz uważaj...

Długi czas potem James Kent mówił. Paluch zaś słuchał, odmłodzony, przejęty do głębi. Nie był to już ów leniwy, milczący tłuscioch. Lata jak gdyby się cofnęły i dawny bojowy charakter ocknął się z długiej drzemki. Zwano go kiedyś Paluchem o Dwu Pięściach; obecnie zasługiwał w zupełności na to miano. Ojciec Layonne dwukrotnie podchodził do drzwi celi, ale słysząc miarowy szept głosu Kenta, zwracał bez pukania. Kent nie taił niczego; gdy zaś skończył, w twarzy Palucha błysnęła wyraz jakby natchnienia.

— Na Boga! — tu westchnął głęboko. — Wierz mi, Kent, nigdy bym nic podobnego nie wymyślił, choć siadując godzinami przed domem, marzyło się o tym i owym. Eh, gdyby nie ta przeklęta tusza!

Porwał się z krzesła ruchem tak szybkim, jakiego nie używał od lat dziesięciu, i roześmiał się jak młodzik. Wysunął ku przodowi olbrzymie ramię i zgiał je niby próbujący mięśni zapaśnik.

— Stary? Wcale stary nie jestem! Miałem zaledwie dwadzieścia osiem lat, gdy się tamto stało, obecnie zaś mam czterdzieści osiem. To chyba nie starość! Zrobię to, Kent. Zrobię to, choćbym miał potem wisieć!

Kent omal mu się na szyję nie rzucił.

— Niech ci Bóg zapłaci! — wykrzyknął chrypiąc ze wzruszenia. — Niech cię Bóg ma w swej opiece! Patrz! — Tu pociągnął go do okna i obaj spojrzeli na rzekę, migocącą przepysznie pod złotymi strzałami słońca. — Dwa tysiące mil tej rzeki! Dwa tysiące mil przecinających samo serce głuszy. Znamy ją obaj. Nie, Paluch, nie jesteś stary. Knieja cię jeszcze woła. Knieja woła mnie również, żyje w nas duch przygód.

— Duch przygód i nadzieja — podszepnął tamten.

— Całe życie jest na nadziei oparte — odparł Kent cicho, jak gdyby mówił sam do siebie. Po czym ściskając dłoń Palucha dodał głośniejszym głosem: — Możliwe, że się nasze nadzieje nigdy nie spełnią. Miło jednak o tym marzyć. I co za zabawny zbieg okoliczności. Twojej na imię Mary, mojej Murette! Słuchaj, Paluch, ja...

Ciężkie kroki zadudniły w korytarzu. Szczęknęła zasuwa. Obaj odwrócili się od okna właśnie w chwili, gdy do celi wchodził dyżurny policjant. Był to znak, że rozmowa skończona. Paluch delikatnym kopnięciem zbudził śpiącego psa.

W pięć minut potem zupełnie inny Paluch wracał do domu nad rzeką, a u jego pięt dreptał zdumiony i nieszczęśliwy pies, gdyż chcąc dotrzymać kroku swemu panu, opasły kundel zmuszony był niemal biec truchtem. Wróciwszy Paluch nie opadł bynajmniej na stojący w cieniu fotel, lecz odrzucając kurtkę, zawiązał rękawy po łokcie i zaczął się grzebać z pasją w stosach zakurzonych akt, od podłogi po powalę niemal wypełniających główną izbę rudery.

Tego ranka, słysząc płynące z rzeki dzikie pieśni flisaków, Kent obawiał się niemal, że sam wnet pieśnią wybuchnie. Nie był także pewien, czy potrafi ukryć podniecenie przed oczyma innych, szczególnie przed oczyma Kedsty'ego, gdyby ten przypadkowo doń zajrzał. Doznawał wrażenia, że światło nadziei, tkwiące w głębi serca, samorzutnie promieniuje na zewnątrz.

Optymizm tak nim owładnął, że nie żałował już nawet, iż pierwsza próba ucieczki się nie powiodła. Kto wie, czy nie dobry los właśnie postawił mu na drodze Mercera. Poparcie Palucha podwajało obecnie szanse powodzenia. Zamiast ucieczki z pustymi rękoma w nieznane — miał wyruszyć dobrze przygotowany i w chwili odpowiedniej.

Błogosławił człowieka noszącego szpetne przezwisko Brudnego Palucha. Błogosławił przypadek, który pozwolił mu słyszeć na Dalekiej Północy jego niesamowitą historię. Dzięki temu wspomnieniu ktoś dawno umarły odżył na nowo. Męska energia, drzemiąca w tej nieforemnej, otyłej postaci, wyszła na jaw, ospała krew zaczęła płynąć szybciej. Wobec tej zmartwychwstałej niemal istoty Kent odczuwał już prawdziwą, męską przyjaźń.

Ojciec Layonne zjawił się dopiero po południu, przynosząc ciekawą nowinę. Misjonarz udał się nad brzeg rzeki, by odwiedzić Palucha, lecz Palucha na podsienu nie było. Psa nie było również. Kołatał do drzwi, ale nie otrzymał odpowiedzi. Gdzież się Paluch podział? Kent wzruszył ramionami, udając zupełną nieświadomość, ale serce waliło mu jak szalone. Wiedział przecież! Ojcu Layonne. oświadczył, iż się poważnie obawia, że cała prawnicza umiejętność Palucha nic mu nie pomoże, więc misjonarz opuścił celę bardzo strapiony. Obiecywał, że jeszcze z Paluchem pomówi i podsunie mu projekt obrony Kenta. Zostawszy sam, Kent zachichotał, ubawiony. Jakżeby się ojciec Layonne zgorszył, gdyby odgadł prawdę.

Nazajutrz ojciec Layonne przyszedł znowu, informacje zaś, jakie przyniósł, jeszcze bardziej podnieciły Kenta. Misjonarz ogromnie był z Palucha nierad. Ubiegłego wieczoru, zauważywszy światło w domu pokątnego doradcy, poszedł go odwiedzić. Zastał prócz gospodarza trzech ludzi, ciasno skupionych wokół stołu. Jednym był Metys Ponte, drugim czerwonoskóry Kinco, włóczęga z plemienia Psie żebro, trzecim wreszcie stary Indianin Mooie. Ci trzej cieszyli się opinią

nienajlepszą. Kent miał jednak ochotę śpiewać i tańczyć z radości, gdyż byli to zarazem trzej najdoświadczeni tropiciele śladów na całej Dalekiej Północy. Paluch nie zmarnował, widać, ani chwili.

Szczęście wrzało w duszy Kenta, lecz twarz miał chłodną i zgnębioną. Ojciec Layonne opowiadał, strapiony, że Paluch omawia z kompanami jakiś interes drzewny, nie ma zatem czasu zajmować się sprawą więźnia. Wczoraj nie chciał w ogóle tej kwestii poruszać, odkładając rozmowę na dzień następny.

No a dziś rano, gdy misjonarz udał się doń powtórnie, zastał po prostu drzwi zamknięte.

Kent był zupełnie pewien, że Paluch sam się zjawi. Cały dzień wyglądał go niecierpliwie. Przed południem przyszedł Kedsty i przez zakratowane okienko rzucił parę fałszywie brzmiących słów pociechy. Pod wieczór odwiedził Kenta Cardigan. Długo i serdecznie ścisnął prawicę więźnia. Zaraz też jął gawędzić o Mercerze. Asystent jest zupełnie rozbity, duchowo i fizycznie. Brak mu pięciu zębów. Musiano mu założyć na twarzy siedemnaście szwów. Cardigan był zdania, że są to wszystko skutki pobicia. Uśmiechając się tajemniczo, rzekł poufnym szeptem:

— Ach, Kent, jakżebym chciał, żebyś to ty właśnie tak mu dogodził.

Paluch zjawił się dopiero o czwartej po południu. Od wczoraj zmienił się jeszcze bardziej. Nie sapał. Zeszczupłał jak gdyby, twarz miał ruchliwą i ta właśnie ruchliwość przede wszystkim rzucała się w oczy. Żrenice mu ściemniały. Przyszedł sam, bez psa. Z uśmiechem ścisnął prawicę Kenta. Kent ujął go za ramiona i potarł przyjaźnie. Milczał jednak nie śmiąc pytań zadawać. Paluch przemówił pierwszy, szeptem.

— Całą noc się krzątałem — rzekł. — Dniem nie mogę się zbyt ruszać, boby się ludzie zanadto dziwili. Ale na moją duszę, Kent, nocy nie zmarnowałem! Zrobiłem dobre dziesięć mil pieszo. Sprawa posuwa się naprzód. Posuwa się, o tak...

— A Ponte, Kinco i Mooie? — spytał Kent bez tchu.

— Pracują, jakby się paliło — szeptał Paluch z przejęciem. — To zresztą jedyny sposób. Przewertowałem wszystkie swoje akta, Kent — nie masz prawa, które by cię mogło ocalić. Czytałem twoje zeznanie i szczerze mówiąc, wątpię nawet, byś się więzieniem wykręcił. Masz już po prostu stryczek na szyi. Powiesiliby cię, ani chybi. Musimy więc cię wydobyć w sposób nielegalny. Mówiłem z Kedsty'm. Wydał już odpowiednie zarządzenia. Mają cię odstawić do Edmonton od jutra za dwa tygodnie. Czasu nie za wiele, ale starczy.

W ciągu trzech dni następnych Paluch odwiedzał Kenta każdego popołudnia, sam zaś wyglądał coraz lepiej i zdrowiej. Jakiś potężny bodziec urabiał bezkształtną masę jego ciała, uwydatniając mięśnie i kości, kasując zbędny tłuszcz. Drugiego dnia oświadczył Kentowi, że znalazł już sposób odpowiedni i gdy godzina wybije, wszystko pójdzie gładko, na razie jednak woli zachować plan w tajemnicy, a zdradzi go dopiero w ostatniej chwili. Więzień musi ufać i być cierpliwy.

To było wskazaniem naczelnym, zasadniczym warunkiem powodzenia. Ufać do końca, cokolwiek by zaszło. Paluch podkreślił tę okoliczność parokrotnie. Trzeciego dnia zachowanie pokątnego doradcy zdziwiło Kenta. Paluch był niespokojny, zdenerwowany, coś tam bąkał niewyraźnie, lecz wreszcie oświadczył, że plan swój wyjawia dopiero jutro. Zabawił w celi krótko, pięć do dziesięciu minut, wychodząc zaś niezwykle silnie uściśnął dłoń Kenta.

Po wyjściu Palucha Kent doznał przykrego uczucia niepokoju. Niecierpliwie oczekiwał następnego dnia. Wreszcie minęła noc, nadszedł ranek i Kent skupił całą uwagę na nasłuchiwanie znanego odgłosu kroków.

Ale minęło wlokące się nieznośnie popołudnie, upłynął rozpaczliwie długi wieczór, nadeszła noc, a Paluch się nie pojawiał. Kent położył się na pryczy, jednak ledwo się zdrzemnął.

Dochodziło znów południe, gdy przyszedł ojciec Layonne. Kent nagryzmołił parę słów do Palucha i poprosił misjonarza o doręczenie notatki pod właściwym adresem. Kończył właśnie jeść obiad, gdy misjonarz wrócił. Wyraz jego twarzy upewnił Kenta, że przynosi wiadomości jak najgorsze.

— Paluch jest... zaprzańcem — rzekł, zaś po drganiu warg należało sądzić, iż ciśnie mu się na usta słowo znacznie gorsze. — Siedzi znów przed domem zaspany i twierdzi, że po długim namyśle doszedł do przekonania, iż nic dla ciebie uczynić nie może. Przeczytał twoją kartkę i zaraz ją spalił za pomocą zapalki. Prosił, aby ci powiedzieć, że pierwotny plan uznał za zbyt dla siebie ryzykowny. Prosił także powiedzieć, że więcej do ciebie nie przyjdzie. Poza tym... Poza tym...

Misjonarz nerwowo zacierał ręce, aż chrzęściła twarda, spracowana skóra.

— Co dalej? — spytał Kent głosem lekko ochrypłym.

— Porozumiał się przez posłańca z inspektorem Kedsty'm — kończył ojciec Layonne. — Kazał mu powiedzieć, że nie widzi dla ciebie ratunku i że się obrony nie podejmuje, gdyż uważa to za daremny wysiłek, Jimmy.

Ojciec Layonne wyciągnął dłoń muskając łagodnie ramię Kenta. Więzień był biały jak płótno. Odwrócony ku oknu, długą chwilę spoglądał w dal nic nie widząc. Potem nerwowo napisał parę słów na skrawku papieru i notatkę tę wręczył ponownie misjonarzowi.

— Proszę mu to jeszcze zanieść — wyjąkał.

Ojciec Layonne wrócił z odpowiedzią dopiero pod wieczór. Paluch nie pofatygował się odpisać. To, co myślał, przekazał ustnie. Nie widzi dla Kenta możliwości ratunku. Wszelkie starania są bezcelowe. Bardzo żałuje, ale nic innego nie wymyśli. Prosi, by Kent więcej do niego nie pisał. Zdania stanowczo nie zmieni. Kartkę Kenta potraktował tak jak poprzednio: spalił papier zapalką.

Kent jeszcze nie mógł uwierzyć. Resztę dnia spędził usiłując przeniknąć logikę Palucha, ale nic nie mógł zrozumieć. Skąd ta nagła zmiana? Chyba że prawdą jest, co pokątny doradca wyznał ojcu Layonne. Strach tłuszciocha obleciał. Bojowy człowiek ustąpił przed miłującym spokój wygodnisiem.

Piątego dnia Kent wstał z pryczy pieszcząc w sercu resztki złudzeń. Lecz minął ten dzień, minął następny, a zgodnie z relacją misjonarza Paluch siedział wciąż w progu domostwa, nie myty, nie czesany, słowem, po dawnemu Brudny Paluch.

Siódmego dnia nadzieje Kenta runęły ostatecznie. Kedsty zmienił zamiar co do dalszych losów więźnia. Nazajutrz rano już Pelly wraz z drugim policjantem mieli konwojować Kenta do Edmonton.

Na wieść o powyższym zarządzeniu Kent doznał dziwnego wrażenia. Czuł po prostu, jak się starzeje, a lata przeżyte przytłaczają mu barki. Myśl nawet uległa wyraźnej awarii.

Wyobraził sobie, iż w grę wkracza fatalizm. Siły zawiodły go przy pierwszej próbie ucieczki. Potem zawiódł Paluch. Zawiodło wszystko. Po raz pierwszy, odkąd podjął nierówną walkę, Kent zaczął kłąć. Równowaga duchowa i optymizm mają także swoje granice. Kent przekroczył granice wytrzymałości.

Popołudnie owego siódmego dnia było przygnębiająco pochmurne. Rosił rześisty deszcz, gęstniejący w miarę zbliżania się mroku. Kent spożył kolację przy świetle lampki więziennej.

O ósmej na zewnątrz nastąpiła zupełna noc. W nieprzeniknionej czerni dudnił czasem grzmot lub rozświetlała niebo krwawa błyskawica. Ulewa bębniła po dachu uporczywie i monotonnie.

Kent trzymał właśnie w dłoni zegarek — było kwadrans na dziesiątą — gdy usłyszał szcęk otwieranych i zamykanych drzwi głównych. Od kolacji zamykały się już i otwierały ze dwadzieścia razy i nigdy na to nie zwracał uwagi, teraz wszakże skrzypieniu zawiasów towarzyszył głos, na dźwięk którego Kent podskoczył jak rażony igłą elektryczną. Po chwili zadźwięczał śmiech, śmiech kobiecy!...

Kent zerwał się z tapczana. Teraz zamknęły się drzwi biura i nastąpiła cisza. Zegarek w dłoni

Kenta dziwnie głośno odliczał sekundy. Kent wetknął go do kieszeni, półprzytomnie wlepiając oczy w przestrzeń. Drzwi biura otwarły się znowu. Sądząc z dźwięków pozostały już otwarte. Lekkie, niepewne kroki zbliżały się w korytarzu, więc serce w piersi Kenta przestało bić. Kroki dźwięczały coraz bliżej, ucichły, zbliżały się znowu.

Chwila jeszcze i w zakratowanym okienku celi błysnęły piękne oczy Murette Radisson.

ROZDZIAŁ XII

NA SWOBODZIE

Kent zaniemówił na razie. Nie wydał dźwięku, nie uczynił ruchu powitalnego, lecz tkwił pośrodku celi, wlepiwszy oczy w otwór okienny. Nie potrafiłby słowa z siebie wydobyć, gdyby nawet życie od tego zawisło, ale twarz zmieniona mówiła wyraźnie, co się dzieje w jego duszy.

Dziewczyna patrzyła na niego, oburącz trzymając się krat. Twarz miała bardzo bladą, a w tej bladości błękitne oczy sprawiały wrażenie czarnych. Odsunęła z czoła kaptur ociekającego wodą gumowego płaszcza i na tle białych policzków zalśniły kosmyki mokrych włosów. Krople dżdżu wisiały na długich rzęsach.

Kent, nie śmiąc przestąpić wąskiej dzielącej ich przestrzeni, odnalazł wreszcie głos. Wyciągając ręce wyjąkał:

— Murette!

Dziewczyna zacisnęła palce na kracie, aż paznokcie jej zbladły. Oddychała szybko przez rozchylone wargi. Nie miała na twarzy cienia uśmiechu. Nie powitała więźnia; mogło się zdawać, iż go w ogóle nie poznaje.

To, co się stało następnie, było tak zaskakujące, tak niepojęte, że serce zamarło po prostu w piersi Kenta. Dziewczyna cofnęła się od okienka, wydając długi, przeraźliwy krzyk. Stojąc w korytarzu, twarzą zwróconą w kierunku więźnia, krzyczała wciąż tym samym głosem, jakby pod wpływem okropnego przerażenia.

Z biura doleciał łoskot wywracanego krzesła, podniecone głosy, tupot biegnących nóg. Murette Radisson cofnęła się w głąb korytarza z twarzą wykrzywioną przerażeniem, wskazując palcem na celę Kenta. Carter, Pelly i trzeci policjant, odkomenderowany specjalnie dla eskortowania Kenta do Edmonton, minęli ją pędem.

Kent tkwił jak skamieniały. Zdumienie odebrało mu możliwość ruchu. Widział, jak do krat okienka cisną się twarze trzech policjantów, pełne napięcia twarze ludzi pewnych, że ujrzą coś okropnego.

Nagle za ich plecami Kent dojrzał rzecz nową. Oto Murette Radisson błyskawicznie sięgnęła do kieszeni płaszcza i w dłoni jej błysnął rewolwer. Twarz jej również momentalnie zmieniła wyraz. Oczy, pełne radosnego uśmiechu, rozbłysły niby gwiazdy. Serce Kenta poruszyło się tak gwałtownie, jakby chciało wyskoczyć poza obręb celi. Rysy musiały chyba zdradzić, co się dzieje w piersi więźnia, gdyż Carter odwrócił się gwałtownie.

— Proszę o spokój, panowie — rzekła Murette Radisson. — Pierwszy, który uczyni ruch podejrzanym, dostanie kulą w głowę.

Głos miała dźwięczny i spokojny, dziwnie przejmujący zarazem. Rewolwer trzymała pewnie. Był to niewielki, czarny browning. Stalowa lufa błyszczała groźnie. W oczach dziewczyny migotał ogień. Trzej policjanci patrzyli w milczeniu i jakby za wspólną zgodą unieśli ręce nad głowę. Murette zmierzyła z rewolweru prosto w serce Pelly'ego.

— Pan ma klucz — rzekła. — Proszę otworzyć drzwi celi. Pelly pogmerał w kieszeni i wyjął klucz. Nagle trzeci policjant parsknął chrypliwym śmiechem i opuścił ręce.

— Dobry kawał! — rzekł. — Ale to ci się nie uda!

— Właśnie że się uda! — padła stanowcza odpowiedź. Mały, czarny browning skierował się w jego stronę, w chwili gdy kładł dłoń na pochwie u pasa. Murette miała uśmiech na wargach i płomień w oczach.

— Ręce do góry! — rzekła tonem stanowczym.

Policjant zawahał się, po czym zwarł palce na kolbie służbowego rewolweru. Kent, wstrzymując oddech, zauważył, jak ciało Murette nieznacznie sztywnieje i jak drgają wzniesione nad głową ręce Pelly'ego.

Jeszcze sekunda i on również powiedziałby, że to się nie uda.. Lecz w tej sekundzie właśnie musiał zdanie zmienić. Z lufy małego browninga trysnęły raptem dym i ogień, a policjant z Edmonton zatoczył się wstecz, oparł plecami o mur i stał tam zwieszając bezwładnie postrzelone prawe ramię. Nie wydał jęku, lecz twarz miał zmienioną bólem.

— Proszę otworzyć drzwi celi!

Mały, groźny browning mierzył znów w pierś Pelly'ego. Uśmiech znikł całkowicie z warg dziewczyny. Tylko oczy wciąż płonęły. Oddychała szybko, pochylona nieco ku przodowi. Z naciskiem powtórzyła rozkaz. Nagły trzask piorunu częściowo zagłuszył słowa, mimo to Pelly zrozumiał:

— Otwórz drzwi, bo cię zabiję!

Już się nie wahał. Klucz zgrzytnął w zamku. Kent nie czekając pchnął drzwi i wyskoczył na korytarz. Jednym rzutem oka objął sytuację, zważył możliwości i wprowadził myśli w czyn. Zdumiewające zuchwalstwo podstępny Murette, zręczność, z jaką władała bronią, napęłniły go radosnym podziwem. Poczul, jak coś się w nim budzi i przetwarza. Apatyczny więzień zniknął, zastąpił go dawny Jim Kent, rzutki i energiczny.

Dopadłszy Cartera wyrwał mu z pochwy rewolwer, po czym trzymając w szachu dwu pozostałych policjantów, rozbroił ich w jednej chwili. Za sobą usłyszał dźwięczny, pełen triumfu głos Murette.

— Proszę ich zamknąć w celi, panie Kent.

Nie oglądając się za nią zmusił pod groźbą rewolweru Pelly'ego i policjanta z Edmonton, by weszli tyłem do celi. Carter nie ruszył się jeszcze. Dziewczyna mierzyła do niego z browninga, on zaś obserwował ją uważnie. Na ustach igrał mu dziwny uśmiezek. Zwracając nieco głowę, poszukał oczyma oczu Kenta i mrugnął nań porozumiewawczo, radośnie, z przyjaznym zadowoleniem. Tak, niewątpliwie Carter był rad!

Kent miał wielką ochotę uścisnąć mu rękę, zamiast tego jednak kazał mu się cofnąć do celi, zamknął drzwi na klucz i z kluczem w garści spojrzał na Murette.

Oczy jej płonęły jak gwiazdy. Nigdy chyba nie widział oczu tak odważnych. Wtem skręciła w miejscu i frunęła po korytarzu niby ptak, wzywając go za sobą.

Biegając minęli pokój biurowy. Dziewczyna dopadła drzwi zewnętrznych i otworzyła je jednym szarpnięciem. Na dworze było zupełnie czarno. Ulewa smagała im twarze. Mimo to Murette nie nakryła głowy kapturem. Kent zamykał właśnie drzwi, gdy uczuł jej rękę na swym ramieniu. Szukając po omacku, odnalazła dłoń mężczyzny i wtuliła w nią palce.

Szli zgięci pod ulewą. Jaskrawa błyskawica, przesywając raptem ciemności, ukazała mu sylwetkę dziewczyny z nagą głową podaną na wiatr. Potem huknął grzmot, a ziemia zadrżała pod stopami. Murette kurczowo zacisnęła palce wokół dłoni Kenta. Poprzez szum drzew usłyszał jej głos mówiący:

— Boję się... grzmotów.

Wówczas Kent wybuchnął śmiechem, swobodnym, rozlewnym śmiechem, pełnym szczęścia. Miał ochotę stanąć, przytulić ją do serca, a potem wziąć na ręce i nieść. Gotów był prawie krzyknąć z uciechy, tak go rozpierała radość. Przed chwilą to kobieciątka stawiało czoło trzem najdzielniejszym szeregowcom policji. Jednego postrzeliła nawet. A teraz boi się burzy. Miał zamiar coś powiedzieć,

lecz dziewczyna przyspieszyła kroku i biegnąc prawie, pociągnęła go za sobą.

Zamiast prowadzić Kenta w stronę rzeki, wiodła go w stronę lasu leżącego za dworkiem inspektora Kedsty.

Mimo ulewy i ciemności nie zawahała się ani razu. W uścisku jej palców była moc nakazująca, chociaż drgały kurczowo, ilekroć w pobliżu huknął grom. Kent nabrał niezłomnej pewności, iż Murette wie dobrze, dokąd iść mają. Radowała go każda błyskawica, przy tym świetle bowiem mógł sycić oczy widokiem dziewczyny: jej obnażonej głowy zgiętej pod wiatr, bladości czystego profilu, harmonii szczupłej sylwetki, walczącej dzielnie z grząską ziemią.

Jej obecność cieszyła go bardziej niż odzyskana swoboda, Miał ją u swego boku. Tulił jej dłoń w swym ręku. Przy świetle błyskawic mógł ją widzieć. Czuł nieraz przelotne muśnięcie jej ramienia. Drobne palce dziewczyny przekazywały mu ciepło i energię. Jakże dawno marzył o podobnej towarzysze! I oto przyszła. Jest z nim! Wyzwoliła go z krzyżów więziennych, a teraz wiedzie pewną ręką poprzez mrok i huk nawałnicy.

U szczytu małego pagórka, w pół drogi między więzieniem a dworkiem inspektora Kedsty, przystanęła po raz pierwszy. Kent miał znów szaloną ochotę porwać ją w ramiona, przytulić i głośnym krzykiem wypowiedzieć swą nieprzytomną radość. Opanował się jednak. Trzymając jej rękę stał w milczeniu, ale patrzył na nią właśnie w chwili, gdy nowa błyskawica rozdarła ciemności. Działo się to tak blisko, że słychać było syk powietrza, jak podczas zapalania silnej rakiety. Mimo woli, szukając męskiej opieki, dziewczyna przytuliła się do Kenta, chyląc głowę pod ogłuszającym traskiem grzmotu. Kent wyciągnął dłoń na oślep i musnął zroszoną deszczem twarzyczkę oraz włosy ociekające wodą.

— Murette! — krzyknął. — Dokąd idziemy?

— Tam — odparła bez namysłu.

Wyzwoliła się z jego objęć i choć nie mógł nic zobaczyć, czuł, że dłonią wskazuje kierunek. Wkoło leżał ciemny chaos, morze zupełnego mroku, ale w tej czerni, na przedzie, Kent dojrzał światełko. Wiedział, że jest to lampka płonąca w jednym z okien dworku inspektora i że Murette kieruje kroki podług tego światła właśnie.

Energicznie ruszyła w dół wzgórza, prowadząc go za sobą. Dotyk jej ręki był tak rozkoszny, że Kent nie zważał wcale na coraz to rosnące nasilenie ulewy. Gnane wiatrem strugi deszczu cięły po twarzy niby bicze. Palce Murette konwulsyjnie ścisnęły dłoń Kenta, niby palce dziecka bojącego się, że upadnie. Ilekroć zaś dudnił nowy grom, uścisk stawał się silniejszy i szczęście Kenta rosło, światło było coraz bliżej. Mózg Kenta pracował. Na północny zachód od dworku inspektora leżała ścieżka leśna, na której Kedsty i O'Connor spotkali niegdyś Murette. Niewątpliwie dziewczyna wiodła go tam właśnie. Kent czuł, jak na wargi ciśnie mu się szereg pytań żądających natychmiastowej odpowiedzi. Po co uciekać w las? Należy stanowczo skrócić ku rzece. Rzeka daje najlepszą, najpewniejszą możliwość ucieczki. Czy Murette o tym pomyślała? Czy poczyniła jakiegokolwiek przygotowania? Czy ucieknie z nim razem?

Zbrakło mu czasu na dłuższe rozważania. Pod stopami czuł żwir ubitej ścieżki wiodącej do drzwi domu i w tejże chwili Murette skrzyła prosto na bijące z okna światło. Po czym ku najgłębszemu swemu zdumieniu Kent usłyszał jej głos pełen triumfalnej radości:

— Jesteśmy w domu!

W domu? Kent z trudem przełknął powietrze. Był nie tylko zdziwiony. Był oszołomiony zupełnie. Doznał prawdziwego wstrząsu. Czy dziewczyna zwariowała, czy też pozwala sobie na niewłaściwy żart? Jak to, więc uwolniła go z więzienia po to tylko, by zaprowadzić go do mieszkania inspektora policji, przy tym najgroźniejszego z jego wrogów osobistych. Stał, Murette Radisson zaś szarpnęła

go za rękę, by szedł dalej. Mocno ścisnęła dłoń mężczyzny, jak gdyby w obawie, że ucieknie.

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, panie James! — krzyknęła mu na ucho. — Proszę się nie bać!

Panie James! I ta nutka drwiącego śmiechu w głosie! Kent opanował nerwy i w ślad za nią wstąpił na trzy kamienne schodki wiodące do drzwi wejściowych. Ręka dziewczyny odnalazła klamkę, drzwi się otwały i szybko zamknęły za nimi. Tuż, we framudze okiennej, stała zapalona lampa, lecz Kent miał oczy tak zalane deszczem, że przez chwilę trudno mu było cokolwiek odróżnić. Mrugnął powiekami, przesunął dłonią po oczach i spojrzął na Murette. Stała o parę kroków zaledwie. Była bardzo blada i zadyszana, ale uśmiechała się do niego. Od stóp do głowy ociekała wodą.

— Jakże pan zmókł! — rzekła. — Boję się, że się pan przeziębisz. Proszę iść za mną.

Kpiła zeń znowu, tak samo jak wtedy w szpitalu. Odwróciwszy się pobiegła na górę po schodach, a Kent podążył za nią. Na piętrze czekała chwilę, gdy zaś zrównał się z nią, wyciągnęła rękę i ponownie ujęła jego dłoń. Zdawała się przeproszać, iż wszedłszy do domu, puściła go samopas. Teraz powiodła Kenta korytarzem, ku drzwiom najbardziej oddalonym od schodów. Otworzyła je i weszli oboje.

Wewnątrz panowała zupełna ciemność. Dziewczyna puściła znów rękę Kenta. Słyszał, jak porusza się w mroku. Stał bez ruchu dziwnie wzruszony. Powietrze, które wciągał w płuca, było zupełnie inne niż powietrze korytarza. Czuło się w nim zapach kwiatów i coś jeszcze — słaby, nieuchwytny zapach kobiecej izdebki. Kent czekał wpatrzony w ciemność. Szeroko otwartymi oczyma ułowił błysk zapałki w palcach Murette. Potem błysnęła lampa.

Kent patrzył nadal. Jak gdyby dając mu czas do zaznajomienia się z otoczeniem, Murette wolno zdejmowała płaszcz nieprzemakalny. Pod płaszczem była sucha zupełnie, miejscami tylko, na ramionach, gdzie woda spłynęła z mokrych włosów, widniała wilgotna smuga. Zauważył, że nosi krótką sukienkę i trzewiczki z prześlicznie wyprawionej skóry karibu.

Nagle zbliżyła się do Kenta wyciągając ku niemu obie ręce.

— Proszę mi podać rękę i powiedzieć, że pan się cieszy — rzekła. — Proszę nie robić takiej przerażonej miny. To mój pokój i jest pan tu zupełnie bezpieczny.

Mocno ścisnął jej ręce, zaglądając w głąb modrych oczu, patrzących szczerze i otwarcie niby oczy dziecka.

— Ja... niezupełnie rozumiem — rzekł. — Murette, gdzie jest Kedsty?

— Powinien zaraz wrócić.

— I oczywiście wie, że ty tu jesteś? Skinęła głową:

— Oczywiście. Mieszkam tu od miesiąca. Kent ścisnął jej dłonie silniej jeszcze.

— W dalszym ciągu nie pojmuję — powtórzył. — Lada chwila Kedsty będzie wiedział, że to ty wydostałaś mnie z więzienia i postrzeliłaś policjanta Willisa. Na miłość boską, nie wolno nam tracić czasu! Powinniśmy uciekać co prędzej!

— Istnieje ważny powód, dla którego Kedsty nie ośmielił się zdradzić mojej obecności w tym domu — odparła dziewczyna spokojnie. — Umrze raczej. I ani mu przez myśl przejdzie, że przywiodłam pana do swego pokoju, że zbiegły morderca kryje się pod dachem inspektora policji. Będą pana szukać wszędzie, tylko nie tu. Czyż to nie wspaniałe? On to wszystko obmyślił w najdrobniejszych szczegółach, nawet ten krzyk przed okienkiem pana celi...

— Kto taki? Kedsty?!

Wysunęła dłonie z jego rąk, cofnęła się nieco i oczy jej zaświeciły dziwnie.

— Nie, nie Kedsty. On by powiesił pana, a mnie zabił, gdyby tylko śmiał. To ten tłusty, zabawny

przyjaciel pana, tak zwany Paluch.

ROZDZIAŁ XIII

NIESAMOWITY DOM

Kent wpatrzył się w nią. Nieco później zdał sobie sprawę, iż musiał mieć w tej chwili wyjątkowo głupią minę. Jak to, więc Brudny Paluch, któremu tylekroć wymyślał w duchu od tchórzy, którego nazwał odstępcą, zajęty był ułatwieniem mu ucieczki! A on go klął za daremne rozbudzenie nadziei i nadziei tych brutalne rozbicie.

Zrobiło mu się wstyd. Potem uśmiechnął się mimo woli. Ano, tak już w życiu bywa. Za to przynajmniej teraz wszystko było jasne. Jeżeli już nie przyszłość, to sytuacja obecna. Zaledwie jednak to pomyślał, uczył, że i obecnie piętrzy się góra zagadek, jedna przez drugą tłocząc na język pytania. Co, jak, dlaczego? Już miał wypowiedzieć kolejne wątpliwości, gdy spojrzał na Murette i zapomniał o wszystkim prócz niej.

Murette wyjmowała z włosów grzebienie i szpilki. Mokre, lśniące sploty opadły w nieładzie. Kent nie widział nigdy nic tak pięknego. Włosy obramiały jej twarz, kryły szyję, ramiona i plecy, migotliwą falą spływając poniżej bioder. Drobne krople wody świeciły w nich niby diamenty i jak krople rosy spadały na podłogę.

W myśli przyrównywał ten wspaniały płaszcz do bezcennego futra soboli. Murette zgarnęła włosy rękami i wstrząsnęła mocno wytrzepując ostatki deszczu, przy czym parę kropel bryznęło na twarz Kenta. W jednej chwili wszystko pogrąży się w niepamięci: więzienie, szubienica, Kedsty, Paluch. Tylko ona, Murette, była coraz bliższa, coraz droższa, coraz bardziej upragniona.

W mózgu kłębiły mu się niezliczone obrazy. Miał jej przecie szukać w dorzeczu Athabaski, po całej dzikiej, północnej krainie. Wiara, że ją odnajdzie, dodawała mu sił w nierównej walce. A teraz nie potrzebuje już wałęsać się po świecie, tropiąc ślad zawikłany. Nie o pięćset mil ją ma, tylko tuż, na odległość ręki.

Odwróciła się właśnie od niego, odrzuciła włosy na plecy i twarzą do lustra rozczesywała je szybko, lecz starannie. Kent usiadł na pobliskim krześle i milcząc ważył ciężką odpowiedzialność, która mu spadła na barki. Paluch ułożył plan. Ona go wykonała. Zakończyć sprawę musiał on.

Patrzył na nią nie jak na cenną nagrodę możliwą do sięgnięcia, lecz jak na kosztowną, pozyskaną już własność. Losy ich się sprzęgły. Deszcz tysiącem kropel kołatał do okna. Za szybą leżała noc, rzeka — i świat stał otworem. Poczul we krwi gorący płomień: chęć czynu. Pójdą zaraz, zanim się rozjaśni. Po cóż mają czekać. Po co marnować czas pod dachem wroga, gdy wolność leży tuż.

Ale nie ruszył się jeszcze. Chłonał oczyma zręczne ruchy jej rąk, nasłuchiwał jedwabistego chrzęstu wygładzanych szczotką włosów.

Nagle odwróciła się do niego twarzą.

— Przyszło mi właśnie na myśl — rzekła — że nie powiedział mi pan jeszcze dziękuję.

Zerwał się z krzesła i stanął przy niej tak nagle, że aż się przelęknęła. Już się nie wahał. Oburącz chwycił obie jej dłonie, zagarniając jednocześnie miękkie pasma włosów. Beładne słowa tłoczyły mu się na wargi. Nie pamiętał nawet później, co jej mówił. Rozszerzone oczy dziewczyny patrzyły nań bez zmrużenia powiek.

Dziękować! Otworzył przed nią serce na rozcież, wyjawiał wszystko, co przecierpiał i przemyślał, odkąd go odwiedziła w szpitalu. Zdradził marzenia i sny najskrytsze, zamysł odnalezienia jej za wszelką cenę, jeśli się ucieczka powiedzie. Postanowił, że ją odszuka, choćby miał w tym celu życie całe poświęcić. Dziękować! Bezwiednie gniótł jej ręce aż do bólu, a głos mu

drgał. Pod chmurą włosów policzki Murette zabarwiły się ciepłym rumieńcem. Ale oczy pozostały spokojne. Patrzała tak chłodno, z taką powagą, iż Kent poczerwieniał raptem, puścił jej ręce i cofnął się o krok.

— Proszę mi wybaczyć, że mówię to wszystko — bąknął. — Ale to szczerą prawdą. — Przyszedł do tego szpitala niby cudny sen, o którym trudno marzyć, by się ziścił. A potem zjawiłaś się w celi jak... jak...

— Och, doskonale wiem, jak wtenczas przyszedłam — przerwała mu wesoło. — Po deszczu i błocie. A było tak ciemno, że zgubiłam drogę i byłam w wielkim strachu, że w ogóle do więzienia nie trafię. W stosunku do planu pana Palucha spóźniłam się o całe pół godziny, toteż myślę, że inspektor Kedsty powinien się zjawić lada moment. Nie wolno więc panu mówić tak głośno ani tak dużo.

— O Boże! — szepnął Kent. — Rzeczywiście, terkocę jak młyn. Ale nie powiedziałem nawet setnej części tego, co bym chciał powiedzieć. Ostatecznie, mogę z niektórych pytań zrezygnować, ale pewne rzeczy wiedzieć muszę. Dlaczego tu jesteśmy? Dlaczego nie udaliśmy się nad rzekę? Porwać dobrą łódź — i jazda! Noc jest wymarzona...

— Za pięć dni sposobność będzie jeszcze lepsza — rzekła Murette, na nowo zabierając się do osuszania włosów. — Wtedy będzie pan mógł udać się nad rzekę. Inspektor Kedsty trochę nam plany pogmatwał przyspieszając termin odstawienia pana do Edmonton. Ta piąta noc miała być właśnie nocą pańskiej ucieczki...

— A ty?

— Ja zostanę tutaj.

Pomilczała trochę i dodała dziwnym głosem:

— Zostanę, by zapłacić Kedsty'emu cenę, jakiej zażąda za zdarzenia nocy dzisiejszej.

Kent uczył w sercu lodowate zimno.

— Na miłość boską! — krzyknął. — Murette!

Stała z nim twarzą w twarz.

— Ach, nie dam się przecież krzywdzić! — rzekła wyzywająco. — Nie idzie wcale o to, co pan miał na myśli. Zabiłabym go raczej, niżbym się dała tknąć. Żałuję w ogóle, że powiedziałam panu tak wiele. Ale teraz proszę nie pytać o nic. Nie wolno i już!

Drżał. Nigdy nie widział jej tak podnieconej. Czuł też dobrze, iż nie są to puste słowa, że w obronie czci własnej potrafi walczyć, a nawet w razie potrzeby — zabić.

— Dobrze, nie będę o nic pytał — rzekł swobodnie. — Nie pytam nawet, jakiej to ceny zażąda inspektor Kedsty, a to dla tej prostej racji, że nic mu nie zapłacisz. Jeśli nie odjedziesz wraz ze mną, nie ruszę się stąd w ogóle. Niech mnie raczej powiesz. Jeśli mówiłaś prawdę, pochodzisz z Północy. Jadę na Północ, więc zabieram cię z sobą. Razem albo wcale. Sam nie zrobię ani kroku.

Odetchnęła głęboko, jakby jej ciężar spadł z piersi. Z błękitnych oczu pierzchnął złowrogi cień; zaświeciły pogodnie. Usta, zacięte gniewem, rozchyliły się w uśmiechu. Nie były to przeprosiny za porywczosć, lecz szczerą radość, której bynajmniej nie zamierzała ukrywać.

— Pan jest strasznie miły — rzekła. — Cieszę się, że pan tak powiedział. Nie sądziłam wcale, że to tak przyjemnie usłyszeć, że ktoś gotów jest dla ciebie zawisnąć na szubienicy. A jednak pan będzie musiał odejść. A ja będę musiała zostać. Na razie nie mam czasu wszystkiego wyjaśnić, gdyż inspektor Kedsty zaraz się zjawi, więc muszę przedtem wysuszyć włosy i pokazać panu pańską kryjówkę.

Zaczęła się czesać. W lustrze Kent zobaczył jeszcze uśmiech gasnący na jej wargach.

— Nie zadaję wcale pytań — zastrzegł się z góry. — Ale gdybyś wiedziała, jak bardzo

chciałbym wiedzieć, gdzie jest Kedsty, w jaki sposób Paluch cię odszukał, dlaczego udawałaś przed wszystkimi, że opuszczasz Athabaska Landing, po co wróciłaś? Przecież układając włosy mogłabyś porozmawiać trochę.

— Jeśli chodzi o odszukanie mnie — zaczęła Murette — to stary Mooie dowiedział się w jakiś sposób, że tu mieszkam. Potem pewnej nocy, gdy inspektor był na służbie, pan Paluch sam się zjawił, wszedł do środka przez otwarte okno i w chwili kiedy miałam go właśnie zastrzelić jako włamywacza, powiedział, że pan go przysłał. Wiedziałam zresztą, że pan będzie żył — to jest, że nie umrze pan na ten aneurizm serca. Kedsty mnie uprzedził. Gdyby pan Paluch się tą sprawą nie zajął, sama miałam panu ułatwić ucieczkę. Co do inspektora zaś...

Nagle zeszywniała. Szczotka zawisła na włosach. Usłyszała dźwięk i Kent usłyszał go również. W zasłonięte firanką okno kołatał ktoś z metalicznym szczękiem. A okno to znajdowało się o piętnaście stóp nad ziemią.

Dziewczyna krzyknęła i cisnąwszy szczotkę podbiegła do okna, podniosła firankę, a potem opuściła ją znowu. Teraz zwróciła się do Kenta, dzieląc jednocześnie włosy na pasma i szybko splatając je w gruby warkocz:

— To Mooie! — zawołała. — Kedsty wraca!

Chwyciła go za rękę, pociągając ku wezglowiu łóżka, gdzie na grubym drucie od sufitu do podłogi zwisała ciężka kotara. Rozsunęła ją szybko. W głębi znajdowały się kobiece suknie i drobiazgi w ilości, zdaniem Kenta, niezliczonej.

— Jeśli zajdzie potrzeba, musi się pan tu schować — rzekła, przy czym głos jej drżał lekko z podniecenia. — Nie sądzę, by do tego doszło, ale w razie czego proszę się nie wahać. Niech pan przykucnie w najdalszym kącie i milczy. Bo jeśli Kedsty pana tutaj znajdzie...

Zajrzała mu w oczy i w głębi błękitnych źrenic Kent dostrzegł jakby lęk.

— Jeśli znajdzie pana tutaj, będzie to dla mnie rzeczą straszną — ciągnęła Murette, a ręce jej muskały ramiona Kenta. — Nie mogę panu na razie powiedzieć, o co chodzi, ale to gorsze niż śmierć! Czy obiecuje mi pan nie ruszać się z tego pokoju, cokolwiek by zaszło, cokolwiek by pan usłyszał? Czy zechce pan to dla mnie zrobić, panie Kent?

— Jeżeli będziesz mnie nazywała panie Kent, to nie — odparł czując, że mu coś zawadza w gardle.

— Więc czy zrobisz to dla mnie, Jeems? Czy obiecasz, że nie wyjdiesz stąd, cokolwiek byś słyszał? Za to gdy wrócę, pocałuję cię!...

Pieszczotliwie niemal zsunęła rękę z jego ramion, odwróciła się i wybiegła zamykając drzwi za sobą, zanim nawet zdążył sformułować obietnicę.

ROZDZIAŁ XIV

ZAGADKI

Kent pozostawał czas jakiś bez ruchu, wpatrzony w drzwi, za którymi znikła Murette. Jej niedawna bliskość, pieśczośliwe dotknięcie rąk, wyraz oczu, obietnica pocałunku, łącznie z odwagą, jakiej dawała dowód idąc na spotkanie inspektora — oszołomiły go po prostu. Patrzył na drzwi, lecz nie widział ani drzwi tych, ani ściany, ani nawet pokoju. Tylko twarz dziewczyny widniała przed nim: błękitne oczy i rozchylone pąsowe usta.

Bała się inspektora. Był tego zupełnie pewien. Mówiąc doń Jeems, które to zdrobnienie imienia James jest na Dalekiej Północy w powszechnym użyciu, nie miała na twarzy cienia uśmiechu. Nie na żart rzuciła obietnicę pocałunku. Powaga jej graniczyła z tragizmem.

Podszedł do drzwi i nasłuchiwał z bijącym sercem. Ciekaw był, co się dzieje na dole; interesowało go wszystko mające z nią jakikolwiek związek. Ufał jej jednak tak dalece, że postanowił nie schodzić na dół, cokolwiek by usłyszał. Chyba że sama wezwie ratunku.

Po chwili uchylił drzwi, by lepiej łowić wszelkie dźwięki. Zrobił małą szparkę: przecież mu tego nie wzbronila. Z przedpokoju pełzła w górę blada smuga światła. Ponieważ jednak panowała zupełna cisza, przyszło mu na myśl, że mimo starości Mooie ma jeszcze chyże nogi, może więc minąć trochę czasu, zanim Kedsty nadejdzie.

Czekał rozglądając się po pokoju. Na podstawie pierwszego wrażenia wywnioskował, że Murette mieszka tu chyba od dawna. Wszędzie widziało się dowody ręki i myśli kobiecej; nic przygodnego, rażącego w atmosferze i urządzeniu mieszkania.

Wiedział, że pokój ten zajmował kiedyś sam Kedsty, jednak nie było tu żadnych śladów męskiego pobytu. Zdziwione oczy Kenta wynajdowały coraz to nowy, ciekawy szczegół. Nie wątpił już, że Murette Radisson pochodzi z Dalekiej Północy; gdyby nawet miał co do tego cień wątpliwości, nazwa Jeems rozwiązałaby ją od razu. Tak przecież nazywają matki synów, żony mężów, dziewczyny kochanków w dorzeczu trzech rzek. A jednak pokój zdawał się wszystkiemu przeczyć. Pochłonięty szeregiem dziwnych odkryć, Kent odsunął się od drzwi i stanął przed lustrem gotowalni.

Murette nie zdołała uprzętać nic ze swych drobiazgów; Kent spostrzegł z niepokojem, jak są liczne i różnorodne. Wszystko to byłoby zupełnie na miejscu w ubieralni córki gubernatora w Ottawie, ale nie tu, w półdzikim kraju. Szlachetny materiał walczył o lepsze z wykwinnym wykonaniem. Lecz wtem, niby pociągnięte magnesem, oczy jego pobiegły gdzie indziej. Na podłodze opodal gotowalni stał długi rząd obuwia.

Wpatrywał się oszołomiony. Nigdy jeszcze nie oglądał takiej wystawy obuwia przeznaczonego dla jednej pary nówek kobiecych. I nie były to wcale mokasyny indiańskie. Każdy trzewiczek wspierał się na wysokim obcasie! I co za rozmaitość! Wysokie buciki sznurowane i zapinane na guziki, brązowe i czarne, a nawet białe. Czółenka lakierowane, zamszowe, giemzowe. Półbuciki, pantofle zdobne w lśniące metalowe klamerki lub jedwabne kokardy. Pantofle na gumowej podeszwie. Atlasowe pantofelki ranne. Kent aż usta otworzył. Pochylony, bezwładnie niemal wyciągnął rękę i ujął w palce jeden z tych atlasowych klejnocików.

Ich wymiar miniaturowy sprawiał mu prawdziwe zadowolenie. Spojrzał na numer. Trójka. Firma *Favre* w Montrealu.

Jeden po drugim obejrzał pół tuzina innych. Wszystkie miały ten sam rozmiar i stempel.

Więc Murette pochodzi z Montrealu? Jeśli tak, po co się wybierała na Daleką Północ? Jeśli zaś

pochodzi z Dalekiej Północy i wraca do stron rodzinnych, po co w takim razie zabiera ze sobą tyle bezwartościowego w tamtych warunkach bagażu? Po co siedzi w Athabaska Landing? Co łączy ją z Kedsty'm? Czemu kryje się pod jego dachem? Czemu...

Tok myśli został raptownie przerwany. Zbyt wiele było pytań, na które nie miał odpowiedzi. Począł więc znowu badać pokój. Skrupuły łagodziła pewność, że nie czyni przecież nic zdrożnego. Zostawiając go tu Murette musiała wiedzieć, że będzie się po jej mieszkaniu rozglądał. Chyba tylko ślepiec mógłby się od tego powstrzymać.

Oczywiście raczej by sobie rękę uciął, niżby otworzył jedną z szuflad biurka. Murette powiedziała mu jednak sama, że w razie potrzeby musi się ukryć za kotarą, było więc nawet wskazane zawczasu kryjówkę obejrzeć. Najpierw wrócił jeszcze do drzwi i wyteżył słuch. Panowała zupełna cisza. Wtedy rozsunał kotarę, właśnie tak, jak Murette uczyniła to poprzednio. Tylko, że patrzył dłużej.

Patrzył i oceniał rzeczy widziane wzrokiem mężczyzny. Widział zatem moc delikatnych, sfalowanych materiałów, tworzących jakieś bliżej nieokreślone szatki, tchnące subtelnym zapachem fiołków leśnych. Zasunął kotarę z głębokim westchnieniem ni to wzburzenia, ni to radości.

Nagle drgnął i cały zeszywniał. Z dołu doszedł ostry dźwięk niby karabinowego strzału. Był to łoskot otwieranych i zamykanych, szczególnie zamykanych, drzwi. Dom zadygotał, w oknach zaś brzękły szyby. To Kedsty wrócił i był we wściekłym humorze.

Kent szybko zgasił światło pogrążając pokój w ciemnościach. Potem na palcach podszedł do drzwi. Słyszał szybkie, ciężkie stąpanie inspektora. Zamknęły się drugie drzwi i zagrzmiął głos Kedsty'ego, zdławiony jednak oddaleniem.

Kent doznał przykrego rozczarowania.

Inspektor policji oraz Murette znajdowali się w pomieszczeniu zbyt odległym, by można było cokolwiek z ich słów zrozumieć. Kent wiedział jednak, że Kedsty był poprzednio w więzieniu i słyszał o ucieczce aresztanta.

W dole głos męski grzmiał bez chwili przerwy. Nabierał siły. Gruchnęło wywracane krzesło. Raptem wrzask ustał, natomiast zadudniły znów ciężkie kroki. Kent wyteżył słuch i chociaż nie pochwycił ani razu brzmienia głosu Murette, pewien był, że podczas tej pauzy ona właśnie mówiła. Potem ryk Kedsty'ego zabrzmiał z pasją jeszcze wścieklejszą. Kent gniótł odrzwia palcami. Z każdą chwilą był bardziej przekonany, że dziewczynie grozi niebezpieczeństwo. Nie obawiał się wcale, iż poniesie jakąś szkodę natychmiastową. Nie wierzył, by Kedsty zdolny był skrzywdzić kobietę. Ale mógł ją zabrać do więzienia...

Prawda, Murette twierdziła, że Kedsty nigdy się na nic podobnego nie poważy, lecz twierdziła także, iż zabiłby ją, gdyby śmiał. Kent trwał w czujnym pogotowiu. Na jej pierwszy krzyk lub też na pierwszą próbę Kedsty'ego wyprowadzenia Murette z domu zamierzał wystąpić w obronie dziewczyny bez względu na jej prośbę.

Pragnął niemal, by zaszło jedno z dwojga. Gdy tak stał nasłuchując pełen oczekiwania, zaczął się prawie o to modlić. Miał przy sobie rewolwer Pelly'ego. W dwadzieścia sekund mógłby go przystawić do piersi inspektora. Noc idealnie nadawała się do ucieczki. W ciągu pół godziny będą na rzece. Nic łatwiejszego niż naładować łódź prowiantami z domowej spiżarni.

Kent uchylił drzwi nieco szerzej, z trudem zwalczając chęć wyjścia na korytarz. Coraz jaśniej widział groźbę wiszącą nad głową Murette. Nie obchodziło go już prawie, czemu dziewczyna mieszka pod tym dachem. Całą uwagę skupił na chwili obecnej.

Drzwi w dole otwarły się znowu i Kent zeszywniał w naprężonym oczekiwaniu. Słyszał, jak rozwścieczony Kedsty pędzi przez hall. Drzwi wejściowe trzasnęły po raz drugi i Kedsty wypadł na

zewnątrz.

Kent cofnął się w głąb pokoju. Minęło parę minut, zanim usłyszał Murette, wolno idącą na górę po schodach. Zdawała się odnajdywać drogę po omacku, chociaż z hallu płynęło słabe światło lampy. Wreszcie weszła i stanęła w zupełnej ciemności.

— Jeems! — szepnęła.

Zbliżył się. Wyciągnęła ręce wspierając dłonie na jego ramionach.

— Ty... nie schodziłeś na dół?

— Nie!

— Więc nie słyszałeś?

— Słyszałem głos inspektora. Ale słów nie mogłem rozróżnić.

Doznał wrażenia, iż głos jej, gdy przemówiła znowu, jest pełen głębokiej ulgi.

— Jesteś bardzo miły, Jeems. Sprawiasz mi przyjemność. W ciemności nie mógł nic dojrzeć. Coś się jednak zbliżyło ku

niemu, rozpalając krew, przyspieszając tętno serca. Wyczuwał to nerwami. Schylił głowę. Znalazł wargi jej uniesione ku górze, wieszczące słodczy pocałunku obiecanego w nagrodę. Lecz wraz z delikatnym muśnięciem ust uczył lekki opór jej dłoni na piersi.

— On już sobie poszedł. Możemy znów zapalić lampę — rzekła Murette.

ROZDZIAŁ XV

MIŁOŚĆ I TAJEMNICA

Kent stał nieruchomo, gdy tymczasem Murette krzątała się w ciemności, odnajdywała zapalki i zapalała lampę. Od chwili pocałunku nie wymówił słowa. Nie wykorzystał co prawda należycie owego zbliżenia. Opór rąk dziewczyny sprawił, że nie wziął jej nawet w ramiona. Lecz sam pocałunek wstrząsnął nim do głębi, niby przejmująca muzyka.

Nie zamierzał w ogóle dopominać się o tę nagrodę; jeśli się nawet z jej strony pocałunku spodziewał, sądził, że będzie to obojętny, chłodny dotyk. Tymczasem wargi podane mu w ciemności były ciepłe, żywe, drgające. Nie cofnęła się też od razu. Świadomie przedłużyła pieśczętę.

Wtem błysnęła lampa i Kent ujrzał twarz Murette Radisson. Wiedział, że sam jest bardzo czerwony. Nie próbując bynajmniej ukryć własnego zmieszania, był ogromnie ciekaw, co znajdzie w jej oczach. Doznał zdziwienia i rozczarowania. Pocałunek nie przejął Murette. Mogłoby się zdawać, że nie istniał nigdy.

Nie była zmieszana, na twarzy jej próżno byś szukał śladu rumieńca. Przeciwnie, szczupłe policzki kryła bladość zupełna podkreślona jeszcze falą ciemnych włosów i dziwnym blaskiem źrenic. Gdy zaś Kent przyjrzał się uważniej, stwierdził, iż w źrenicach tych czai się strach, jakieś resztki lęku znikające powoli.

Wargi jej drgnęły i złożyły się do uśmiechu.

— Był bardzo zły — rzekła. — Jakże łatwo niektórzy ludzie tracą panowanie nad sobą, Jeems!

Załamywanie się głosu, dzielność, z jaką zwalczała silne zdenerwowanie, nieśmiały uśmiech — wszystko to sprawiło, że Kent omal jej w ramiona nie chwycił. Widział teraz jasno prawdę, którą siliła się przed nim zataić. Murette groziło przed chwilą większe niebezpieczeństwo niż to, któremu dzielnie stawiała czoło w więzieniu. Bała się i nadal. Robiła wszystko, co było w jej mocy, by nie dać nic po sobie poznać, ale on i tak wiedział. Uczuł, jak wstępuje weń nowa energia. Dziewczyna ta należy do niego, musi więc w jej obronie walczyć. Musi i będzie.

Murette zerknęła bokiem, dostrzegła zmianę w twarzy mężczyzny i odwróciła wzrok. Milczeli oboje. Na zewnątrz burza jeszcze przybrała na sile. W pobliżu grzmot trzasnął ogłuszająco. Ulewa dudniła po szybach. Kent, prężąc mięśnie ramion, ściągając brwi na czole, rzekł:

— Dla nas jest to wymarzona noc. Musimy stąd iść! Milczała.

— W oczach prawa jestem mordercą — ciągnął on. — Ty mnie ocaliłaś. Postrzeliłaś człowieka. Podług tegoż prawa jesteś zbrodniarką. To szaleństwo zostawać tu dłużej. To się równa samobójstwu dla nas obojga. Jeśli Kedsty...

— Jeśli Kedsty nie zrobi tego, co mu kazałam zrobić, to go zabiję — wtrąciła Murette.

Stanowczość jej głosu i spokojne wejrzenie sprawiły, że Kent zaniemówił. Jeśli przed chwilą jeszcze Murette zdradzała trwogę, obecnie wyzbyła się jej zupełnie. Nie była nawet podniecona. Wobec tej dziecięcej powagi i pewności siebie Kent czuł się bezbronny. Jego siła i energia były niczym w porównaniu z jej uporem i determinacją. Rozdźwięk, jaki się wytworzył, mogły złagodzić prośby i perswazje, lecz w żadnym razie groźby i rozkazy.

Półuśmiech drżał znowu na wargach dziewczyny; oczy nabrały ciepłego wyrazu.

— Czy wiesz — rzekła — że zgodnie ze starym i świętym prawem Dalekiej Północy należysz do mnie?

— Słyszałem o tym prawie — odparł on. — Przed stu laty byłbym twoim niewolnikiem. Jeśli to

prawo ma do dziś moc obowiązującą, jestem rad!

— Posłuchaj, Jeems. Miałeś umrzeć. Sądzę, że powiesiliby cię niewątpliwie. Ocaliłam ci życie. Życie twoje zatem należy do mnie. Jesteś moją własnością i mogę tobą rozporządzać. Dzisiejszą noc spędzisz tutaj. Odjedziesz w dół rzeki dopiero wraz z kapitanem Laselle.

— Z Janem Laselle? Skinęła głową twierdząco.

— Właśnie. Dlatego też musisz czekać. Obmyśliliśmy wszystko doskonale. Gdy Laselle i jego flisacy będą płynęli na północ, popłyniesz wraz z nimi. Nikomu na myśl nie przyjdzie przeszukiwać barkę. Któż by cię szukał pod dachem inspektora policji!

— Ale ty, Murette? — zaczął Kent i urwał przypomniawszy sobie, że wzbroniła mu zadawania pytań.

Dziewczyna wzruszyła leciutko szczupłymi ramionami, po czym okrągłym gestem wskazała pokój.

— Jest tu dość wygodnie — rzekła. — Mieszkam tu od szeregu tygodni i nie przytrafiło mi się dotąd nic złego. Jestem bezpieczna zupełnie. Inspektor Kedsty nie przestąpił tych drzwi od dnia, gdy twój wielki, rudy przyjaciel widział mnie w gaju topolowym. Nawet na schody nie wszedł ani razu. To nasza linia graniczna. Ty oczywiście nic nie rozumiesz i bardzo cię to dziwi. Chciałbyś mnie zasypać pytaniami. Pali cię ciekawość. Wiem. Widzę. Ale ja...

Z patetycznym wyrazem opadła na stojący w pobliżu obszerny fotel, niegdyś ulubiony sprzęt inspektora Kedsty. Była najwidoczniej bardzo znużona i bliska płaczu. Kręciła w palcach lśniący koniec warkocza leżący na kolanach i nigdy jeszcze nie wydała się Kentowi tak dziecinnie drobna i szczuplutka.

— Bardzo bym chciała odpowiedzieć ci na wszystkie te pytania — rzekła głosem cichym i znużonym. — Chciałabym doprawdy, żebyś wszystko wiedział, bo... bo ja ci ogromnie ufam, Jeems. Ale nie mogę. To jest niemożliwe. Nie do pomyślenia. Gdybym powiedziała... — bezradnie rozłożyła ręce — gdybym wyznała ci wszystko, przestałbyś mnie lubić. A ja przecież chcę, żebyś mnie lubił, póki tu jesteś...

— A gdy odejdę stąd — wykrzyknął Kent z pasją — to po to, by szukać miejsca, które zwiesz Doliną Ludzi Milczących! I znajdę je, choćbym miał życie całe na szukaniu strawić!

Znajdował niewymowną radość w obserwowaniu wesołych ogników pojawiających się niespodziewanie w jej oczach. Nie usiłowała ukryć zadowolenia. Dziecinna jej szczerłość nappełniała serce Kenta jakby czcią.

— Cieszę się, że tak myślisz, Jeems. Sądzę, że z czasem moją dolinę odnajdziesz. Bo...

Obserwowała go z takim naprężeniem, jak gdyby przez ciało i ubranie chciała zajrzeć w głąb serca. Pod upartym spojrzeniem tych dziecięcych oczu Kent bardziej niż kiedykolwiek czuł się jej słabym niewolnikiem.

Wreszcie, zwijając wciąż w palcach koniec warkocza, rzekła:

— Sądzę, że ją odnajdziesz, gdyż nie należysz do ludzi, którzy by się łatwo poddawali losowi. Czy mam ci powiedzieć, dlaczego przyszłam do szpitala? Początkowo pchała mnie przede wszystkim ciekawość. Przede wszystkim, ale nie wyłącznie, gdyż interesował mnie także człowiek, którego twoje zeznanie ocaliło od szubienicy. Nie powiem ci również, po co przybyłam do Athabaska Landing. Ani co mnie łączy z Kedsty'm. Może się o tym dowiesz — później. Przystaniesz mnie wtenczas lubić...

Umilkła, zawahała się i ciągnęła dalej głosem lekko ściszone.

— Ostatnie cztery lata spędziłam w osamotnieniu i tęsknocie. To było straszne. Taka pustka, taka nuda. Myślałam, że mi serce zamrze. Jeszcze trochę, i zginęłabym zupełnie. Wtem stała się rzecz,

która pozwoliła mi wrócić. Czy zgadujesz, jak się nazywało miejsce mego wygnania?

Kent przecząco poruszył głową.

— Nie.

— Wszyscy twierdzą, że to bardzo piękne miasto — Montreal.

— Byłaś tam w szkole? — zgadywał Kent.

— Tak, na pensji. Willa „Maria”. Miałam wtenczas niespełna szesnaście lat. Przełożona i koleżanki bardzo były miłe. Sądzę, że musiały mnie lubić. Ale ja co noc modliłam się o jedno. Wiesz, czym są dla nas, ludzi Północy, nasze trzy rzeki? Athabaskę zwiemy babunią, Rzekę Niewolniczą — matką, Mackenzie — córką, a ponad nimi czuwa Szara Gęś, bogini Niska. Modliłam się, by Bóg pozwolił mi do nich wrócić. W Montrealu tyle ludzi kręciło się wszędzie, tysiące, dziesiątki tysięcy, a mimo to czułam się niezmiernie samotna i chciałam uciekać co prędzej. Wiesz, Jeems, muszę mieć w sobie krew dzikiej gęsi. Tak bardzo kocham puszcze. A duch bogini Niski nie przebywa w Montrealu. Słońce jest tam inne niż tu, inny księżyc, inne kwiaty. Wiatr szepcze inną opowieść. Powietrze pachnie inaczej. Ludzie inaczej patrzą. W dorzeczu trzech rzek kochałam bliźnich; w Montrealu uczyłam się ich nienawidzić. Wreszcie — stało się coś. Przybyłam do Athabaska Landing. Przyszłam zobaczyć ciebie, bo...

Kurczowo splotła ręce na kolanach.

— Bo po tych czterech okropnych latach byłeś pierwszym spotkanym człowiekiem prowadzącym wielką, zuchwałą, wspaniałomyślną grę do końca. Nie pytaj, proszę, skąd się o tym dowiedziałam. Nie pytaj o nic. Mówię ci wszystko, co możesz, co powinienesz wiedzieć. Odwiedziłam więc ciebie, a przedtem dowiedziałam się, że nie umrzesz. Od Kedsty'ego. Wtenczas postanowiłam ci dopomóc. Mówię to wszystko dlatego, żebyś zrozumiał, jak bardzo ci ufam i że nie wolno ci tej ufności złamać. Żeby być uczciwym do końca, musisz odjechać posłusznie z kapitanem Laselle i zostawić mnie tu z Kedsty'm. Musisz zapomnieć o tym, co zaszło. Musisz zapomnieć o tym, co może zajść. W żadnym razie nie potrafisz mi pomóc. Możesz mi jedynie zaszkodzić. Lecz jeśli pewnego dnia, w przyszłości, w dalekiej przyszłości, odnajdziesz Dolinę Ludzi Milczących...

Zamilkła. Kent czekał, a serce waliło mu w piersi jak szalone.

— Możliwe, że znajdziesz tam i mnie — skończyła Murette głosem zbliżonym do szeptu.

Doznał wrażenia, że oczy jej wybiegają kędyś w dal, poza ściany pokoju. Patrzyła długo. Potem uśmiechnęła się rzewnie.

— Coś mi się zdaje, że jeśli doliny nie znajdziesz, będzie to dla mnie wielkim rozczarowaniem.

Podniosła na niego błękitne oczy.

— Czy słyszałeś o Krainie Siarki, za fortem Simpsona, na zachód, między dwoma Nahanni?

— Tak. Tam właśnie zginął Kilbane ze swym patrolem. Indianie zwa ją także Krainą Diabła.

Prawda?

Skinęła głową.

— Tak. Twierdzą, że żadna żywa istota nie przedostała się dotąd przez Krainę Siarki. Ale to nieprawda. Ja sama ją przebyłam. Dolina Ludzi Milczących jest właśnie za Krainą Siarki. By ją odnaleźć, należy przejść przełęcz górską miu.

Kent słuchał dotąd w milczeniu, wyęzając słuch, by jednego słowa nie uronić. Teraz zaś, stojąc przed dziewczyną, rzekł spokojnie:

— Murette, doprowadzę tę grę do końca, tak jak sobie tego życzysz, gdyż kocham cię. Uczciwość wymaga, bym ci wyznał głośno to, co sama z pewnością odgadłaś. Dopóki mam choć trochę krwi w żyłach, będę walczył w twojej obronie. Jeśli odjadę z Janem Laselle, czy mi obiecasz?...

Głos mu dygotał. Walczył z potężnym wzruszeniem. Lecz Murette nawet drgnieniem rzęs nie

zdradziła, że słyszy i rozumie jego wyznanie miłosne. Przerwała, zanim skończył.

— Cokolwiek byś zrobił, nic obiecać nie mogę. Jeems, Jeems, nie jesteś przecie takim jak ci ludzie, których nauczyłam się nienawidzić! Nie będziesz nalegał?! Jeśli jednak chcesz być uparty, postępuwać po swojemu, w takim razie możesz nie czekać na Jana Laselle i odejść zaraz. Słyszysz, ulewa się wzmaga. Potrwa jeszcze parę godzin. Jeżeli żądasz z góry zapłaty, możesz odejść. Pozwalam.

Była bardzo blada. Zerwała się z fotela i stanęła przed nim. Głos i wyraz twarzy nie zdradzały cienia gniewu, tylko oczy płonęły niesamowicie. A w głębi źrenic Kent dojrzał coś, czego nie widział tam poprzednio, i nagle zmroziła go straszna myśl.

Krzyknął i wyciągnął ręce.

— Mocny Boże, Murette! — wołał. — Ja przecież nie jestem mordercą! Ja nie zabiłem Johna Barkleya!

Milczała.

— Nie wierzysz mi? — błagał Kent. — Sądysz, że to ja go zabiłem i że teraz, morderca, śmiem cię zapewniać o swej miłości! Murette!...

Trzęsła się cała. Dreszcz przebiegał ją od stóp do głowy. Zaciskała drobne piąstki. W oczach miała wyraz okropnej męki. Lecz naraz, zapanowawszy snadź nad sobą, uspokoiła się zupełnie.

— Wcale nie miałam tego na myśli. Tu chodzi zupełnie o co innego, Jeems...

Pochłonięci rozmową, całkowicie zapomnieli o burzy. Wicher był na zewnątrz i ulewa kołatała o szyby. Nagle dźwięk jakiś wyrwał się ponad zgiełk żywiołów, jaskrawo odcinając się od ogólnej monotonii. Murette zeszywniała, jakby pod wpływem iskry elektrycznej. Kent spojrział w stronę okna.

W szybę ktoś pukał metalicznie, zupełnie jak wtenczas, gdy Kedsty miał nadejść. Lecz tym razem pukanie było bardziej natrętne. Przypominało zdyszany, przerażony głos. To nie była przestroga, to był alarm na trwogę w obliczu groźnego niebezpieczeństwa.

Kent spojrział na Murette. Dziewczyna podniosła ręce do gardła, jakby ją coś dławiło. W rozszerzonych oczach błysnął płomień. Krzyknawszy lekko, nasłuchiwała odgłosów z zewnątrz.

ROZDZIAŁ XVI

WIDMO

W ciągu najbliższych dziesięciu sekund Murette zdaniem Kenta przeobraziła się znów w ową dzielną dziewczynę, która sama jedna za pomocą małego rewolweru potrafiła utrzymać w szachu trzech zbrojnych policjantów.

Kołatanie starego Mooie spowodowało najpierw nerwowy wstrząs. Potem przyszedł strach graniczący z przerażeniem, wreszcie oszołamiająco szybka reakcja. Drobne ciało wyciągnęło się, jak gdyby wyrosło. Twarz poróżowiała. W oczach błyszczała odwaga. Nie bała się, to było jasne. Gotowa była walczyć, choćby zaraz.

W chwilach podobnych najbardziej zdumiewało go równe brzmienie jej głosu. Był dźwięczny i spokojny, pod tym spokojem wszakże zgadywałeś stalowy hart.

— Inspektor Kedsty wraca — rzekła. — Nie sądziłam, że uczyni to tej nocy!

— Nie miał nawet czasu dojść do urzędu — zauważył Kent.

— Tak. Może czegoś zapomniał. Zanim nadejdzie, chcę ci pokazać twoje gniazdo, Jeems. Chodź za mną, tylko prędko!

Była to pierwsza wzmianka, że nie zostanie w jej pokoju, która to możliwość powodowała u Kenta pewne skrępowanie. Dziewczyna porwała ze stołu zapalniczki, zagasila lampę i wybiegła na korytarz. Kent śpieszył za nią. Przystanęli w głębi korytarza, przed niskimi drzwiami wiodącymi najwidoczniej do skrytki utworzonej przez spadzisty dach domostwa.

— To skład starych rzeczy — szepnęła Murette. — Urządziłam go, jak umiałam najwygodniej. Zasłoniłam szczelnie okno, możesz więc palić lampę. Uważaj tylko, żeby światło nie przeglądało przez szparę drzwi. Zamknij się od wewnątrz i siedź cicho. Wszystko, co w środku znajdziesz, zawdzięczamy panu Paluchowi.

Z lekka uchyliła drzwi podając mu zapalniczki. Światło, bijące z hallu na dole, stwarzało w tym miejscu słaby półmrok. Tuż niemal u swej twarzy Kent widział promienne oczy dziewczyny. Biorąc zapalniczki zwarł palce wokół jej dłoni.

— Czy wierzysz mi, Murette? — spytał. — Czy wierzysz mi, że cię kocham, że nie zabiłem Barkleya, że będę walczył w twojej obronie, jak długo Stwórca raczy mnie zachować przy życiu?

Na chwilę zapadła cisza zupełna. Dziewczyna łagodnie cofnęła rękę.

— Tak, sądzę, że wierzę ci. Dobrej nocy, Jeems! Oddaliła się szybko. W połowie drogi stanęła.

— Idź już teraz! — zawołała półgłosem. — Jeśli mnie naprawdę lubisz, ukryj się zaraz!

Nie czekając odpowiedzi weszła do swego pokoju zamykając drzwi za sobą. Kent potarł zapalniczkę, zgiał się wpół i wszedł do schowanka. Tuż przed sobą dojrzał lampę stojącą na skrzyni. Zapalił ją, po czym zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Wreszcie rozejrzył się wokoło.

Izdebka miała około dziesięciu stóp kwadratowych powierzchni, a była tak niska, że nie mógł się w niej nawet wyprostować. Ale nie rozmiar jej go uderzył, lecz przygotowania, jakie Murette poczyniła z myślą o nim.

Cała niemal podłoga zasłana była derkami, w kącie zaś wysoko spiętrzone dery tworzyły wygodne posłanie. Prócz skrzyni z lampą stał stół i krzesło. Kent ocenił na oko ciężar stołu i serce zabiło w nim mocniej. Dziewczyna nie zapomniała także, iż więzień może zechcieć jeść. Przy jednoosobowym nakryciu jedzenia było na sześć osób co najmniej. Leżały więc dwa guszce upieczone na piękny brunatny kolor i kawał wołowego czy też łosiego mięsa; stała miska z sałatką z

zimnych kartofli, pikle, oliwki, otwarta puszka konserw z wiśni i wreszcie jeden ze skarbów inspektora Kedsty — termos zawierający niewątpliwie gorącą herbatę lub kawę.

Rzuciwszy wzrokiem na krzesło dostrzegł coś jeszcze: pas i futerał, a w futerale wspaniały Colt! Murette nie liczyła widocznie na zdobycie broni w więzieniu i przewidująco wolała zaopatrzyć się zawczasu. Położyła ją też sprytnie w ten sposób, by sama rzuciła się w oczy. Tuż obok krzesła, na podłodze, leżał plecak. Był to przepisowy, policyjny plecak, częściowo załadowany zapasami. Oparty o plecak stał Winchester. Kent poznał ten karabin. Widywał go wiszący w domu Brudnego Palucha.

Około pięciu minut Kent stał jeszcze w kącie izdebki. Przed burzą chronił go tylko słabo posyty dach, toteż łoskot ulewy i huk grzmotu ogłuszały po prostu. Dostrzegł prostokąt okna, starannie zasłonięty kocem. Poprzez koc nawet łyskały rakiety błyskawic.

Okienko wychodziło na podjazd dworku, przyszło mu więc na myśl zgasić światło i wyrzeć na zewnątrz. W ciemności zdjął derę. Okno było jednak na głucho zaparte, więc Kent, upewniwszy się, że nic tu nie poradzi, rozpląszczył tylko twarz na szybie.

W tej samej chwili błyskawica rozdarła niebo i Kent, patrząc w dół, dojrzał rzecz, na widok której mięśnie zeszywniały mu na stal.

Wyraźniej, niż gdyby to było przy dziennym świetle, zobaczył stojącego na deszczu człowieka. Nie był to Mooie. Ani Kedsty. Ani w ogóle nikt, kogo by widział poprzednio. W świetle błyskawicy przypominał zjawę bezcielesną, upiora. Ogromny, chudy drab, z gołą głową, ociekającym wodą włosiem i długą, targaną wichrem brodą. Obraz ten odbił się w mózgu Kenta z szybkością błyskawicy. Jakby na białe płótno w kinie aparat rzucił krótką scenę. Potem czerń głęboka pochłonęła świat.

Kent bardziej jeszcze przywarł do szyby i silniej wzrok wyteżył. Czekał.

Błyskawica zaświeciła znowu i znów zobaczył zjawę upiorną tkwiącą bez ruchu. Widział ją tak po trzykroć. Rozpoznał, iż tajemniczy nieznajomy jest starcem. Gdy jednak błyskawica zapłonęła po raz czwarty, tragiczna postać znikła. Natomiast na żwirowej ścieżce, zgięty pod ulewą, śpieszył ku domowi Kedsty.

Kent szybko zasłonił okno, lecz lampy nie zapalał. Zanim Kedsty mógł wejść do hallu, otworzył drzwi z klucza. Schyliwszy się nieco, siadł plecami do ściany, nasłuchując. Słyszał, jak Kedsty mija przedpokój dążąc w głąb domu. Potem nastąpiła cisza zupełna, jedynie na dworze szalały deszcz i wicher.

Kent czuwał tak dobrą godzinę. W ciągu całego tego czasu nie słyszał żadnego dźwięku, ani z dołu, ani z pokoju Murette. Rozmyślał, że może dziewczyna śpi i że kto wie, czy Kedsty także się nie położył odkładając do rana pościg za zbiegłym przestępcą.

Sam Kent wcale nie miał ochoty spróbować wygod improwizowanej pościeli. Nie tylko nie był senny, lecz czuł wyraźne podniecenie, jakby wkrótce miało się coś stać. Mimo woli wyteżył wzrok i słuch. Już sam fakt, że Murette Radisson i inspektor Kedsty znajdują się pod jednym dachem, wystarczał, by go poważnie zaniepokoić. Własna ucieczka zajmowała go najmniej.

Myślał o Murette. Skąd się wzięła jej władza nad Kedsty'm? Jakie było źródło tej dziwnej przewagi? Dlaczego Kedsty chciałby ją widzieć martwą? Dlaczego zamieszkiwała ten dom? Rozważał w kółko te pytania nie znajdując na nie odpowiedzi. Jednakże mimo otaczających go tajemnic czuł się obecnie szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem. Murette bowiem nie przebywa gdzieś o pięćset mil w dole rzeki. Znajdowała się pod tym samym dachem co on. I wyznał jej swą miłość!

Jakże był rad, że starczyło mu odwagi, by to uczynić.

Wstał, zapalił lampę i otworzywszy kopertę zegarka umieścił go na stole, by łatwiej w każdej chwili wiedzieć, która jest godzina. Miał wielką ochotę zakurzyć fajkę, był jednak pewien, że zapach tytoniu dotrze na dół i że Kedsty go wyczuje, o ile jeszcze nie zamknął się w sypialni.

Z pół tuzina razy zadawał sobie pytanie, kim jest widmowa postać oglądana w dole przy świetle błyskawic. Może jeden z dziwacznych przyjaciół Palucha, przybyły z głębi puszczy i trzymający wartę na przemian ze starym Mooie? Obraz tego długowłosego olbrzyma, z brodą rozpuszczoną na wietrze, na zawsze wrył mu się w pamięć. Taki od niego wiał upiorny tragizm.

Zgasiwszy światło ponownie odrzucił derę i wyjrzał oknem, lecz nie zobaczył nic prócz rozmokłej ziemi i kałuż bielejących w świetle błyskawic. Uchylił więc znów drzwi i plecami oparty o ścianę, zaczął nasłuchiwać uważnie.

Nie umiałby powiedzieć, jak długo trwało, zanim go ogarnęła senność. Faktem było, iż powieki opadły mu na oczy i zdrzemnął się, a potem usnął na dobre. Zbudził go dźwięk jakiś. Oprzytomniał od razu. Doznał wrażenia, iż dźwiękiem tym był krzyk. Sekundę wahał się jeszcze, niepewny. Potem zerwał się na nogi.

Na palcach podchodząc do drzwi powiększył szparę. Podłogę korytarza przecinała smuga światła. Światło to padało z pokoju Murette. Kent ściągnął już poprzednio buty, by sprawiać jak najmniej hałasu, teraz więc, stąpając uważnie, po cichu wysunął się na korytarz.

Usłyszał szloch, dochodzący z daleka, jak gdyby z dołu.

Nie wahając się dłużej, pośpieszył do drzwi Murette. Zajrzał w głąb pokoju. Pierwsze spojrzenie rzucił na łóżko. Było nietknięte. I pokój był pusty.

Śmiertelny chłód zmroził mu serce, a gwałtowny impuls, z którym bynajmniej nie silił się walczyć, pociągnął go ku schodom. To było więcej niż impuls, to był rozkaz. Krok za krokiem zeszedł na dół, ściskając w dłoni rękojeść Colta.

Znalazł się w oświetlonym hallu. Drzwi w głębi wiodły do ba wialni. Były lekko uchylone, z pokoju zaś padała smuga światła. Kent zbliżył się na palcach. Zajrzał.

To, co zobaczył, w pierwszej chwili wstrząsnęło nim, powodując jednocześnie pewną ulgę. Za długim biurkiem, nad którym zwisała jaskrawa lampa brązowa, stała Murette Radisson. Obrócona była do niego profilem. Twarzy nie mógł dojrzeć. Rozpuszczone włosy spływały z głowy i ramion, przypominając bogate, sobolowe futro i połyskując w świetle lampy. Dziewczyna żyła niewątpliwie, lecz jej postawa i ruch schylonej głowy przeraziły Kenta. Musiał się bliżej przysunąć, by zobaczyć, na co tak uparcie patrzy. Zrozumiał — i serce w nim zamarło.

Skulony w fotelu, z głową odrzuconą w tył, siną twarz kierując na Kenta, siedział Kedsty. Kentowi starczył jeden rzut oka. Tak wyglądać mógł tylko trup.

Kent z krzykiem wpadł do pokoju. Murette oderwała oczy od inspektora i z jękiem spojrzała na Kenta. Była przeraźliwie blada, bledsza niż siedzący w fotelu trup. Milczała. Po tym jednym jęku żaden dźwięk nie wyszedł z jej gardła. Patrzyła tylko półprzytomnie. Oczy miała szeroko rozwarte, pełne niewymownej grozy i cierpienia.

— Murette! — szepnął Kent miękko.

Widząc jej rozpacz zapomniał o wszystkim innym. Ale już w następnej sekundzie niby urzeczony spojrzał znów na Kedsty'ego.

Zbudził się w nim instynkt policjanta, urodzonego łowcy ludzi. Mózg detektywa rejestrował szczegóły. Ramię inspektora bezwładnie zwisało przez poręcz fotela. Na podłodze w pobliżu prawej ręki leżał rewolwer. Głowa była zadarta w tył tak silnie, że odnosiło się wrażenie, iż kręgosłup został złamany. Na czole, nieco poniżej szpakowatych, krótko przystrzyżonych włosów, widniało czerwone piętno — ślad uderzenia.

Kent zbliżył się i pochylił nad trupem. Zbyt często widywał śmierć, by jej objawów od razu nie poznać, lecz rzadko spotykał twarz tak zniekształconą. Inspektor miał gałki oczne wylupione na zewnątrz, usta rozwarte. Język...

Raptem krew zastygła w żyłach Kenta. Kedsty dostał cios w głowę, ale nie to spowodowało śmierć. Zaduszono go. A stryczek stanowiło pasmo włosów kobiecych!

Okropny szok obezwładnił Kenta po prostu. Gdyby własna jego wolność od tego zawisła, nie potrafiłby kroku zrobić. Włosy były długie, miękkie, czarne i lśniące. Dwukrotnie spowijały szyję Kedsty'ego, luźny koniec zaś opadał przez ramię na pierś, w świetle lampy migocząc niby bogate futro sobolowe.

Futro sobolowe. To samo porównanie nasunęło mu się, gdy obserwował Murette przez uchylone drzwi. Ta myśl wypełniała mu obecnie umysł. Dotknął włosów palcami. Ujął je w rękę. Odwinął z szyi Kedsty'ego, gdzie stryczek odcisnął dwa głębokie pierścienie. Włosy spływały w dół do podłogi. Wtenczas, odwracając się wolno, spojrzął na Murette Radisson.

Nigdy żadne oczy ludzkie nie patrzyły na niego w ten sposób. Milcząc wyciągnęła rękę, a Kent podał jej włosy. W następnej chwili odwróciła się i dłonią kurczowo przyciskając gardło, wyszła.

Kent słyszał, jak chwiejnie wchodzi na górę po schodach.

ROZDZIAŁ XVII

W CIEMNOŚCIACH

Kent zastygł w bezruchu. Przez krótką chwilę był ogłuszony zupełnie. Wstrząs i zgroza, jakiej doznał, uodporniły go przeciw wszelkim innym wzruszeniom. Nie mógł oczu oderwać od szarosinej, wykrzywionej twarzy Kedsty'ego. Na górze trzasnęły zamykane drzwi. Kent krzyknął podświadomie. Wzdrygnął się. Jakże tu nie wierzyć wobec tylu miażdżących dowodów? Siedzącego przy biurku inspektora Murette Radisson ogłuszyła z tyłu ciosem niespodziewanym. Beszta poszła łatwo...

Przesunął dłonią po oczach, jak gdyby usiłując zetrzeć z nich mgłę. To, co widział, było niepodobieństwem. Dowody były niemożliwe do przyjęcia. Napastowana w obronie czci lub życia, Murette Radisson mogła zabić. Lecz mordować podstępnie, znienacka, nie, to wykluczone! Jednakże otoczenie nie zdradzało śladów walki. Nawet rewolwer na podłodze nie o niej nie mówił. Kent podniósł broń, przyjrzał się bacznie i mimo woli jęknął z rozpaczą. Na kolbie Colta zobaczył plamy krwi oraz parę szpakowatych włosów. Kedsty'ego uderzono jego własnym rewolwerem!

Kładąc broń na stole, Kent dostrzegł błysk stali pod rozpostartą gazetą, a po chwili wyciągnął z ukrycia długie, ostre nożyczki, których Kedsty używał przy robieniu wycinków z pism. Miał zatem w ręku ostatnie ogniwo śmiertelnych poszlak — narzędzie, za pomocą którego Murette Radisson ucięła pasmo włosów. Na mgnienie oka zakręciło mu się w głowie. Uczuł ogromną słabość i wilgoć potu na czole.

Jednak szybko przyszła reakcja. To fałsz! — mówił sam sobie. Murette nie mogła popełnić tego rodzaju zbrodni. Istnieje coś, czego nie zauważył, nie spostrzegł, i to coś w zupełności zmienia postać rzeczy.

Dawny James Kent wszedł w swoje prawa. Umysł zawodowego łowcy ludzi zaczynał biec utartą koleją. Zobaczył znów Murette taką, jaka mu się ukazała w pierwszej chwili. W szeroko otwartych oczach nie dostrzegł wtedy żądy krwi. Ani nienawiści. Ani obłąkanej uciechy. Z błękitnych źrenic uderzało cierpienie i niesłychana rozpacz.

Pojął nagle prawdę. Jakby mu ktoś w mózgu krzyknął: Murette jest niewinna! Bo i cóż warta miłość nie poparta ślepa ufnością?

Czując, jak serce podchodzi mu do gardła, spojrzął znów na inspektora. Wykrzywiona okropnie twarz trupa wstrząsnęła nim na nowo. Ale się opanował. Z zawodowym spokojem jął badać zwłoki.

Dotykając dłonią policzka stwierdził, że ciało jest zimne. Dramat musiał się rozegrać przed godziną co najmniej. Starannie obejrzał siniec na czole Kedsty'ego. Uraz był dość powierzchowny i mógł tylko czasowo inspektora ogłuszyć. Przez te parę chwil zaszła jednak rzecz nowa. Czyniąc nadludzki niemal wysiłek, by koszmar ten odegnąć, Kent wyraźnie widział straszną scenę: ruch w kierunku stołu, błysk nożyc, zaciskane wokół szyi pasmo włosów i powolne dławienie wracającej do przytomności ofiary.

— Nie, to niemożliwe — bąknął. Istotnie, w samym już założeniu krył się wyraźny absurd. Jedynie osoba obłąkana mogła powziąć tego rodzaju pomysł. A Murette obłąkana nie była. Była zdrowa zupełnie.

Badawczo rozejrzał się po izbie wzrokiem podejrzliwym jak wzrok łasicy polującej na zdobycz. U czterech zasłoniętych frankami okien wisały długie sznury. Na ścianach było mnóstwo broni najrozmaitszej. Na biurku inspektora leżał kamienny tomahawk, używany zamiast przycisku. Pod prawą dłonią trupa spoczywał rewolwer. Po cóż, mając pod ręką tyle dogodnych narzędzi mordu,

gotowych do natychmiastowego użycia, morderca posługiwał się pasmem włosów kobiecych?

Jeszcze jeden przedmiot przyciągnął oczy Kenta: leżące w kącie biurka rzemienne sznurowadło. Leżało na papierach, nie podobna zatem było go nie spostrzec. Rzemień, ćwierć cala grubo, miał około pięćdziesięciu cali długości. Kent począł szukać drugiego do pary i znalazł go wkrótce na podłodze. W mózgu pytania tłoczyły się coraz natrętniej. Dlaczego morderca użył pasma włosów zamiast sznura od firanek lub rzemiennego sznurowadła?

Kolejno podchodząc do czterech okien stwierdził, iż są zamknięte. Wtenczas po raz ostatni nachylił się nad Kedsty'm. Wiedział, że przed śmiercią inspektor przeżył długą i okrutną mękę. Wykrzywiona twarz trupa świadczyła o tym dostatecznie. Otóż Kedsty był silnym mężczyzną. Choć cios ogłuszył go częściowo, z pewnością bronił się zajadle. Trzeba było siły niemałej, by wziąć nad nim górę i zwolna wydusić zeń życie. Teraz, gdy szczegóły sytuacji układały się w obraz jaśniejszy, Kent czuł, jak mu narasta w piersi radosna, spokojna pewność. Któż będący przy zdrowych zmysłach uwierzy, że drobne ręce Murette Radisson zabiły inspektora Kedsty?

Zwolna wyszedł z pokoju, po cichu zamykając drzwi za sobą. Zbadał drzwi wejściowe; były zatrzaśnięte, lecz otwarte z klucza. Każdy przechodzień, w złych czy dobrych zamiarach, mógł do domu zajrzeć.

U stóp schodów przystanął wstrzymując oddech w piersi. Słuchał z wyteżeniem, lecz żaden dźwięk do niego nie dobiegł.

Osaczyły go nowe myśli. Z miejsca wzięły górę nad innymi, nad wstrząsem wywołanym dopiero co przeżytą tragedią, nad zbudzonym już instynktem łowcy ludzi. Doznał grozy większej niż kiedykolwiek. Murette! Co ją czeka rankiem, gdy zbrodnia wyjdzie na jaw? Zwarł pięści i kurczowo zacisnął szczęki.

Obecnie świat jest przeciwko niemu, jutro będzie także przeciwko niej! On sam jedynie, wbrew wszelkim dowodom i pozorom, nie uzna jej winy. Wszyscy inni uwierzą od razu. A cóż znaczy on, James Kent, zbiegły więzień i morderca? Któż się będzie z jego zdaniem liczył?

Strach nim targnął, ale strach ten prawie natychmiast przerodził się w pewność siebie i energię. Wszak przed paru godzinami siedział za kratą. Był bezradnym skazańcem. W chwili największego przygnębienia przysła Murette Radisson. Mimo burzy i grzmotów wstrząsających ziemią pod nogami walczyła o jego wolność. Nie bała się ryzyka. Nie liczyła szans za i przeciw. Przysła dlatego po prostu, że pokładała w nim ufność. A teraz pada ofiarą własnego poświęcenia. Bo im dłużej się zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że mord inspektora ma ścisły związek z zuchwałym uwolnieniem więźnia.

Wolno i ostrożnie zaczął się piąć po schodach w górę. Chciał krzyknąć imię Murette, zanim jeszcze do piętra dotarł. Chciał wyciągnąć ręce tak daleko, by ją od razu do siebie przytulić. Opanował się jednak i po cichu zajrzał przez uchylone drzwi.

Murette leżała skulona na łóżku. Rozwichrzone włosy zakrywały jej twarz i głowę. Kent aż się przeraził. Nie mógł dostrzec śladu życia. Może dziewczyna umarła?...

W każdym razie nie dosłyszała jego stąpania, gdy przeszedł przez pokój. Ukląkł obok, wyciągając ręce i objął ją ciasno.

— Murette! — szepnął czule.

Wyczuł przebiegający ją lekki dreszcz. Schylił głowę wtulając twarz w jej włosy, wciąż jeszcze od deszczu wilgotne. Przygarnął ją mocniej. Załkała krótko, jak ktoś, komu zabrakło łez.

— Murette!

To było wszystko. Cóż miał powiedzieć więcej, coż mógł powiedzieć w chwili, gdy czuł bicie jej serca tuż koło swego. Lecz zaraz odepchnęła go oburącz i zobaczył twarz jej bardzo bladą oraz

oczy rozwarte szeroko. Cofała się zwolna, Ignąc plecami do ściany, skulona na łóżku, jak wylęknione, bezradne dziecko. Oczy miała suche, pełne trwogi, zdumienia i niewiary. I raptem Kent zrozumiał.

Marette nie przypuszczała, że do niej w ten sposób przyjdzie. Sądziła, że ucieknie sam co prędzej, jak się ucieka z domu objętego zarazą. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć. Podniosła teraz drżące ręce do gardła i poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć. Lecz z bladych warg nie wydobył się żaden dźwięk.

Kent klęczał nadal i ku własnemu zdumieniu uśmiechał się. Potem wstał i stojąc wyprostowany, objął Marette wzrokiem, dziwnie pełen odwagi i otuchy. Promieniująca od niego energia udzieliła się dziewczynie. Śmiertelnie bladą twarz zabarwił zdrowy rumieniec. Przez rozchylone wargi odetchnęła szybko, nerwowo.

— Sądziłam, że odejdziesz — rzekła.

— Sam w żadnym razie! — odparł on. — Przyszedłem, by cię ze sobą zabrać.

Wydobył zegarek. Była druga po północy. Zniżył rękę tak, by mogła zobaczyć wskazówki.

— Jeśli burza potrwa, mamy do świtu trzy godziny — tłumaczył. — Kiedy możesz być gotowa?

Usiłował nadać mowie brzmienie równe i spokojne. Przychodziło mu to z trudem. Marette zauważyła staczaną walkę. Zsunąwszy się z łóżka stanęła przed nim, wciąż przyciskając do gardła obie ręce.

— Sądzisz, że to ja zabiłam Kedsty'ego? — spytała, z trudem wymawiając poszczególne słowa.

— Przyszedłeś, by mimo wszystko okazać mi pomoc, by zapłacić mi za to, co zrobiłam dla ciebie? Czy tak, Jeems?

— Zapłacić?! krzyknął Kent. — By wyrównać mój dług względem ciebie, tysiąca lat byłoby za mało! Od pierwszej chwili, gdym cię zobaczył w szpitalu, wróciłaś mi życie. Wierzę, rozumiesz, wierzę, że umarłbym bez ciebie. To miłość dodała mi sił. Potem przyszedłaś znowu, mimo burzy. Zapłacić ci? Nie mogę! Nie zdołam! Nie potrafię nigdy! Gotowa byłaś zabić, bylebym ja odzyskał wolność. Ja gotów jestem zabić dla ciebie. Co mnie obchodzi Kedsty. Ty jedna coś znaczyś. Jeśli go zabiłaś istotnie, widać był po temu dostateczny powód. Ale ja w to nie wierzę! Jakżebyś mogła, tymi rączkami...

Chwytał jej ręce, ścisnął w przegubach, obrócił zewnętrzną, stroną do góry i położył na swoich dłoniach. Miała drobne, delikatne, różowe łapki, o wąskich, długich palcach.

— One tego nie zrobiły! — krzyknął nieomal z pasją. — Wykluczone! Wykluczone stanowczo!

Spasowała. Oczy jej błysnęły.

— Mówisz szczerze, Jeems?

— Tak. Nie jesteś winna śmierci inspektora Kedsty, tak jak ja nie jestem winien śmierci Johna Barkleya. Ale świat jest przeciwko nam. Przeciwno mnie i tobie. Musimy co prędzej odnaleźć tę twoją ukrytą dolinę. Rozumiesz, Marette? I... wiesz, jestem temu rad.

Skręcił ku drzwiom.

— Czy możesz być gotowa za dziesięć minut? — spytał.

— Za dziesięć minut — będę.

Wypadł na korytarz, zbiegł po schodach w dół i zamknął na klucz drzwi wejściowe. Potem wrócił do swej poprzedniej kryjówki pod okapem dachu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jedynie człowiek niespełna rozumu mógł się w obecnych warunkach cieszyć, on zaś czuł wyraźnie rozgrzewającą serce radość. Śmierć Kedsty'ego cofała się na drugi plan wobec rzeczy najważniejszej, wobec faktu, że odtąd Marette należy do niego, że może i powinien w jej obronie walczyć. Kochał ją. Kimkolwiek jest, cokolwiek uczyniła, kochał ją nadal. Niedługo wyzna mu sama,

co zaszło w pokoju na dole, i wszystko się wyjaśni.

Gdy umysł działał, ręce pracowały równie szybko. Sprawnie zasznurował buty. Zgarnął ze stołu naczynia i potrawy, zawinął i wetknął do plecaka. Wyniósł plecak wraz z karabinem do korytarza. Potem zbliżył się do drzwi Murette. Były zamknięte. Na dyskretne pukanie dziewczyna odpowiedziała, że nie jest jeszcze zupełnie gotowa.

Czekał cierpliwie. Słyszał, jak się po pokoju krząta. Zapadła cisza. Minęło pięć minut, dziesięć, piętnaście. Zapukał znowu. Tym razem drzwi się otwały.

Wytrzeszczył oczy, zdumiony zmianą, jaka w niej zaszła. Murette cofnęła się nieco od drzwi, by pozwolić mu wejść, stała więc w pełnym świetle lampy. Szczupłą, prześliczną postać odziewał granatowy welwet, kurtka o męskim kroju ciasno obejmowała kibić; spódniczka sięgała tylko nieco niżej kolan. Na nogach miała wysokie trzewiczki ze skóry karibu. Na rzemieniu u pasa wisiał rewolwer w futerale. Włosy ginęły pod męską czapką. Wyglądała prześlicznie, a w całej jej postaci nie było jakiegokolwiek fałszywego akordu. Gruby welwet, krótka spódnica, wysokie sznurowane buty — pasowały do dzikiego kraju. Nie była żółtodziobem. Była weteranem głuszy, weteranem zaprawionym w walce.

Kent promieniał ze szczęścia. Ale nie tylko jej strój go zdziwił. Pod innym względem również podległa korzystnej zmianie. Policzki miała różowe. Oczy błyszczące. Wargi pąsowe jak wtenczas, gdy ją widział po raz pierwszy. Bładość, strach, przerażenie — znikły. Jeśli drżała jeszcze, to z radosnego podniecenia na myśl o czekających w dali przygodach.

Na podłodze leżał plecak o połowę mniejszy od pakunku Kenta. Podniósł go z ziemi, stwierdził, że nie waży nic prawie. Umocował sobie na ramionach obie torby, a Murette tymczasem wkładała płaszcz nieprzemakalny, po czym zbiegła w dół po schodach. Zszedł w ślad za nią. Czekwała w hallu, trzymając oburącz ciężki gumowy płaszcz inspektora Kedsty'ego.

— Musisz to włożyć — rzekła.

Drżała lekko, podając mu palto. Rzuciła wzrokiem na drzwi, za którymi w fotelu przy biurku siedział trup i zbladła jak płótno. Opanowała się jednak szybko. Pomogła się ubrać Kentowi, przytrzymała mu plecaki na ramionach, kiedy spinał rzemienie, i muskając palcami pierś mężczyzny poruszyła wargami, jakby chciała coś wyznać czy spytać o coś.

Przerwał jej nowy poryw wiatru. Huragan uderzył w dom, waląc w drzewo, zadudnił po dachu, jednocześnie zaś grzmot trzasnął opodal, jakby rzucając ludziom wyzwanie. Kent zgasił światło i po ciemku otworzył drzwi.

Uderzyły w niego wiatr i deszcz. Wyciągając wolną rękę poszukał w ciemności, znalazł dłoń Murette, wyprowadził ją z domu i zamknął drzwi za sobą. Pochłonęła ich czerń tak gęsta, jakby utonęli w smole. Wtem błyskawica rozdarła ciemności i Kent dojrzał twarz Murette, bladą, ociekającą wodą, lecz pełną skupionej energii. Widok ten dodał mu odwagi. Byli razem, we dwoje, cóż mogło ich zatem straszego spotkać?

Dziewczyna oburącz trzymała się jego ramienia, jak gdyby w obawie, że go w tej zawierusze straci. Przygarnął ją bliżej. Wtem usłyszał jej głos. Mówiła:

— W zatoce stoi barka. Zaraz u końca ścieżki. Pan Paluch ją tam trzymał na wszelki wypadek.

Kent liczył na przystań za knajpą Crossena i na zwykłą otwartą łódeczkę. Barka znakomicie zwiększała szanse ucieczki. Jakże zatem błogosławił przewidującego grubasa. Ujmując dłoń Murette, śpiesznie ruszył ścieżką wiodącą ku rzece poprzez gęstwą topolowego zagajnika.

Nogi grzęzły im głęboko w rozmokłej ziemi. Siekący deszcz i wichur tamowały oddech. O metr nie podobna było rozróżnić pnia drzewa, ale Kent miał nadzieję, że błyskawice będą dość częste, by im wskazywać drogę. Przy pierwszym błysku spojrzął na stok w dół ku rzece. Drobne strużki wody

zbiegały po pochyłości. Obuwie ślizgało się po wilgotnej darni, korzenie i kamyki zastępowały drogę. Murette zaciskała kurczowo palce na dłoni mężczyzny, zupełnie jak podczas dzikiej ucieczki z celi więziennej. Cieszył się i wtedy, ale obecnie prócz szczęścia czuł upajającą rozkosz posiadania. Noc ta, mimo ulewy, wichury i ciemności, była najmilszą w świecie nocą.

Przed nimi leżała rzeka niby kraj obiecany. Jego rzeka! Rzeka Murette! Za chwilę do niej dotrą. Murette opowie mu wtenczas o Kedsty'm. Był tego pewien. Sama, z dobrej woli wyjaśni ponurą tajemnicę.

Znaleźli się w kotlinie u stóp wzgórza i w jasności błyskawicy ujrzeli skraj topolowego zagajnika, w którym przed paru tygodniami O'Connor spotkał Murette Radisson. Potem znów zapadła głęboka ciemność. Kent szukał drogi po omacku. Nie próbował nawet mówić, tylko puszczając dłoń dziewczyny, ramieniem objął ją wpół, osłaniając w miarę możliwości przed wichrem i deszczem. Gałęzie uderzały ich po twarzach, więc stanęli wyczekując nowej błyskawicy. Kentowi nie było wcale pilno. Przygarnął dziewczynę bliżej, ona zaś przytuliła się mocno do jego piersi tak, iż czuł na swoim bicie jej serca.

Jakże mało przypominała obecnie odważną Murette z korytarza więziennego, za pomocą nabitego rewolweru trzymającą w szachu trzech policjantów. Skulona, wylękła, a jednak pełna ufności, przypominała wystraszone dziecko. Gdyby nie mężczyzna opiekun, rozplakałaby się pewno. Kent czuł to i był szczęśliwy niewymownie. Pochylając głowę musnął twarzą kłęb mokrych włosów wysuniętych spod czapki. Nagle błyskawica rozdarła ciemności i oto zobaczył znów drogę przed sobą.

Z chwilą gdy już szlak znaleźli, nie trudno było się go trzymać. Ponad ich głowami wiatr gwizdał i wył wśród topolowych gałęzi. Rozmiękła droga tworzyła strumienie i jeziora. Gdy woda, podnosząc się coraz wyżej, sięgnęła im do kostek, Kent stanął, wziął Murette na rękę i mimo ciężaru fuzji oraz plecaków niósł ją póty, aż przebrnął zalew. Nie pytał o pozwolenie. A Murette posłusznie leżała mu w ramionach, policzkiem muskając jego wilgotny policzek.

Najniezwyklejsze było to, iż żadne nie przemówiło ani słowa. Milczenie stało się jakby świętością, której Kent nie zamierzał naruszać. W ciszy podkreślonej zgiełkiem burzy coś łączyło ich coraz ciaśniej; słowa mogły czar ten rozproszyć. Gdy stawiał Murette na ziemi, dziewczyna odnalazła jego rękę i w uścisku jej palców odgadł gorącą wdzięczność.

O ćwierć mili za topolowym gajem dotarli do krawędzi jodłowej gęstwy i oto otoczył ich, niby pierścieniem, wysokopienny bór. Tu wiatr i deszcz mniej dawały się we znaki, natomiast ciemność wzrosła bardziej jeszcze. Rzadkie błyskawice mgliście tylko wskazywały drogę. Nogi chlapały w błocie ikałużach; konary drzew chrzęściły nad głowami. W jakiejś chwili, wśród sosen smukłych jak wieże, zapadła cisza prawie zupełna. Wtenczas Kent najpierw odetchnął głęboko, a potem parsknął dźwięcznym radosnym śmiechem.

— Czy bardzo zmokłaś, maleńka Szara Gąsko?

— Woda spłynęła po wierzchu, Duża Wydro. Pióra uchroniły mnie od przemoczeń.

Głos jej drżał ni to łzami, ni to radością. Nie był to głos człowieka, który przed chwilą drugiego zabił. Kent wiedział dobrze, że patetyczną brawurą pokrywa wyczerpanie i strach. Nawet stojąc tuż obok czepiała się kurczowo jego ramienia, jak gdyby w obawie, iż w zdradliwym mroku los niespodziewanie ich rozdzieli. Szukając po wewnętrznych kieszeniach Kent wydobył suchą chustkę. Potem odnalazł twarz dziewczyny, uniósł ją nieco ku górze i wytarł chustką do sucha. W ten sam sposób mógłby otrzeć łzy zapłakanego dziecka. Przetarłszy sobie oczy ujął znów Murette wpół i ruszył z nią dalej.

Od skraju lasu do zatoki rzecznej było pół mili drogi, na tej przestrzeni zaś Kent z pół tuzina razy

brał dziewczynę na ręce, przenosząc ją przez wodę, która mu czasem sięgała kolan. Błyskawice nie zapalały się już, nic więc nie oświecało im drogi. Deszcz lał uparcie, ale grzmoty i wichura ustały jednocześnie, oddalając się w kierunku wschodnim. Zatoczka, opasana wałem boru, była niewidzialna w ciemności. Kent szedł przodem, trzymając Murette za rękę, lecz teraz ona kierowała jego krokami.

O ile Paluch projektu nie zmienił, barka powinna leżeć o czterdzieści lub pięćdziesiąt kroków w bok od drogi. Była to niewielka, dwuosobowa łódź, z małą nadbudówką mieszczącą miniaturową kajutę. Przycumowano ją tuż przy brzegu. Przedzierając się przez trzciny i chaszczce Murette udzielała Kentowi powyższych informacji. Wtem Kent potknął się o coś twardego, przeciągniętego o pół metra nad ziemią, a macając dłonią stwierdził, iż jest to lina wiążąca łódź.

Zostawiając Murette opartą plecami o drzewo, wokół którego zadzierzgnięto węzeł liny, Kent skierował się ku rzece. Po omacku wszedł do łodzi. Na dnie było parę cali wody, ale ponieważ nadbudówkę umieszczono na wzniesieniu, należało mieć nadzieję, iż wewnątrz kajuty jest suche. Wodząc palcami po ścianie, Kent znalazł zakrzywiony drut, tworzący prymitywną zaworę. Otworzywszy drzwi schylił kark i wszedł. Miniaturowa izdebka miała zaledwie cztery stopy wysokości, więc dla zapewnienia sobie większej swobody ruchów Kent ukląkł na oba kolana. Szperając po kieszeniach znalazł nieprzemakalne pudełko z zapalkami. Woda nie dotarła jeszcze do poziomu podłogi.

Pierwszy błysk płomienia ukazał mu otoczenie. Była to malutka kabina, wielkości dużej skrzyni. Miała osiem stóp na sześć, zaś sufitu, nawet klęcząc, nieomal dotykał głową. Kiedy zapalka się wypaliła, potarł drugą. Tym razem dojrzał świecę, umocowaną w rozdwojonej szczapie brzozonej wetkniętej w ścianę. Podpełznął bliżej i zapalił knot. Uważnie wodząc wzrokiem błogosławił przezornego Palucha. Barkę przygotowano wyraźnie do dłuższej podróży. W głębi znajdowały się dwie koje, umieszczone tak ciasno jedna nad drugą, iż Kent uśmiechnął się powątpiewając, czy się na posłaniu zmieści.

Na kojach leżały dery. W pobliżu stał malutki żelazny piecyk, zaś obok niego leżał zapas drzewa i kory brzozonej na podpałkę. Całość przypominała zabawkę dziecinną. Było jednak jeszcze miejsce na obszerny, wygodny trzcinowy fotel, na taboret i na umocowaną pod oknem niską szafeczkę, której gładki blat spełniał rolę stołu. Piętrzyły się na nim przeróżnego kształtu paczki.

Kent zrzucił plecak i wrócił po Murette. Dziewczyna zeszła na sam brzeg i słysząc go człapiącego przez wodę, szeptem wołała jego imię. W ciemności wyciągnęła doń rękę. Znalazł ją, wziął w ramiona, przeniósł do drzwi kajuty i ze śmiechem postawił w progu. Żółte światło zaśniło na ich mokrych twarzach. Oczy Murette błyszczały.

— Twoje gniazdko, mała Szara Gąsko — czule szepnął Kent.

Wyciągniętą dłonią musnęła jego policzek.

— Byłeś bardzo miły, Jeems — rzekła. — Możesz mnie teraz pocałować.

Kentowi zabrakło tchu. Pragnął krzyknąć ze szczęścia, wybuchnąć śpiewem triumfalnym. Pocałunek Murette zdwoił jego siły i energię. Jednym skokiem znalazł się na brzegu, jednym cięciem zwolnił łódź z uwięzi. Pchnął ją na szerszą wodę. Skoczył na pokład. Złapał drąg sterowy i siłą dwu par ramion, nie jednej, kierował barkę na główny nurt. Za zamkniętymi drzwiami miniaturowej kajuty miał swój skarb, wart największych starań i zachodów. Obracając głowę dostrzegł blask światła w okienku. Światło, kajuta, Murette!

Śmiał się szczerze i radośnie, jak dzieciak. Słyszał już głuchy, miarowy łoskot, dźwięk, który z każdą chwilą nabierał mocy i wyrazistości, urastając wreszcie do grzmotu katarakty. To była rzeka wezbrana ulewą. Ale Kent się jej nie bał. Uważał ją za druha wiernego, za najlepszego z przyjaciół.

Hałas, jaki wywoływała, nie groził, nie przestrzegał, lecz huczał wesoło niby głosy powitalne.

Niebo nad głową otwarło się i deszcz lunął ze zdwojoną mocą, lecz jednocześnie prąd pochwyił dziób barki niby wyciągnięte w mroku potężne garście. Mogło się zdawać, iż rzeka złapała łódź na arkan i galopem wlecze ją w dal.

Kent umocował drąg sterowy, wyprostował się i spojrzał w czarny chaos na przodzie. Pod stopami przez dygocący pokład czuł miarowy ruch prądu cwałującego ku Rzece Niewolniczej, Mackenzie, ku Morzu Arktycznemu. Wtenczas, rozkładając ręce, krzyknął donośnie, dźwięcznie, sławiąc miłość i wolność, którą zdobył wbrew bezwzględny prawom ludzkim.

Ryk wezbranej wody i chlupot deszczu pochłonęły echo. Kent odwrócił się. W ciemności przez szybę okienka mrugało doń światło świecy.

ROZDZIAŁ XVIII

RZEKA

Po omacku dotarłszy do nadbudówki, Kent zapukał. Marette otworzyła przed nim drzwi i cofnęła się dając mu przejście. Wlaźł do wnętrza prawie na czworakach niby wielki, mokry pies. Zdawał sobie dobrze sprawę z groteskowości tej sceny; jego rozrosła postać nie pasowała zupełnie do tego domku dla lalek. Uśmiechając się z zażenowaniem, usiłował dojrzeć cokolwiek poprzez mokre rzęsy.

Marette zdjęła już płaszcz i czapkę. Ona również musiała się schylać w ciasnym pomieszczeniu, miała jednakże większą swobodę ruchów niż Kent. Mężczyzna ukląkł. Spostrzegł, iż w piecyku płonie wesoły ogień. Trzask płomieni głużył łoskot deszczu bębniącego po dachu. W krąg rozchodziło się już przyjemne ciepło. Marette miała mokre nogi i ręce, wilgotne pasma włosów lgnęły jej do twarzy, ale oczy lśniły radością i uśmiechała się do Kenta. Sprawiała wrażenie dziecka, które nareszcie po długiej tułaczce odnalazło własny dom.

Kent parsknął radosnym śmiechem. Jakież to było miłe, jakie cudowne: czarna noc wokoło, burza, rzeka rozlana i oni sami, we dwoje, w tym domku wielkości zabawki, gdzie nie można ani stanąć prosto, ani się obrócić. Dramat poprzedzający ucieczkę, widmo krat i szubienicy, śmierć Kedsty'ego — wszystko poszło w niepamięć. Do rzeczywistości przywiodło Kenta okienko kajuty. Było malutkie, to prawda, a jednak światło padało na zewnątrz i ludzie zamieszkujący chaty rozsiane wzdłuż rzeki mogli je z brzegu dojrzeć. Kent podpełznął bliżej i zasłonił otwór chustką.

— Lecimy na wyraj, Szara Gąsko! — uśmiechnął się do dziewczyny. — Czy nie byłoby bardziej po domowemu, gdybym zapalił?

Skinęła głową nie spuszczając oczu z okna.

— Och, jesteście bezpieczni zupełnie — zapewnił Kent wyjmując fajkę z kieszeni i poczynając ją napełniać tytoniem. — Najpewniej wszyscy dawno śpią. Ale nie widzę potrzeby ryzykować.

W tej chwili barka, uderzona prądem z boku, zachwiała się lekko. Kent wyczuł wstrząs i dodał:

— Nie ma także obawy rozbicia. Na przestrzeni trzydziestu mil nie ma ani śladu głazów podwodnych czy porohów. Rzeka jest gładka jak podłoga. Jeżeli uderzymy o brzeg, nic się nie bój.

— Nie boję się rzeki — odparła ona. Po czym, pozornie przeskakując z tematu na temat, spytała:

— Gdzie będą nas szukać jutro?

Nie spuszczając z niego wzroku usiadła w fotelu i pochyliła się ku niemu czekając odpowiedzi. Kent zapalił fajkę obserwując ją ukradkiem.

— W lasach, na rzece, wszędzie — rzekł. — Oczywiście zaczną się rozglądać za brakującą łodzią. Musimy uważać na tyły i wyzyskać fakt, że ruszyliśmy w drogę pierwsi.

— Czy deszcz splucze nasze ślady, Jeems?

— Na otwartej przestrzeni — wszystkie.

— Ale w osłoniętych miejscach?

— Nie byliśmy w żadnym osłoniętym miejscu — upewnił ją niedbale. — Prawda, Szara Gąsko?

Zwolna poruszyła głowę.

— Zdaje się, że nie. Nie pamiętam. No a Mooie pod oknami dworku?...

— Och, tam deszcz nie zostawi żadnych śladów.

— To dobrze. Nie chciałabym za nic, by on, pan Paluch czy w ogóle którykolwiek z naszych przyjaciół miał mieć z naszego powodu jaką przykrość.

Nie usiłowała wcale ukryć doznanej ulgi, toteż Kent zdziwił się nawet, że w chwili tak groźnej

zaprząta sobie głowę troską o osoby obce. Był zresztą rad poniekąd. Bardzo mu zależało na tym, by zataić przed nią niebezpieczeństwo. Prędzej czy później sama się go domyśli. Wszak za parę godzin znajdą trupa inspektora Kedsty. A jeśli ich złapią...

Marette tymczasem wyciągnęła ku niemu nogi poruszając stopami wewnątrz trzewików, aż słyszał, jak chlupocze wypełniająca je woda.

— Brr, ależ zmokłam! — wzdrygnęła się. — Czy możesz rozplatać sznurowadła i zdjąć mi obuwie, Jeems?

Odłożył fajkę, zsunął się ze stolika na podłogę i ukląkł przy niej. Zdejmowanie trzewików zajęło mu dobre pięć minut. Wreszcie utulił jedną z drobnych, obłożonych nówek w swoich wielkich dłoniach.

— Zimne! Zimne jak lód! — rzekł. — Musisz jeszcze zdjąć pończochy. Proszę cię, Marette...

Spiętrzył stos drzewa przed drzwiczkami pieca, przykrywając szczapy derką wziętą z koi. Potem, wciąż klęcząc, przysunął bliżej trzcinowy fotel okrywając go drugim kocem. W parę chwil później Marette wygodnie siedziała w fotelu, oparłszy nogi na osłoniętym derką drzewie. Kent otworzył drzwiczki piecyka. Zgasił jedną z dymiących świec, potem drugą. Płonące wesoło brzozowe polana zalały kajutę światłem miłszym i delikatniejszym, a twarz Marette nabrała od niego dziwnie subtelnych barw. Oczy dziewczyny zabłyśły silniej jeszcze. Wyciągając dłoń, palcami musnęła twarz i włosy Kenta; uczyniła to tak leciutko, że zaznał pieszczoty nie czując prawie dotyku.

— Taki jesteś dla mnie dobry, Jeems — szepnęła i wydało mu się, że głos jej załamuje się zdradliwie.

Kent siadł na podłodze tuż obok jej fotela, plecami do ściany.

— To dlatego, że cię kocham, Szara Gąsko — odparł spokojnie, patrząc prosto w ogień.

Milczała nie odrywając również oczu od płomieni. Nad ich głowami deszcz siekł dach kajuty, niby tysiące drobnych piątek kołaczących niecierpliwie. Pod sobą czuli ruch i chybot barki pchanej w dal prądem, trącanej to wiatrem, to znów falą. Kent, nie zauważony przez dziewczynę, podniósł wzrok wyżej. Światło brzozowych szczap tańczyło na białej, smukłej szyi, drżało u długich rzęs, lśniło w ciemnych włosach. I raptem, gdy tak na nią patrzył, przypomniał sobie inspektora Kedsty'ego sztywno siedzącego przy biurku. Nie zmąciło mu to wszakże pogody ducha. Wyciągając rękę ujął jedną z drobnych dłoni Marette, utulił ją w swojej wielkiej garści i rzekł:

— Mała Szara Gąsko, powiedz mi, proszę, teraz, co zaszło w pokoju inspektora?

W głosie Kenta zabrzmiała ogromna ufność. Pragnął zresztą dziewczynę upewnić, że cokolwiek się stało, kocha ją i wierzy jej bezgranicznie. Z bijącym sercem czekał odpowiedzi. Uczuł, jak sztywnieją jej palce, zamknięte w uścisku jego dłoni.

— Powiedz mi, Szara Gąsko, jak się to stało?

— Ja... Ja nic nie wiem, Jeems.

W chwili gdy mówiła, patrzył w ogień, teraz wszakże przeniósł znów na nią zdziwiony wzrok, niepewny, czy dobrze słyszał. Siedziała bez ruchu, tylko palce jej grzebały kurczowo w jego rękę, by się wreszcie mocno w dłoń jego wtulić, jak wtenczas, gdy drżała przed burzą.

— Nie wiem, jak się to stało, Jeems.

Ale Kent nie czuł już nawet uścisku jej palców. Doznał niby gwałtownego, a niespodziewanego uderzenia. Gotów był przecież życie za nią oddać. Gotów był uwierzyć wszystkiemu, co mu powie, wszystkiemu, z wyjątkiem tej jednej rzeczy niemożliwej do przyjęcia. Ona bowiem wiedziała, co zaszło w pokoju Kedsty'ego. Wiedziała. Chyba że...

Serce zabiło mu nagle radosną nadzieją.

— Więc zemdlałaś? Właśnie wtedy zemdlałaś! — krzyknął głosem zdławionym ze wzruszenia.

— Zemdlądaś w chwili, gdy się to stało? Czy tak?

Poruszyła głową przecząco.

— Nie. Spałam u siebie w pokoju. Nie zamierzałam spać, ale się jednak zdrzemnęłam. Coś mnie zbudziło. Myślałam na razie, że przykry sen. Ale to coś nie pozwoliło mi zasnąć na nowo, tylko wlokło w dół. A na dole znalazłam Kedsty'ego, tak jak go widziałeś w chwilę później. Nie żył. Stałam nad nim właśnie gdyś ty wszedł.

Cofnęła rękę z jego dłoni łagodnie, lecz stanowczo.

— Rozumiem doskonale, że mi nie wierzysz, Jeems. Że nie możesz mi uwierzyć.

— Czyżbyś nie chciała, bym ci uwierzył?

— O, tak! Musisz mi wierzyć.

— Ależ te włosy, twoje włosy wokół szyi Kedsty'ego? Urwał. Słowa, choć mówione głosem najdelikatniejszym,

jakże były szorstkie i brutalne. Nie zauważył jednak, by ją, zbytnio dotknęły. Nie drgnęła. Nie zachnęła się wcale. Uparcie patrzyła w ogień. A jemu rozum się mącił. Nigdy nie widział kobiety tak umiejącej panować nad sobą. Uczuł chłód wewnętrzny. Chciał porwać ją w ramiona i mówić na ucho głupie, naiwne, wzniosłe słowa miłości. Nie mógł głosu dobyć. Nie odwracając głowy rzekła:

— Jeśli policja ma nas w ogóle złapać, to stanie się to wkrótce, prawda, Jeems?

— Nie złapie nas wcale!

— Ale jeśli złapią, to niedługo? — nalegała Murette. Kent wyjął zegarek i pochylony przysunął go do światła.

— Jest w tej chwili trzecia — rzekł. — Jeszcze doba i jesteśmy bezpieczni zupełnie.

Nastąpiła krótka cisza. Wtem Murette wyciągnęła rękę i palcami oplotła znów dłoń Kenta.

— Jeems, gdy będziemy bezpieczni zupełnie, zupełnie pewni, że policja nas nie złapie, opowiem ci wszystko, co wiem o... o śmierci inspektora Kedsty'ego. Wyjaśnię ci, skąd się te włosy wzięły i... resztę. — Zwarła palce kurczowo niemal. — Dowiesz się wszystkiego o mnie, tylko kto wie, czy będziesz mnie potem jeszcze lubił.

— Kocham ciebie — odparł, nie czyniąc jednak najmniejszego ruchu w jej kierunku. — Cokolwiek mi powiesz, Szara Gąsko, będę cię zawsze kochał.

Krzyknęła lekko i gdyby Kent mógł jej teraz w oczy zajrzeć, dostrzegłby w nich zapewne ogromne wzruszenie. Lecz uwagę obojga przyciągnął naraz monotony szmer płynący od strony drzwi. Odwrócili się jednocześnie. Przez próg zwołna sączyła się woda.

— Spodziewałem się tego — rzekł Kent wesoło. — Nasza barka zamieniła się w beczkę dla chwytania deszczówki.

Podniósł z ziemi czapkę i nacisnął ją na uszy.

— Wylanie wody zajmie mi kilka chwil zaledwie. Kiedy będę to robił, radzę ci zdjąć mokrą odzież i wleźć do łóżka. Proszę cię, Szara Gąsko, zrób to dla mnie.

— Wcale nie jestem zmęczona, ale jeśli sądzisz, że tak będzie lepiej... — Dłonią musnęła jego ramię.

— Na pewno będzie lepiej — pochylając się, wargami dotknął jej włosów.

Naraz chwycił wiadro i śpiesznie wysunął się przez drzwi na deszcz.

Rozdział XIX

WE DWOJE

Była to ta godzina właśnie, kiedy przy jasnej pogodzie siwy brzask Dalekiej Północy wyrzałyby nieśmiało spoza wschodniej krawędzi boru. Obecnie ciemności przybrały raczej charakter gęstej mgły. Wzdłuż burty wody niesposób było dostrzec. Burta sama także ginęła w mroku. Gdy Kent stanął u rudła, nadbudówka kajuty, oddalona o trzy metry, całkowicie roztopiła się w czerni.

Za nikłą przegrodą z desek, w kajucie, zasypiała Murette. Przez nią, dla niej, Kent wiedział, że sprawę wygra. Lecz nie spodziewał się bynajmniej łatwej wygranej. Myślą obejmował plan dorzecza trzech rzek, od Landing po fort Simpsona, próbował wyobrazić sobie liczne sytuacje, plan ataku tamtych i swoją obronę. Nie przypuszczał, by policjanci poważyli się wejść do domku inspektora przed dwunastą w południe. Lecz z chwilą wykrycia zabójstwa motorówka policyjna wyruszy w pogoń bez zwłoki. Jednak w momencie rozpoczęcia pościgu barka musi mieć z pięćdziesiąt mil drogi za sobą.

Zanim noc zapadnie, miną Porozy śmierci, gdzie Follette i Ladouceur urządzili swój szaleńczy wyścig z miłości do dziewczyny, zaś o parę mil poniżej rozpoczyna się błotnista okolica, gdzie pośród trzcin i szuwarów łatwo będzie barkę ukryć. Tam, wysiadłszy na ląd, ruszą na północ-zachód. Jeszcze doba i będą bezpieczni zupełnie. Miał niepłonną nadzieję, że do walki nie dojdzie. Ale gdyby go do muru przyparli — co tu długo gadać — będzie walczył.

Myśli kłębiły mu się w mózgu, tymczasem zaś opróżniał barkę z wody. Ruchy miał tak rytmiczne, że stanowiły niejako podkład do dumań. Monotonny plusk wiadra przeszedł w jednolitą harmonię. Pracując węszył bliskość brzegu. Mimo deszczu wyczuwał słaby zapach igieł sosnowych i żywicy.

Nim skończył, ulewa zmieniła się w drobny kapuśniaczek. Aromat sosen i cedrów dolatywał teraz wyraźniej, głośniejsz bełkotała rzeka. Kent po cichu zapukał do drzwi kajuty. Głos Murette odpowiedział mu: — Wejść!

Ogień przygasł, tylko węgle żarzyły się czerwienią. Kent ukląkł i zwał z siebie przesiąkniętą wilgocią płaszcz.

Murette odezwała się doń z koi:

— Wyglądasz jak wielki niedźwiedź, Jeems. — Głos jej brzmiał ciepło i przyjaźnie.

Kent roześmiał się i przysuwając bliżej stołek siadł koło niej, przy czym musiał zgiąć nieco głowę, by nie zawadzić o sufit.

— Czuję się jak słoń, którego zamknięto w klatce dla kanarka — odparł z humorem. — Czy ci wygodnie, mała Szara Gąsko?

— Tak... Ale, Jeems, jesteś cały mokry!

— Jednak tak bardzo szczęśliwy, że nic nie czuję. Ledwie mógł ją dojrzeć w tym ciemnym kącie. Rozpuściła włosy, by je łatwiej wysuszyć, więc w obramowaniu czarnych splotów twarz jej bieląła tajemniczo. Kent dumał, czy też dziewczyna słyszy bicie jego serca. Zapomniał dorzucić szczap do ognia, mrok gęstniał zatem coraz bardziej. Ginęły już kontury twarzy. Kent cofnął się nieco, tknięty myślą, iż świętokradztwem byłoby zbliżać się do niej nocą niby złodziej. Wyczuła ten ruch; wyciągając ramię palcami musnęła jego dłoń.

— Jeems — rzekła miękko — nie żałuję wcale, że przyszedłam do szpitala tego dnia, gdyś sądził, że konasz. Miałam zupełną rację. Nie jesteś taki jak inni ludzie. A śmiałam się z ciebie wtedy i kpiłam, bo wiedziałam, że nie umrzesz. Czy możesz mi przebaczyć?

Parsknął radosnym śmiechem.

— Doprawdy, to komiczne, jak z drobiazgów wynikają nieraz rzeczy ważne — rzekł. — Czyż nie stracono niegdyś królestwa dlatego tylko, że ktoś tam zgubił podkowę? Ja znów znam człowieka, którego ocaliła od śmierci fałszywa diagnoza lekarska postawiona innemu. Ot, i obecnie, przyszedł do mnie, a ja poznałem ciebie dlatego tylko...

— Dlatego tylko... — powtórzyła szeptem.

— Dlatego, że dawno bardzo stała się taka rzecz, coś, co pozornie nie ma z nami żadnego związku. Czy mam ci o tym opowiedzieć, Murette?

Leciutko zacisnęła palce na jego ramieniu.

— Tak. Proszę.

— Oczywiście jest to historia policyjna — zaczął Kent. — Nie wymienię też nazwiska głównego bohatera. Dajmy na to, iż chodzi o rudego O'Connora, choć wcale nie twierdzę, że to on był. Otóż mój bohater, szeregowiec policji, waleśał się na Dalekiej Północy w poszukiwaniu pewnego Indianina, pędzącego durzący napój z korzonków leśnych. Rzecz działa się przed sześciu laty. Policjant zachorował. Spadła nań ospa, zwana w tych stronach czerwoną śmiercią. Gdy gorączka powaliła go na ziemię, do najbliższego osiedla było trzysta mil. Towarzyszący mu Indianin zbiegł za pierwszym objawem zarazy, biały zaś ledwie zdołał ustawić namiot i paść pod nim bez ducha. Lepiej nie wspominać o szczegółach dni następnych. Był to istny koszmar. Policjant umarłby niewątpliwie, gdyby nie obcy przechodzień — biały myśliwiec. Wierz mi, Murette, nie trzeba wielkiej odwagi, by stawić czoło zbrojnemu bandycie, kiedy się ma karabin w garści. Iść w bój to fraszka, jeśli tysiące idą wraz z tobą. Ale ważyć się na to, na co się ów obcy ważył — to prawdziwe bohaterstwo. Przy tym chory był dla niego osobą zupełnie obojętną. A jednak wszedł do namiotu i wyrwał policjanta śmierci. Potem sam z kolei zaniemógł. Tak spędzili z sobą ci dwaj pełnych dni siedemdziesiąt, każdy walcząc o życie drugiego. Lecz policjant spłacił tylko część zaciągniętego długu, gdy tamten poświęcił się naprawdę. Wreszcie, obaj zdrowi, rozeszli się w przeciwne strony: policjant na południe, obcy na zachód.

Urwał i milczał chwilę. Palce Murette zaciskały się wokół jego dłoni.

— Policjant nie zapomniał o tym nigdy, mała Szara Gąsko. Marzył, by móc kiedykolwiek dług wyrównać. I dzień taki przyszedł — w parę lat później. Sprawa przedstawiała się dziwnie. Zamordowano człowieka, a policjant, obecnie w randze sierżanta, rozmawiał z ofiarą zaledwie parę chwil przed zabójstwem. Wracając potem po zapomnianą drobnostkę on znalazł trupa. Wkrótce jednak przytrzymano domniemanego zabójcę. Miał plamy krwi na odzieży. Wystarczyło to w zupełności dla zbudowania aktu oskarżenia. Człowiek ów był zgubiony. A był to...

Kent zamilkł. Palce Murette jeszcze mocniej zacisnęły się wokół jego dłoni.

— Twój przyjaciel z lasu. Skłamałeś, by go ocalić? — szepnęła.

— Tak. Gdy trafiła mnie kula Metysa, pomyślałem, że oto nadarza się sposobność odpłacenia Sandy McTriggerowi za to, co uczynił dla mnie przed laty. Nie było w tym z mojej strony żadnego bohaterstwa. Wierzyłem przecie, że umrę, nie ryzykowałem zatem absolutnie niczym.

Od strony koi rozebrzmiał radosny, dźwięczny śmiech.

— Jakże bajecznie umiałeś kłamać, Jeems! A ja wiedziałam, że kłamiesz! Wiedziałam, że nie zabiłeś Johna Barkleya, wiedziałam, że nie umrzesz, wiedziałam, co zaszło w namiocie przed laty. I... och, Jeems!...

Uniosła się z poduszki. Oddychała szybko i nierówno. Oburącz czepiała się jego dłoni.

— Wiedziałam, że nie zabiłeś Johna Barkleya — powtórzyła z naciskiem. — Ale Sandy McTrigger nie zabił go również.

— Ależ, Murette!

— Nie zabił. Jest równie niewinny jak ty sam, Jeems. Jeems, ja wiem, kto popełnił morderstwo, wiem, wiem!

Głos jej załamał się w szlochu; opanowała go z trudem.

— Nie myśl, że ci nie ufam i dlatego nie chcę ci wyznać prawdy. Zrozumiesz — wkrótce. Gdy będziemy bezpieczni przed policją, dowiesz się o wszystkim. Nie zataję przed tobą niczego. Powiem ci o Johnie Barkleyu i o Kedsty'm, jak i dlaczego zginęli. Teraz jeszcze nie mogę. Lecz to długo nie potrwa. Kiedy powiesz mi, że nic nam już nie grozi, uwierzę ci na słowo. Wtenczas...

— Wtenczas? — spytał pochylając się ku niej bliżej.

— Przestaniez mnie lubić, Jeems.

— Kocham cię — odszepnął on gorąco. — Nic na świecie nie zmieni moich uczuć!

— Nawet gdybym ci wyznała, że... to ja zabiłam Johna Barkleya?

— Nie. Wiedziałbym, że kłamiesz.

— Albo gdyby się okazało, że ja... zabiłam Kedsty'ego?!

— Cokolwiek byś powiedziała, cokolwiek by przeciw tobie świadczyło — nie uwierzę!

Milczała długą chwilę. Wreszcie szepnęła cicho:

— Jeems!

— Słucham cię, Nisko, mała boginko.

— Teraz ci coś powiem. Czekaj.

— Zgorszysz się, Jeems.

Wyciągnęła rękę. Oparła mu dłonie na ramionach.

— Słuchasz uważnie?

— Słucham.

— Bo nie chcę mówić zbyt głośno. Jeems... kocham cię.

ROZDZIAŁ XX

SŁOŃCE

W blednącym zwolna mroku kajuty, mając ramiona Murette wokół szyi i wargi jej na swoich ustach, Kent nie myślał o niczym, czuł jedynie, że się nareszcie spełnia marzenie jego serca. Sen stał się rzeczywistością, a jednak miał wrażenie, że śni. Plótł też słowa bezładne, których później spał nie pamiętał.

Gdy oderwał się wreszcie od ukochanej i wyszedł na świat, dniało już. Usłyszał łoskot deszczu na dachu kajuty. Rzeka ciężko toczyła swe wody. Po obu stronach wyłaniały się z mgły ciemne linie wybrzeży, porosstoych borem iglastym. Wielką ciszę naruszał jedynie plusk nurtu i bełkot fali pod rufą. Chmury pierzchły wraz z wichrem. Od wschodu bielał świt, coraz promienistszy, biały, srebrny, szkarłatny blask wreszcie, idący wzdłuż i wszerz, barwiący niebo i szczyty drzew jaskrawą purpurą. Zginęły resztki mgieł. Barka płynęła samym środkiem rzecznej koryta. W odległości dwustu jardów z każdej strony rósł zielony bór, tchnący chłodnym aromatem i przedziwną, rześką świeżością, którą Kent z rozkoszą wciągał w płuca.

Z kajuty dobiegał go szelest. Murette wstała widać i krzątała się po izdebce. Obserwował bijący z komina dym, dym suchych, zdrowych szczap, biały i przejrzysty w przezroczystym powietrzu rannym.

Woń jego, na równi z zapachem jodeł i cedrów, była dla Kenta esencją życia. Wylewając za burtę resztki wody zebranej na dzień łodzi, jał pogwizdywać raźnie; chciał, by Murette usłyszała ten gwizd. Chciał, by zrozumiała, jak ogromnie się cieszy. Są sami i bezpieczni, a świat stoi przed nimi otworem.

Pracując rękoma, pracował również myślą. Nie zamierzał ryzykować bez potrzeby. Przystając na chwilę gwizdać roześmiał się cicho, wspominając latami nabyte doświadczenie, będące obecnie najlepszym jego sprzymierzeńcem. Nie darmo posiadał we wszystkich szczegółach umiejętność tropienia przestępców, wiedział doskonale, w najmniejszych drobiazgach, co robi, a czego nie robi dążący tropem łowca ludzi. Od startu już wziął górę nad współzawodnikami. Zresztą, skoro ani on, ani O'Connor, ani Kedsty nie wchodzili w rachubę, skład osobowy policji w Athabaska Landing przedstawiał się nader ubogo. Już sam fakt napawał Kenta otuchą. Ale jeśli nawet ze dwudziestu ludzi ruszy w pogoń, niewątpliwie da im radę. Jedynie policyjna motorówka może zbiegów doścignąć. Zanim jednakże nadrobi stracony czas, oni miną Porohy Śmierci, ukryją barkę w szuwarach i przepadną wśród niezbadanych puszczy na północny zachód od rzeki.

Tak, na północny zachód. Muszą się wciąż trzymać tego kierunku, a nie wysledzi ich nikt. Kent wyprostował się i spojrzał znowu na słup dymu, tworzący na błękitnie nieba koronkowe wzory, to siwe, to znów białe. W tejże chwili słońce wytrysło ponad czub najwyższego cedru, zalewając wszystko wokół jasnością dnia.

Cały kwadrans jeszcze Kent czyścił i wycierał dno łodzi, po czym, tak niespodziewanie, iż wyprostował się jak podcięty batem, pochwyił w powietrzu nową woń, zmieszaną z aromatem żywicy. Pachniały smażona wędzonka i kawa. Był pewien, że Murette marudzi porządkując odzież i wykańczając toaletę, tymczasem ona myślała o śniadaniu. Nie było w tym wprawdzie nic nadzwyczajnego. Smażenie boczku i zaparzanie kawy były to zwykłe poranne czynności. Jednakże w chwili obecnej tego tylko brakowało, by ziemię zrównać z rajem. Murette przyrządza jego śniadanie! Kawa i wędzonka, te dwie rzeczy były dla Kenta zawsze synonimem domu. Ilekroć czuł oba zapachy,

widział oczyma wyobraźni roześmiane dzieci, śpiewające kobiety i zdrowych, rozradowanych mężczyzn.

Zbliżył się do drzwi i nasłuchiwał chwilę. Potem uchylił je nieco i zajrzał. Murette klęczała przed otwartymi drzwiczkami piecyka, rumieniąc pajdy chleba zatknięte na dwu widelcach. Twarzyczkę miała od ognia czerwoną. Nie chcąc marnować czasu nie ułożyła włosów jak zwykle, tylko spłotła je niedbale w jeden gruby warkocz, luźno opuszczony na plecy. Na widok Kenta zrobiła minkę pół rozczarowaną, pół drwiącą.

— Dlaczego nie czekałeś? — spytała. — Chciałam zrobić ci niespodziankę.

— Już zrobiłaś — zapewnił. — Nie mogłem dłużej czekać. Musiałem przyjść i pomóc ci.

Ukląkł i tuląc usta do włosów dziewczyny, odebrał jej oba widelce. Spąsowiła śmiejąc się cichutko. Kent roześmiał się w odpowiedzi. Dłoń Murette musnęła mu policzek. Gdy później krzątała się po izbie przygotowując talerze i kubki, śmiech stale drżał w jej gardle, przy czym coraz dotykała mu to ramienia, to włosów. Śniadanie jedli wspólnie, siedząc jedno w fotelu, drugie na stołku przed szafką spełniającą rolę stołu. Murette nalewała kawę, kładła cukier i dodawała mleko kondensowane, Kent zaś był tak szczęśliwy, że zapomniał nawet, iż nie używa ani mleka, ani cukru. Przez małe okienko zaglądał promień słońca. Za otwartymi drzwiami widać było lśniąca rzekę i sunące wstecz zielone pasma boru. Skończywszy jeść Murette wyszła wraz z Kentem z kajuty.

Czas jakiś milczała stojąc bez ruchu, zdjeta wzruszeniem i podziwem. Kent miał wrażenie, iż wstrzymuje nawet oddech. Z głową odrzuconą wstecz, poddając białą szyję pieszczocie wiatru, poila oczy pięknym krajobrazem.

Nagle zwróciła się ku niemu.

— Jaka jestem szczęśliwa — szepnęła z przejęciem. — Och, Jeems, tak niezmiernie jestem szczęśliwa!

Wyciągnął ku niej ramiona. Pozwoliła się objąć bez wahania i sprzeciwu. Stali później, długą chwilę spleceni uściskiem. Barka łagodnie opływała cypel rzeczny. Przy brzegu ogromny łoś z pluskiem wydobył się z wody na suszę i łamiąc po drodze gałęzie ciężko pognął w las. Murette zeszywniała, lecz nie rzekła nic. Dopiero po pewnym czasie usłyszała, jak szepce:

— Tak dawno mnie tu nie było, Jeems. Cztery lata...

— A teraz wracamy do domu, mała Szara Gąsko. Czy nie czujesz się zbyt samotnie?

— Nie. Samotna byłam w mieście. Tam tyle ludzi, taki tłok, tak strasznie tęskniłam do lasów i gór... Umarłabym chyba wkrótce. Podobały mi się tylko dwie rzeczy...

— Co takiego?

— Ładne suknie i ładne obuwie. Mocniej przytulił ją do piersi.

— Rozumiem — zaśmiał się wesoło. — Więc to dlatego miałaś takie śliczne trzewiczki na wysokich obcasach?

Schylił głowę, ona zaś podniosła różową twarz. Ucałował świeże wargi.

— Jakże cię kocham, Nisko, mała boginko! Żaden mężczyzna chyba nie kochał tak silnie żadnej kobiety.

Kent miał zapamiętać ten dzień na zawsze. Zdawało mu się chwilami, że to, co przeżywa, wkracza w dziedzinę marzeń. Z rzadka tylko uprzytomniał sobie, że są przecież parą zbrodniarzy ściganych przez prawo, że nie raj ich otacza, lecz śmiertelne niebezpieczeństwo. Myśli podobne pierzchały jednak szybko i bez śladu.

Murette zachowywała się jak szczęśliwe dziecko; śmiała się oczyma i całą twarzą, bez oporu podawała mu pąsowe usta, ilekroć tego zażądał. Na moment zniknęła w kajucie i wróciła niosąc grzebień i szczotkę, po czym siadłszy na burcie łodzi, rozpuściła włosy i zaczęła je czesać w słońcu.

— Tak się cieszę, że lubisz moje włosy, Jeems — mówiła szczerze.

I rozkoszny sen snuł się nadal. Z każdą godziną wpływali głębiej w obręb północnego kraju. Słońce świeciło jaskrawo. Ocienione lasem wybrzeża nabierały ciszy i powagi. Prąd niósł barkę bez wysiłku. Z rzadka jedynie Kent zmuszony był użyć rudla.

Poza tym pracy nie było żadnej. Nie mówili też o Kedsty'm, nie wspominali zagadkowej śmierci Johna Barkleya. Znajdowali się jak gdyby w świecie nierealnym, wolnym od dramatów i trosk. Kent opowiadał o dawnych swoich przygodach, Murette o latach spędzonych w szkole. Godziny biegły.

Pomiędzy wschodem słońca i południem spotykali kilkakrotnie objawy życia; raz była to barka przycumowana do drzewa, to znów obóz indiański lub wreszcie na polance domek trapera. Pościgu ani śladu. A jednak Kent począł doznawać uczucia niepokoju, jakby mu kto na ucho szeptał, że zło nadciąga i należy się strzec. Częściej używał teraz rudla, chcąc jazdę przyspieszyć. Z bolesnym drżeniem serca mierzył czas i odległość. Szukał znajomych cech na brzegu.

Obliczał, że o czwartej, najpóźniej o piątej dotrą do wodospadu. Dziesięć minut na przeprawę, po czym weгна barkę między szuwary i będzie sobie kpił z policji. Dumał, kombinował, a uszy mimo woli starały się pochwycić znajomy dźwięk. Od samego południa nasłuchiwał stale, czy nie ułowi dalekiego put, put, put, zapowiadającego o milę zbliżanie się łodzi policyjnej.

Spokojnie i rzeczowo wytłumaczył wszystko Murette. Nie mogą bez końca trzymać się rzeki, gdyż Athabaska stanowi jakby główną arterię zasilającą w towary całą Daleką Północ. Często kręcą się po niej patrole policyjne. Wykryto by ich zatem prędzej czy później. Knieja jedynie, porznięta tysiącem szlaków niezbadanych, będzie bezpieczną kryjówką. Istnieje jednak powód, dla którego nie wolno wysiąść na ląd już teraz. Oto w pobliżu Wodospadu Śmierci rozpościerają się tereny tak bagniste, że w obecnej porze roku niesposób byłoby je pieszo przebyć. Za to poniżej katarakty czeka gęsty, przychylny bór, który pochłonie zbiegów i zatrze wszelki trop za nimi.

— A jeśli nawet usłyszymy motorówkę przed wodospadami — mówił Kent — zdążymy zawsze dopaść ładu. Nie złapią nas na pewno. Łatwiej znaleźć dwie igły w stogu siana. Na wszelki wypadek jednak trzeba być w pogotowiu.

Wyniósł więc z kajuty swój plecak i pakunek Murette, kładąc w poprzek nabitą fuzję i rewolwer. Była trzecia po południu, gdy charakter rzeki jął się zmieniać; Kent zauważywszy to uśmiechnął się z zadowoleniem. Woda mknęła szybciej. W węższym korycie kipiał żywszy prąd. Tu i ówdzie wokół głazów podwodnych tworzyły się drobne wiry. Kent nie opuszczał już prawie rudla. Prostując dziób barki zdwajał jej pęd. Murette pomagała mu pchając ciężki drąg co sił w ramionach. Śmiała się. Wiatr i słońce pieściły jej włosy. Wargi miała rozchylone, policzki rumiane, oczy błyszczące. Patrząc na tyle piękna Kent skłonny był wierzyć nieraz, iż jest to sen, nic więcej.

Murette wyznała mu, iż raz, dawno bardzo, przebyła już wodospad. Bała się wtenczas. Zachowała w pamięci obraz niby kamiennego potwora, z rykiem czyhającego na zdobycz. Ponieważ zbliżała się chwila przeprawy, Kent począł opisywać szczegółowo, co ich czeka. Nie ma powodu bać się. Z rzadka tylko zdarzała się tu awaria. Nieco powyżej głównej katarakty sterczy ostra skała, stanowiąca jakby klin dzielący nurt na dwoje. Jeśli łódź weźmie lewe koryto, jest bezpieczna. Jadących opryska piana i ogłuszy łoskot, ale ów łoskot przypomina zupełnie jałowe ujadanie łańcuchowego psa.

— Wtenczas tylko, jeśli łódź uderzy o skałę, zwaną Zębem Smoczym, lub trafi w prawe koryto, istnieje wyraźne niebezpieczeństwo — tłumaczył Kent. A Murette, śmiejąc się rozkosznie, spytała za przekorą:

— Zatem grożą nam trzy rzeczy: policja, Ząb Smoczy i prawe koryto wodospadu?

— Wszystko to jest zupełnie wykluczone — upewniał Kent śpiesznie. — Mamy mocną łódź, o

skąłę nie zawadzimy z pewnością i prześlizniemy się lewym korytem tak gładziutko, że nawet tego nie zauważysz. Jechałem tędy ze sto razy co najmniej — kończył odważnie.

Wytężył słuch. Potem drgnął i wyciągnął zegarek. Była za piętnaście czwarta. Murette usłyszała już także. W powietrzu dudnił niski, miarowy łoskot, z każdą chwilą wyraźniejszy i bliższy. Gdy spojrzała na Kenta pytająco, skinął głową.

— Wodospad! — krzyknął głosem dygocącym ze szczęścia. — Wodospad! Wygraliśmy, Murette. Jesteśmy bezpieczni!

Barka opisała półkole wokół rzeczno cypla i oto ujrzeli na przedzie biały obłok pian. Prąd niośł ich teraz z szybkością zawrotną. Kent całym ciałem napierał na drąg sterniczny, chcąc utrzymać łódź pośrodku łożyska.

— Jesteśmy bezpieczni! — krzyczał. — Czy rozumiesz, Murette, wygraliśmy!

Upajał się własnymi słowami. Murette promieniała. Lecz nagle dostrzegł w jej twarzy wyraźną zmianę. Szeroko rozwarte, zdumione oczy patrzyły nie na niego, ale szukały czegoś poza nim. Spoglądała wstecz, na drogę dopiero co przebytą, i twarz jej zbladła śmiertelnie.

— Słuchaj!

Sztywno wyciągnęła szyję. Kent obrócił się. Poprzez rosnący zgiełk wodospadu dolatywał słaby, lecz wyraźny stuk motoru łodzi policyjnej.

Kent odetchnął głęboko z pewnym trudem. Twarz stwardniała mu jak gładz. Patrzył prosto przed siebie.

— Nie zdążymy przebyć wodospadu — rzekł, a głos jego brzmiał w uszach Murette obco i chrypliwie. — Nim wylądujemy po drugiej stronie, już nam na karki wsiądą. Musimy wylądować zaraz!

Jednocześnie wprowadzał słowa w czyn. Wiedział, że nie ma do stracenia nawet ułamka sekundy. Ssące działanie wodospadu chwyciło już barkę, więc potężnym pchnięciem rudla Kent usiłował skierować łódź ku zachodniemu brzegowi. Murette od razu pojęła wagę każdego mgnienia. Jeśli prąd ich nie puści, zmuszeni będą wodospad przebyć, a w takim razie motorówka niewątpliwie zbiegów doścignie. Skoczyła zatem do boku Kenta i pchała wspólnie z nim co sił. Stopa za stopą, jard za jadem barka zbaczała z obranego poprzednio kierunku. Triumfującym ruchem głowy Kent wskazał lesisty cypel sterczący na przedzie, niby wrażony w rzekę, tępy paluch. Dalej wokół wodospadu kipiała skłębiona biel pian i czerniał gładz znaczący zrab katarakty.

— Dobrze idzie! — podkreślił Kent z przekonaniem. — Rzuci nas na sam cypel. Motorówka nie potrafi wylądować wcześniej niż o milę poniżej wodospadu. Gdy zaś będziemy na brzegu, ucieczka pójdzie nam co najmniej pięć razy prędzej niż im pościg.

Murette skinęła głową energicznie. Policzki jej z białych stały się znów różowe. Między pasowymi wargami błysnęły białe zęby. Oczy świeciły wesoło. Kent roześmiał się.

— Och, ty śliczna, dzielna osóbkko! — zawołał gorąco. — Ty... ty...

Przerwał mu trzask głośny i dźwięczny jak strzał rewolwerowy. Zatoczył się ku przodowi i upadł na dno barki, kurczowo trzymając w ramionach Murette. Oboje błyskawicznie porwali się na nogi, tępo spoglądając na drąg sterniczny. Rudel przestał istnieć — złamany!

Pęknięte u nasady pióro poszło z wodą. O uszy Kenta odbił się krzyk Murette. Barka, nie kierowana, gwałtownie skręciła w lewo. Przemknęła obok lesistego cypla. Pochwycił ją wrzący nurt wodospadu. A Kent, spoglądając na sterczący na przedzie czarny zrab skalny, silniej przytulił Murette do piersi.

ROZDZIAŁ XXI

WODOSPAD ŚMIERCI

Kent stał jakiś czas bez ruchu. Wokół szyi czuł coraz mocniejszą obręcz uścisku Marelle. Widział twarz jej uniesioną ku górze, bladą bardzo i zmienioną, widział więc, że dziewczyna rozumie doskonale całą beznadziejność ich sytuacji. Był rad, że nie potrzebuje o tym mówić, rad również, iż pomimo przeżywanego trwogi Marelle nie poddaje się panice. Schylając głowę musnął twarzą jedwabisty jej policzek. Podała mu usta, które ucałował gorąco. Pocałunkiem tym chciał wyrazić całą swą wielką miłość i zdecydowaną wolę bronienia jej od złego.

Umysł Kenta pracował w tempie przyśpieszonym. Istniała jedna szansa na dziesięć, że pozbawiona steru barka przeleci bezpiecznie wśród czarnych ścian i ostrych kłów katarakty. Lecz nawet jeśli przeprawa się uda, policja dopadnie zbiegów. Chyba że kaprys losu cudem pchnie barkę wcześniej na ląd.

Z drugiej strony mogą dopaść brzegu wplaw. Mogą się wreszcie bronić. Nie darmo mają fuzję i zapas naboju. Masywne burty łodzi stanowią lepszą osłonę przed kulami niż cienkie ściany motorówki.

W sercu Kenta buchnął naraz płomień nienawiści do tego prawa, którego do niedawna sam stanowił część składową. Prawo chce ich zniszczyć, stawia mu zatem czoło i zobaczymy, która strona wygra. W motorówce jest najwyżej trzech ludzi. Jeśli zajdzie potrzeba, zabije wszystkich trzech.

Mknęli obecnie wśród porohów niby rozhukany koń. Niezgrabna barka zwijała się, skręcała jak piskorz. Boki, do połowy wynurzone z wody, przelatowały ciemne głązy, każdy w wieńcu białych pian. Marelle, opasując wciąż ramieniem szyję Kenta, spoglądała z nim razem w dal. Widzieli wyraźnie Ząb Smoczy, czarny i ponury; stojący na samej drodze. Jeszcze pół minuty, jeszcze dziesięć sekund — i wpadną nań lub go wyminą.

Brakło czasu na udzielanie wyjaśnień. Kent przyskoczył do swego plecaka, dobył noża i przeciął mocny rzemień ze skóry, karibu, po dwakroć opasujący toból. Wracając do boku Marelle, opasał jej kibić rzemieniem, sobie zaś zadzierzgnął pętlę na rękę. Marelle pomagała zaciągnąć węzeł, a skończywszy uśmiechnęła się do Kenta. Był to dziwny, blady uśmiech, świadczący wszakże, iż nie straciła głowy i ma do niego zaufanie.

— Umiem pływać, Jeems — rzekła. — Jeśli wpadniemy na skałę...

Nie skończyła, gdy Kent krzyknął nagle. Zapomniał całkowicie o rzeczy najważniejszej. Dla rozsznurowania trzewików brakło już czasu. Nożem rozciął sznurowadła swoje i Marelle, po czym sobie i jej ściągnął obuwie. Mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa uradował się widząc, jak szybko dziewczyna pojmuje, o co chodzi, i wprowadza zamysły w czyn. Jednym szarpnięciem Marelle zdarła grubą kurtkę i wyswobodziła się z ciężkiej spódnicy. Teraz podobna do drobnej, białej figurki, z włosiem rozwichrzonym na wietrze, przystąpiła bliżej do Kenta, szeptem wymawiając jego imię. Podniósłszy głowę prosiła rozkazująco niemal:

— Pocałuj mnie, Jeems! Pocałuj...

W dziesięć sekund później nastąpiło zderzenie. Barka wleciała wprost na Ząb Smoczy, nie otarła się o niego bokiem, lecz gruchnęła o skałę całym kadłubem. Kent spodziewał się wstrząsu, jednakże próżno usiłował utrzymać w równowadze siebie i dziewczynę. Jedyne wysoka burta ochroniła ich od zderzenia się z głazem. Poprzez ogłuszający ryk wód Kent słyszał trzask pękającego drzewa. Fale podbijały łódź coraz wyżej, tak iż przez chwilę mogło się wydawać, że wywróci ją dnem do góry.

Prąd robił jednak swoje i z wolna barka jęła okrążyć skałę.

Opasując Murette jednym ramieniem, drugim kurczowo trzymając się burty, Kent przeżywał chwilę niewysłowionej grozy. Widział i czuł. Barka zjeżdżała w prawe koryto. Tu nie było żadnej nadziei. Tu czekała pewna śmierć.

Murette spoglądała również ku przodowi. Jasne było, iż doskonale rozumie sytuację. Nie płakała jednak ani krzyczała ze strachu. Była tylko bardzo blada. Włosy i ramiona ociekały bryzgami wody. Usta drżały nerwowo.

Kent gotów był krzyczeć, tak nim targały gniew i ból. Nie mógł przecież przegrać. To niemożliwe! Jak to, zginąć i nie obronić jej, tej małej dzielnej dziewczynki, uśmiechniętej nawet w obliczu śmierci!

Burta trzeszczała coraz gwałtowniej pod naporem Smoczego Zęba. Potem łódź, na pół wypełniona wodą, oderwała się od skały. Porwał ją cwałujący wschodnim korytem prąd. Zmiażdżony kadłub nie mógł się już utrzymać na powierzchni. W jednej chwili rozluźniły się wiązania, rozpadły belki i deski, po czym Kent znalazł się w grzmiącym odmęcie wód, rozpaczliwie trzymając wpół Murette.

Na razie poszli na dno. Czarna toń i biała piana zamknęły się nad nimi. Minęły chyba wieki, zanim świeże powietrze wypełniło znów płuca Kenta. Wypychając Murette na powierzchnię, krzyknął do niej coś bez związku. Usłyszał jej odpowiedź :

— Nic mi nie jest, Jeems!

Zdolności pływackie mało mu się mogły przydać w tej sytuacji. Rzucano nim niby kłodą drzewa. O jedno dbał zatem: by uczynić z siebie przegrodę między skałami a Murette. Nie tyle bał się wody, co skał.

Było ich dziesiątki, setki; zdawać się mogło, że to tryby niebezpiecznej maszyny. Cały zaś spad miał ćwierć mili długości. Kent uczył pierwsze uderzenie, drugie, trzecie. Przestał myśleć o czasie i przestrzeni dążąc do jednego: trwać między Murette a śmiercią. Gdy nie powiodło mu się po raz pierwszy, ogarnęła go po prostu wściekłość.

Zobaczył drobne ciało wleczone po śliskiej, wygładzonej wodą skałę. Z odrzuconej w tył głowy między białą pianą spływał długi, czarny warkocz. Nie poddając się rozpaczowi walczył nadal z pasją. Nie czuł prawie bólu, tylko słabły mu ramiona i nogi, a w głowie przewalały się huk i zamęt.

Byli w połowie wodospadu, gdy prąd cisnął nim o skałę z siłą przerażającą. Wstrząs wydarł mu Murette. Dał nurka w ślad za nią, nie znalazł jej i wyrzucony wirem na powierzchnię, dostrzegł ją raptem naprzeciw siebie. Uczepiła się tej samej co on skały. Rzemień ją ocalił. Opasany wokół jej kibici, obwiązany wokół jego pięści, łączył ich nadal poprzez półtora metra głązu.

Zdyszani, półprzytomni, przyglądali się sobie wzajem. Teraz, wynurzony z wody, Kent cały spłynął krwią; krwawiły jego ramiona i ręce, uśmiechnął się jednakże do dziewczyny dodając jej otuchy. Oczy Murette były pełne cierpienia na widok jego ran. Kent wskazał głową w górę nurtu.

— Jużemy przebyli najgorsze! — usiłował krzyknąć. — Odpocznę chwilę i przepelnzę skałę ku tobie. Jeszcze parę minut i wydostaniemy się na spokojne wody!

Usłyszała go i skinęła brodą na znak, że rozumie. Kent chciał ją tylko uspokoić, gdyż wcale wypoczywać nie zamierzał, a pozycja Murette napełniała go przerażeniem, które z trudem usiłował ukryć. Prąd włókł dziewczynę w dół, trzymały ją zaś tylko ciężar jego ciała oraz rzemień grubości połowy małego palca. Jeśli rzemień pęknie...

Modląc się w duchu zaczął się powoli windować na skałę. Wiatr zwiewał ku przodowi długie włosy Murette, tak że miał je znacznie bliżej niż uczepione głązu ręce. Sięgał po te włosy rozumiejąc, iż pochwyty je najwcześniej. Jednocześnie musiał trzymać rzemień naprężony. Zadanie było niemal

nad ludzkie siły. Śliska skała sprawiała wrażenie natartej oliwą. Kent po dwakroć spoglądał w dal rozważając, czy nie prościej będzie skoczyć głową w dół do wody i wlec za pomocą rzemienia Murette za sobą. Lecz to, co widział na przedzie, upewniło go, iż podobny postępek niewątpliwie zakończy się tragicznie. Musi objąć Murette ramieniem. Jeśli ją choć na chwilę puści samopas, ostre zęby skał rozszarpią wątłe ciało dziewczyny.

Wtem rzemień wokół jego pięści rozluźnił się niespodziewanie. Stało się to tak raptownie, że Kent omal w tył nie runął. Jednocześnie Murette krzyknęła przeraźliwie, ręce jej ześliznęły się ze skały i oto już zginęła mu z oczu w spienionym, kipiącym nurcie. Ostra krawędź przepiłowała skórę; rzemień pękł.

Z wrzaskiem obłąkańca Kent dał nurka w ślad za Murette. Woda go pochłonęła. Skręcił się i odbił od niższych warstw, wydzierając się znów na powierzchnię. O dziesięć, dwadzieścia metrów na przedzie dostrzegł białe ramię i czarne, rozwiane włosy, lecz już wszystko zatoneło w odmęcie.

Goniąc za nią skoczył również w odmęt. Wyleciał zeń wymachując rękami na oślep, rozpaczliwie wołając jej imię. Palcami pochwycił koniec rzemienia, zwisający u własnej jego dłoni, i ścisnął go mocno, wierząc przez mgnienie, że odnalazł ją. Skały piętrzyły mu się na drodze, coraz wyższe i gęściej rozsiane. Sprawiały wrażenie żywych, okrutnych istot, czyhających na łakomą zdobycz. Zderzały się z nim, biły go. Parskały grzmiącym śmiechem. Kent nie mógł już głosu dobyć. Mózg mu mętniał; otępienie ogarniało członki. A sękate maczugi godziły weń zewsząd, znęcały się nad nim ustawicznie. Biała piana szarzała mu w oczach stając się zrazu sina, potem czarna zupełnie.

Nie umiałby powiedzieć, kiedy przestał walczyć. Dzień zgasł. Zapadła noc. Cisza utuliła mu głowę. Zapomniał wreszcie o wszystkim, jakby życie z niego uciekło.

ROZDZIAŁ XXII

ROZPACZ

W godzinę później drzemiąca w ciele energia przywróciła Kentowi przytomność. Otworzył oczy. Nie od razu zrozumiał, co zaszło. Doznał na razie wrażenia, że budzi się z ciężkiego snu, pełnego nieznośnych koszmarów.

Wtem zobaczył naprzeciwko czarną ścianę skalną; oczy jego przyciągnął jaskrawy blask zachodzącego słońca. Z trudem unosząc się z ziemi ukląkł i natychmiast wydało mu się, że obejmują go żelazne cęgi, mącąc zmysły, dręcząc mózg, wydzierając z gardła wrzask ochryple. Stając na nogi krzyknął imię Murette. Lecz po tym pierwszym krzyku język mu zeszywniał, więc jęczał już tylko, targany rozpaczą niewysłowioną. Murette odeszła! Zginęła! Umarła!

W miarę jak wracała mu jasność rozumowania, wyraźniej widział otoczenie. O ćwierć mili, wśród czarnych ścian parowu miał kłębisko białych pian, szarzejących obecnie z nadejściem nocy. Rzeka ryczała coraz głośniej. Ale tuż pod nogami płynęła cicha woda. Sam stał na kamiennym cyplu, na który go prąd wyrzucił. Naprzeciw piętrzył się mur skalny. Za plecami drugi. Nigdzie, z wyjątkiem tego skrawka pod nogami, nie mógł się człowiek utrzymać. Ale Murette tu nie było.

Prawda biła w oczy. Jednakże wzbraniał się w nią uwierzyć. Skoro on żyje, ona musi żyć także. Jest gdzieś w pobliżu, na brzegu, między skałami.

Przestał jęczeć i począł znów wykrzykiwać jej imię. Wołał, a potem słuchał w najwyższym napięciu. Zataczając się pobrnął krawędzią topieli, wśród wielkich, chaotycznie rozrzuconych gałęzi. O sto jardów dalej parów się kończył. Wyszedł zeń, w poszarpanej odzieży, skrwawiony nie do poznania, na pół przytomny, wołając coraz głośniej. Musnęło go zachodzące słońce. Zielona knieja szumiała łagodnie. Przed nim rzeka, wyzwolona ze skalnych okowów, rozlana szerzej, płynęła cicho i leniwie.

A Kent wiedział już; wierzył, gdyż uwierzyć musiał w tę rzecz najokropniejszą. Załamał się pod nią i niepomny męskich lat, zapłakał jak dziecko. Szlochając krążył po brzegu i szukał. Przestał wołać. Jakże mu odpowie, skoro umarła. Odeszła na zawsze. Ale szukał nadal. Słońce zgasło. Spłynął zmierzch, a potem ciemność. W ciemności zupełnej krążył i nawracał szukając.

Na niebie zajaśniał księżyc, lecz Kent nie dawał jeszcze za wygraną. Godziny mijały. Nie czuł bólu. ran i stłuczeń, nie czuł znużenia mięśni, aż wreszcie wyczerpanie ostateczne nagle powaliło go na ziemię. Przeleżał tak do rana niby trup. Świt zastał go już oddalającego się od rzeki, koło południa zaś siwowłosa Metys Andrzej Boileau, polujący nad Burntwood Grec, znalazł w lesie Kenta na pół umarłego. Przerażony wyglądem nieszczęśnika doprowadził go z trudem do chaty.

Kent pozostał cały tydzień w domu starego, dlatego przede wszystkim, iż nie miał ani dość siły, ani dość woli, żeby odejść.

Andrzej opatrzył nieboraka i ze zdziwieniem stwierdził, iż ma wszystkie kości całe. Ale głowa była potłuczona okropnie, toteż trzy dni i trzy noce Kent lawirował między życiem a śmiercią. Czwartej doby odzyskał przytomność, a Metys uradowany tym, nakarmił pacjenta zupą na wędzonej dziczyźnie. Piątego dnia Kent wstał. Szóstego podziękował staremu twierdząc, iż chce odejść.

Andrzej przyodział go w zapasową odzież, zaopatrzył w jedzenie i życzył szczęśliwej drogi. Prosto od chaty Kent ruszył w kierunku wodospadu i porohów, dając uprzednio staremu do zrozumienia, iż wraca do Athabaska Landing.

Wiedział jednak, że raczej powinien rzeki unikać. Rozumiał, że zarówno ze względu na stan

fizyczny, jak i duchowy, należałoby dążyć w kierunku przeciwnym. Ale zgasła w nim chęć walki nawet o własną egzystencję. Kroczył po linii najmniejszego oporu, ta zaś wiodła go na scenę tragedii.

Rozpacзлиwa męka pierwszych godzin przeobraziła się w cichą gorycz. Było to głęboko ukryte zarzewie, spalające duszę i serce. Przestał istnieć nawet instynkt samozachowawczy. Nie bał się niczego, niczego nie unikał. Gdyby policyjna motorówka stała koło wodospadu, oddałby się bez namysłu w ręce władz. Cień nadziei chociaż uleczyłby go niewątpliwie. Lecz nadziei właśnie brakło. Murette nie żyła. Był sam, zupełnie sam.

Rzeka trzymała go niby na uwięzi. Od wodospadu do zakrętu o dwie mile poniżej wydeptał szlak wyraźny. Trzy lub cztery razy dziennie odbywał tę drogę, wzdłuż której założył parę sideł króliczych. Nocował w szczelinie skalnej. Po upływie tygodnia dawny Jim Kent przestał istnieć. Nawet O'Connor byłby go nie poznał z tą kudłatą brodą, wpadniętymi oczyma i wklęsłymi policzkami.

Duch walki skonał również. Chwilami budziła się w nim, co prawda, chęć pomszczenia swoich krzywd na przeklętym prawie, które było przecież wszystkiemu winne, lecz i to uczucie nie trwało długo.

Ósmego dnia Kent spostrzegł w wodzie jakiś przedmiot. Wyłowił go nie bez trudu. Był to pakunek Murette. Nie decydując się go otworzyć Kent tulił do piersi obłożony skarb, półprzytomnie patrząc w wodę, jak gdyby przekonany, że i Murette zaraz tam dojrzy. Pobiegł potem na otwartą przestrzeń, znalazł płaski głaz dobrze wygrzany słońcem i ciężko dysząc rozwinął paczkę. Zawierała liczne drobiazgi zabrane naprędce w noc ucieczki z domu Kedsty'ego. Rozkładając je do suszenia Kent szeptał:

— Murette, moja mała boginko.

Podczas gdy parowały na słońcu, przyglądał się im z rozrzewnieniem. Najbardziej rozczulały go miniaturowe pantofelki, najmiłsza para z szeregu obuwia podziwianego niegdyś w jej izdebce. Obok leżała delikatna sukienka, jeden z tych pajęczych cudów, lekkich jak obłoczek, poplamiona obecnie i bezbarwna. Strużki wody ściekały z niej po skale w trawę.

Noc tę Kent przespał po raz ostatni w kotlinie obok wodospadu, a śpiąc tulił swoje skarby do zbolętej piersi.

Nazajutrz ruszył na północo-wschód. W pięć dni później w zamian za złoty zegarek wytargował od napotkanego Metysa tanią strzelbę, nieco amunicji, derkę, trochę mąki, garnek i patelnię. Teraz już bez wahania zagłębił się w puszcze.

Po upływie miesiąca nikt nie poznałby Kenta w tym zaniedbanym włóczędździe. Zarośnięty, o włosach skudłaczonych, obdarty, brnął przed się po to jedynie, by jak najbardziej oddalić się od rzeki. Z rzadka zamieniał parę słów z napotkanym Indianinem lub Metysem. Co wieczór, chociaż noce były ciepłe, rozpalał małe ognisko, gdyż w takiej chwili właśnie czuł Murette najbliżej siebie. Jedną po drugiej wyjmował wtenczas drogocenne pamiątki. Wielbił je po prostu. Suknię i każdy pantofelek z osobna owinał w jedwabistą błonkę odartą spod brzozonej kory. Chronił skarby swe przed słońcem i deszczem. Walczyłby o nie z pewnością, gdyby zaszła potrzeba. Z czasem stały się dlań cenniejsze niżli życie własne, aż począł wprost dziękować Bogu, że mu choć tej pamiątki nie zabrał.

Nie starał się bynajmniej Murette zapomnieć. Przeciwnie, chciał pamiętać każdy jej czyn, każde słowo, każdą pieszczotę najśłodsza. Wspomnienia te dodawały mu sił. To one powoli prostowały mu plecy i wypogadzały zgębnioną twarz. Nabierał teraz energii i inicjatywy. Wczesna jesień zastała go w okolicy Fond du Lac, o dwieście mil na wschód od fortu Chipewyan. Zimą stowarzyszył się z pewnym Francuzem i aż do lutego wspólnie zastawiali sidła wzdłuż granicy pustynnego barren.

Wspólnika swego, Picarda, polubił bardzo, niewyznał mu jednak nic o sobie. Nie zwierzył mu się także z nowymi zamiarami, choć te dręczyły go dniem i nocą. Śnił o nich śpiąc i nieustannie dumał na jawie. Chciał iść do domu. Lecz domem nie było mu ani Athabaska Landing, ani też kraj na południu. Na miano domu zasługiwało obecnie jedno tylko miejsce na ziemi — miejsce dawnego pobytu Murette. Kędyś, na północo-zachodzie, wśród gór ukryta, leżała tajemnicza Dolina Ludzi Milczących. Mieli się tam udać razem. Obecnie duch dziewczyny pcha go wyraźnie w tę stronę.

W końcu lutego zatem, unosząc z sobą część zdobyczy zimowej, Kent zarzucił plecak na ramiona i zwrócił znów kroki ku rzece.

ROZDZIAŁ XXIII

PRZEZ KRAINĘ SIARKI

Kent nie zapomniał bynajmniej, iż jest wyjęty spod prawa, mimo to nie bał się wcale. Mając o co walczyć nabrał ponownie właściwej sobie przebiegłości. Do Chipewyan zbliżał się ostrożnie, chociaż był zupełnie pewien, że obecnie nawet starzy druhowie nie poznaliby go przy spotkaniu. Broda urosła mu na kilka cali, rzadko przystrzygany włos skudłaczał. Zimą jeszcze Picard uszył przyjacielowi płaszcz ze skóry młodego karibu, zdobiąc go frędzlą jak u szat indiańskich.

Kent rozmyślnie wszedł do Chipewyan nocą. W budynku Towarzystwa Zatoki Hudsona, gdzie najpierw wstąpił, paliły się mgliście lampy olejne. Było tu pusto zupełnie; jedynie subiekt ziewał za ladą. Kent wybierał i targował dobrą godzinę. Kupił nową odzież, wspaniały karabin Winchestera oraz tyle żywności, ile tylko mógł unieść. Nie zapomniał o brzytwie i nożyczkach, mimo to jednak po opłaceniu wszystkiego schował jeszcze do portmonetki kwotę równą wartości dwu skór srebrnych lisów. Też same nocy opuścił Chipewyan i przy świetle księżyca rozbił obóz o parę mil dalej na północ, w stronę Smith Landing.

O świcie ruszył dalej, po czym tygodniami całymi wolno, lecz uparcie sunął na raketach śnieżnych łożyskiem Rzeki Niewolniczej. Na północ, wciąż na północ! Wyminął fort Smith i Smith Landing, skręcił na zachód i dotarł do fortu Resolution. W kwietniu trafił do Hay River, gdzie rzeka Hay wlewa wody do Jeziora Wielkiego Niewolniczego. Ledwo lody puściły, kupił czółno i popłynął z prądem Mackenzie, w końcu czerwca zaś skręcił ku południowemu Nahanni.

„Przejdiesz przełęcz górską między południowym i północnym Nahanni — powiedziała mu niegdyś Murette. — Tam znajdziesz Krainę Siarki, za Krainą Siarki zaś leży Dolina Ludzi Milczących”.

Trafił wreszcie do tego kraju. Rozbijając obóz czuł w nozdrzach woń siarki. Kiedy księżyc wzeszedł, zobaczył świat cały poprzez żółty opar. O świcie ruszył dalej.

Mijał rozległe, nisko położone mokradła, zionące mgłą siarczaną. Im dalej, tym błota leżały gęściej, tym wyraźniej kraj cały nabierał charakteru biblijnego piekła. Tu i ówdzie rosły krzewy i krzaki, pozbawione wszakże jagód. W lasach i na łąkach brakło jakiejkolwiek żywej istoty.

Był to kraj wód pozbawionych ryb, roślin bez kwiatów, powietrza bez jednego ptaszka, kraj zadymiony, smrodliwy i milczący. Wędrowiec zżółkł, żółty nalot powlókł jego odzież i czółno, twarz i ręce. Nie mógł się pozbyć z ust przebrzydłego smaku. Utrzymywał jednak uparcie kurs na zachód. Zżółkł mu nawet kompas w kieszeni. Nie mógł nic przełknąć. Zaledwie dwa razy na dzień popijał nieco wody z manierki.

A Murette odbyła tę podróż. Ustawicznie myślał o tym ów szlak ponury, dziedzina diabła, której unikał zarówno biały, jak Indianin, wiódł przecież potajemnie do ich wspólnego domu. Trudno było uwierzyć, że kobieta wytrzymała piekielne niewygody podróży, że wdychała to zatrute powietrze, jego samego przyprawiające o mdłości.

Byle dalej, byle prędzej się stąd wydostać! Kent pracowicie robił wiosłem. Oczadziały, na pół przytomny, nie czuł już ani zmęczenia, ani gorąca bijącego od rozgrzanej wody.

Zapadła noc; wzeszedł księżyc, chorowitym światłem zalewając niesamowity krajobraz. Kent leżał na dnie czółna, przykryty skórzanym płaszczem, i usiłował zasnąć. Sen jednak nie przychodził. Przed świtem ruszył dalej, przy świetle zapalki radząc się kompasu. W ciągu całego dnia nie wziął nic do ust, ale kiedy znów noc zapadła, stwierdził, że oddycha się już łatwiej. Rezygnując z nocnego

wypoczynku wędrował przy coraz żywszym blasku księżyca i wreszcie, w ciszy zupełnej, usłyszał dalekie wycie wilka.

Aż krzyknął z radości. Zachodni wiatr przyniósł mu świeży powiew, więc łyknął to czyste powietrze, jak w pustyni spragniony wędrowiec łyka haust wody. Nie pilnował się już kompasu, wiosłował tylko uparcie w kierunku tego wiatru. W godzinę później zauważył, iż płynie przeciw leniwemu prądowi, gdy zaś skosztował wody, stwierdził, że ma tylko lekki posmak siarki.

Okolo północy woda stała się chłodna i czysta zupełnie. Wsiadł wtenczas na łódź, rozebrał się do naga i wyszorował ciało piaskiem, aż go skóra piekła. Podróżował w starej odzieży, lecz po kąpieli włożył nową, przechowywaną dotychczas w szczelnym worku. Potem rozpałił ogień i posilił się po raz pierwszy od dwóch dni.

Nazajutrz wspiął się na wysokie drzewo i rozejrzał po okolicy. Ku zachodowi leżała rozległa równina, w odległości piętnastu lub dwudziestu kilometrów dopiero zamknięta łańcuchem pagórków. Za pagórkami białeły ośnieżone wierzchy górskiego masywu.

Kent ostrzygł się, ogolił i podążył dalej. Na nocleg zatrzymał się dopiero wtedy, gdy strudzone ramiona nie mogły już wiosła utrzymać. Szeroko rozlana rzeka zmieniła się tymczasem w wąską strugę, ściśniętą między zielonymi wzgórzami. Nazajutrz ukrył czółno, wziął plecak na ramiona i ruszył pieszo.

Szedł cały tydzień, uparcie kierując się na zachód. Trafił do prześlicznego kraju, nie dostrzegał jednakże nigdzie śladu obecności ludzkiej. Pagórki przeobraziły się w góry; musiał to być zapewne Campbell Range. Był pewien, iż porzuciwszy Krainę Siarki dąży szlakiem właściwym. Mimo to jednak ósmego dnia dopiero zauważył dowody wskazujące nieodparcie, iż kto inny przeszedł już tą drogą. Znalazł mianowicie zetlałe resztki obozowego ogniska. Koczowali tu nie Indianie, lecz biali. Świadczył o tym rozmiar popieliska. Przy tym ogień płonął całą noc, a podsycano go zielonym drzewem rąbanym siekierą.

Dziesiątego dnia podróży Kent dotarł do zachodniego zbocza pierwszego łańcucha gór i spojrzął w dół na jedną z najpiękniejszych dolin, jakie kiedykolwiek w życiu oglądał. Była to zresztą raczej rozległa łąka. O pięćdziesiąt mil dopiero wznosił się nowy masyw górski.

Lecz pomimo piękna widoku Kent posmutniał. Po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że w kraju tak olbrzymim daremnie będzie szukał jednego małego zakątka. Jedyłą nadzieję pokładał obecnie w znalezieniu ludzi, białych lub Indian, którzy by mu pomogli udzielić wskazówek.

Posuwał się wolno poprzez pięćdziesięciomilową przestrzeń łąki, porośłą bujną trawą, barwnym kwieciem i pełną przeróżnej zwierzyny. Upewnił się w przekonaniu, iż myśliwi zaglądali tu nader rzadko. Mało który zstąpił z gór Yukonu, a nikt zapewne nie przebył Krainy Siarki. Ziemia była na wpół dziewicza. Na podręcznej mapie Kenta oznaczono ją jako białą, pustą przestrzeń. Ludzi ani śladu. Na przedzie piętrzyły się góry Yukonu tworząc niedostępny mur, zjeżone wieżycami ośnieżonych wierzchów, skute pierścieniem lodowców, sterczące nieraz ponad chmury. Kent wiedział, że za tym grzebieniem skalnym z zachodniego zbocza spływają wielkie rzeki, dalej zaś leży złotodajne Dawson i — cywilizacja. Lecz wszystko to było po tamtej stronie. Tu, w ciszy zupełnej, królowała ziemia niczyja.

Miejsce poprzedniego przygnębienia zajęła dziwna otucha; Kent nie używał już nawet kompasu, kierując się podług grupy trzech potężnych szczytów. Jeden szczyt był większy, dwa — nieco mniejsze. Idąc Kent nie spuszczał z niego oczu. Jakby go urzekł ten wierch, sprawiający wrażenie milczącego strażnika. Strażnik — tak go już w duchu nazywał — rysował się z każdą godziną wyraźniej. Gdy nocą rozbił obóz, księżyc, zachodząc, skrył się poza tę górę.

Nazajutrz góra spotężniała jeszcze. Okolo południa zmieniła wygląd upodabniając się do

wspaniałego zamczyska. Lecz z nadejściem wieczoru Kent rozeznał w niej znów odmienny kształt. Strażnik przeobraził się w ogromną głowę ludzką, twarzą zwróconą ku południowi. Kent był tak podniecony, że nie mógł uleżeć w miejscu, toteż wędrował długo jeszcze po zachodzie słońca, a na nogi zerwał się przed świtem. Niebo na zachodzie jaśniało. Naraz Kent krzyknął i stanął jak wryty.

Głowa strażnika rysowała się wyraźnie, niby wykuta dłonią rzeźbiarza olbrzyma. Dwa mniejsze szczyty odsłoniły również przyłbice. I one przypominały do złudzenia głowy ludzkie. Jedna spoglądała na północ, druga w dolinę. Z bijącym sercem Kent szepnął: — Ludzie Milczący!

Zrozumienie prawdy spadło nań niby objawienie. — Ludzie Milczący! — powtarzał te słowa nie spuszczać oczu z trzech olbrzymich głów. Gdzieś w pobliżu, z jednej lub z drugiej strony, leżała ukryta dolina Murette.

Czuł wypełniającą go radość. Skłonny był wierzyć, że Murette żyje i że go sama u wejścia do doliny spotka. Lecz przypomniał mu się jednocześnie Wodospad Śmierci i zrozumiał, że trzy olbrzymie głowy czekają i czekać będą wiecznie powrotu tej, która nie wróci. W blasku zachodzącego słońca kamienne oblicze zwrócone ku dolinie zdawało się pytać niespokojnie.

„Gdzie ona jest? — mówiło. — Gdzie ona jest? Gdzie ona jest?”

Tej nocy Kent nawet się nie zdrzemnął.

Nazajutrz trafił w okolicę górzystą, przedmurze gór właściwych. Uparcie piał się po trudnym stoku i koło południa dotarł do szczytu wyniosłości. Spojrzawszy w dół zrozumiał od razu, że widzi nareszcie Dolinę Ludzi Milczących. Była niewielka, zamknięta wśród grzebieni górskich. Jedynie ku południowi wybiegał szeroki wąwóz, gdzie w jaskrawym słońcu lśniły potoki i jeziora ocienione ciemnym igliwem świerków rosnących pośród okwieconej łąki.

Wypocząwszy ruszył w tym właśnie kierunku. Oginając spory zakręt zobaczył dalszy ciąg krajobrazu.

Dolina kończyła się tutaj, tworząc coś na kształt kotliny z trzech stron opasanej górami, szerokości dwu mil mniej więcej. Kent objął na razie wzrokiem tylko teren najbliższy położony, jednocześnie doleciał go znajomy dźwięk — ujadanie psa.

Ciepła, złotawa poświata, zjawiająca się w górach przed zachodem słońca, wisiała w powietrzu niby woal, lecz mimo to Kent zobaczył w głębi kotliny grupę zabudowań. Między zboczem górskim a srebrną taflą jeziora stał dom i parę szop wyglądających z daleka jak zabawki. Ludzi nie było widać wcale. Kent pośpieszył ku osadzie. Miał niezachwianą pewność, iż znalazł Dolinę Ludzi Milczących, a dom, który widzi przed sobą, jest dawnym domem Murette. Szedł tak szybko, aż się zadyszał i chcąc nie chcąc, musiał zwolnić. Tymczasem słońce zgasło i zmrok począł gęstnieć, lecz Kent wytrwale brnął poprzez płataninę traw, przesadzał ukryte szczeliny lub ześlizgiwał się ze stromych zboczy.

W pewnej chwili omal nie krzyknął radośnie. Od razu sił mu przybyło, aż miał ochotę biec. Ale wtem stanął jak wryty, czując, że serce podchodzi mu do gardła i dławi tamując oddech.

W mroku męski głos nawoływał donośnie:

— Murette! Murette!

Kent usiłował krzyknąć, lecz nie mógł głosu wydobyć. Dygotał. Wyciągnął przed siebie ręce, niby próbując objąć zjawhwa. W ciemności głos zawołał znowu:

— Murette! Murette! Murette!

Ściana górską odbiła wołanie. Echo powtórzyło je wielokrotnie. Powietrze drżało imieniem najdroższym i nagle pieczęć milczenia na ustach Kenta pękła. Krzyknął:

— Murette!

Biegł, choć kolana uginały się pod nim. Krzyczał, mimo że tamten głos już umilkł. Między nim a

światłami domu poruszały się cienie jakieś, niezdecydowane na razie, potem idące mu naprzeciw.

— Murette!

Jeden cień stanął, drugi natomiast błyskawicznie skoczył na spotkanie Kenta.

O krok od siebie zatrzymali się oboje. Mimo mroku płonące oczy odnalazły się nawzajem. Milczeli tkwiąc nieruchomo, jakby w obliczu cudu.

Zmarli powstają z grobu. Kent wyciągnął ręce. Murette zatoczyła się i upadła mu na pierś. Gdy drugi cień się zbliżył, znalazł ich siedzących na ziemi, splecionych kurczowo ramionami niby dwoje dzieci. Gdy zaś Kent uniósł głowę, spostrzegł, iż ma przed sobą Sandy Mc Triggera, człowieka, któremu ocalił życie w Athabaska Landing.

ROZDZIAŁ XXIV

SZCZĘŚCIE

Kent nie umiałby powiedzieć, kiedy wreszcie oprzytomniał po doznanym wstrząsie. Zamroczenie mogło trwać minutę lub godzinę. Zrozumiał tylko jedno: odnalazł Murette, trzymając ją w ramionach — żywą. Głos dziewczyny, rozedrgany, lecz jakże pełen szczęścia, powtarzał w kółko jedno słowo:

— Jeems... Jeems... Jeems...

Przy świetle gwiazd zapalających się na niebie McTrigger obserwował tych dwoje. Po chwili Kent zrozumiał, że stary mówi do niego i szarpie go za ramię. Wtenczas wstał trzymając Murette w pół. Potykając się — tak mu nogi osłabły — powiódł dziewczynę ku domowi. Oddychała ciężko, prawie łkając. McTrigger otworzył drzwi i wszyscy weszli do izby. Tu Kent puścił kibić Murette, odsunął się od niej nieco i z pewnej odległości objął wzrokiem swój odzyskany skarb.

Był już zupełnie przytomny, toteż widział ją wyraźnie i przeraził się zmianą, jaką w jej twarzy dostrzegł.

Murette była śmiertelnie blada. Twarz miała nadmiernie wychudzoną. Wielkie, nieomal czarne oczy i fala ciemnych włosów nad czołem potęgowały wrażenie tej bladości. Z dłoni, którą kurczowo przyciskała do gardła, pozostały tylko skóra i kości.

Wodziła po nim wzrokiem, niepewna jak gdyby, czy ma naprawdę przed sobą Jima Kenta. Nagle wyciągnęła ku niemu ramiona. Bez uśmiechu, milcząc, kurczowo opasała mu szyję i przytuliła twarz do jego piersi.

Ktoś wszedł do pokoju: ciemnowłosa, ciemnooka kobieta w średnim wieku. Zwróciła się do Kenta.

— Niech teraz lepiej odpocznie, proszę pana — rzekła. — Malcolm wszystko panu wytłumaczy. Nieco później będzie się pan z nią mógł zobaczyć znowu.

Głos miała stłumiony i łagodny. Na dźwięk jej słów Murette uniosła głowę i obu dłońmi po dawnemu musnęła policzki Kenta.

— Pocałuj mnie, Jeems! Mój Jeems... pocałuj...

ROZDZIAŁ XXV

TAJEMNICA SIĘ WYJAŚNIA

Nieco później, ściskając sobie wzajem ręce, Kent i Sandy McTrigger zostali w izbie sami. W uścisku ich była męska energia, zaufanie głębokie i szczerą, braterską miłość. Wyrażały ją również oczy, gdy usta milczały zamknięte.

Lecz oto twarz Kenta zdradziła niepokój. Murette? McTrigger zrozumiał i uśmiechnął się na pół rzewnie, na pół radośnie przenosząc wzrok ku drzwiom, za którymi znikły obie kobiety.

— Dziękuję Bogu, żeś przyszedł w porę — rzekł nie wypuszczając dłoni Kenta z uścisku. — Ona myślała, że umarłeś, i to ją zabijało. Musieliśmy jej pilnować po nocach. Uciekała nieraz z domu w dolinę. Twierdziła, że szuka ciebie. Ot i dziś właśnie...

Kent z trudem przełknął ślinę.

— Teraz rozumiem — oświadczył — to ona, żyjąca, prowadziła mnie tutaj!

Zdjął plecak z ramion. Siedli. McTrigger mówił coś, lecz jakże mało ważne były jego słowa wobec faktu, że Murette żyje, jest w pobliżu i że się wkrótce znów zobaczą. A McTrigger tłumaczył, że starsza z dwu kobiet jest jego żoną. Potem zaczął opisywać, jak to w przeprawie przez wodospad przypadek rzucił Murette na kłodę drzewną wczepioną między dwa głazy i jak pod wpływem wstrząsu kłoda wyzwoliła się z uwięzi i spłynęła z prądem, wlokąc dziewczynę o parę mil dalej i osadzając wreszcie na drugim brzegu rzeki. Lecz i to było niczym wobec pewności, że dzielą ich obecnie tylko drzwi zamknięte.

Kent słuchał jednak i rozumiał, że Murette szukała go rozpaczliwie wtenczas właśnie, gdy on sam leżał nieprzytomny w chacie Andrzeja Boileau, potem zaś znaleźli ją ludzie kapitana Laselle i wraz z nimi popłynęła na północ. Tu McTrigger zawahał się, wreszcie spytał:

— Aleś ty pewno szedł drogą na fort Simpsona, Kent, i O'Connor wszystko ci powiedział. Przecież on właśnie przyprowadził tu Murette przez Krainę Siarki.

McTrigger mówił o O'Connorze z zupełnym spokojem. Kent szeroko otworzył oczy i naraz porwał się na nogi.

— O'Connor!

Minęło dobre parę chwil, zanim McTrigger wyczytał prawdę z twarzy Kenta.

— Więc ty nic nie wiesz, Kent? — bąknął wstając również. — Nie widziałeś O'Connora? Nie spotkałeś nikogo z dywizji policyjnej w ciągu ubiegłego roku? Nie wiesz?...

— Nie wiem nic! — upewniał go Kent bez tchu. McTrigger jeszcze nie mógł uwierzyć.

— Ależ tak! — zapewnił Kent. — Kryłem się przecież. Unikałem kontaktu z policją.

McTrigger odetchnął głęboko i z podziwem pokręcił głową.

— Więc przyszedłeś tu, mimo żeś sądził, iż to Murette zabiła Kedsty'ego? No, no, trudno wprost uwierzyć!

Przerwał i zasępił się nagle. Wyraz żalu przemknął mu po twarzy.

— To właśnie O'Connor rozwikłał tajemnicę — zaczął znów po chwili, mówiąc jednak z pewnym wysiłkiem. — Słuchaj, Kent, dowiesz się zaraz o wszystkim. Lepiej, żebyś się dowiedział z moich ust niż z jej. Spójrz!

Podprowadził gościa do kominka, zdjął z półki nad paleniskiem ramkę z fotografią i podał ją Kentowi. Było to migawkowe zdjęcie, podobizna brodatego mężczyzny, stojącego na zalanej słońcem łące.

Kent krzyknął. Miał przed sobą tego samego człowieka, którego oglądał pamiętnej nocy z okna dworku Kedsty'ego przy świetle błyskawic.

— Mój brat — rzekł McTrigger, a głos mu się łamał. — Kochałem go bardzo. Przez lat czterdzieści byliśmy przyjaciółmi. To on zabił Johna Barkleya. I on także zabił inspektora Kedsty.

Zapadła głucha cisza. McTrigger unikał wzroku Kenta. Po chwili odezwał się znowu.

— Zabił tych ludzi, to prawda, ale nie zasłużył na miano pospolitego mordercy. Nie mordował, tylko własnoręcznie wymierzał sprawiedliwość. Ach, gdyby nie Murette, nigdy bym nie poruszał tych okropnych, dawno przebrzmiałych spraw. Nie lubię o nich nawet myśleć. To było dawno już... przed wielu laty Żyłem jeszcze po kawalersku, lecz brat mój, o dziesięć lat starszy, był już żonaty. Sądzę, że Murette kocha cię równie mocno, jak Maria kochała Donalda. To, co Donald czuł dla żony, trudno nawet nazwać miłością. To było po prostu uwielbienie. We trójkę przybyliśmy do nowych okolic, jeszcze przed gorączką złota w Dawson i Bonanza. Kraj był dziki, nieomal bezludny. Rzadko która kobieta ośmiela się mężowi towarzyszyć, ale Maria szła za Donaldem wszędzie. Jakaż ona była piękna! Miała te same oczy i włosy co Murette i w tym właśnie leżał cały dramat.

Szczegóły pomnę milczeniem — są zbyt straszne. Stało się to, gdy Donald i ja byliśmy na polowaniu. Trzej mężczyźni, biali mężczyźni, zauważ, Kent, biali! nadeszli z północy i poprosili o gościnę. To, co zastaliśmy po powrocie, doprowadziło nas nieomal do obłędu. Maria skonała w ramionach Donalda. Pozostawiając trupa w chacie ruszyliśmy za zbójami w pogoń. Ocalała ich śnieżycą. Z nadejściem zawiei szliśmy jeszcze po zupełnie świeżym tropie. Gdyby zadymka rozpoczęła się o dwie godziny później, ja również zasłużyłbym na miano mordercy.

Odtąd obaj z Donaldem obraliśmy zawód łowców ludzi. Po mozolnym wywiadzie ustaliliśmy, kim są trzej zbrodniarze. W dwa lata później Donald schwytał jednego nad Yukonem i zanim go zgładził, wy dobył z niego piśmienne zeznanie co do udziału tamtych w zbrodni. Poszukiwanie następnych zajęło lat niemało — trzydzieści z okładem. W miarę jak lata bieły, Donald starzał się zdumiewająco szybko i jednocześnie stracił rozum. Miesiącami przebywał poza domem, szukając wciąż niestrudzenie. Pewnego dnia podczas srogiej zimy trafił na chatę w puszczy, nawiedzoną przez zarazę. Mieszkańcy, Piotr Radisson i żona jego Andree, zmarli na ospę. Lecz dziecko ich, niemowlę, żyło. Donald zaopiekował się nim. To była Murette. McTrigger mówił dotychczas głosem równym, beznamytnym, patrząc uparcie w ogień. Teraz przeniósł raptem oczy na Kenta.

— Wielbił ją od początku — stwierdził z lekką chrypką w głosie — sądziłem więc, że miłość do dziecka zbawi Donalda. Częściowo dodawała mu istotnie sił i chęci do życia, lecz nie zgłuszyła pragnienia zemsty. Przenieśliśmy się bliżej na wschód. Znaleźliśmy tę cudowną dolinę i złoto nie tknięte przez innych. Pobudowaliśmy się tu, osiedlili. Ożeniłem się też wkrótce; dwoje dzieci przyszło na świat, lecz oboje zmarło. Odtąd pokochałem Murette bardziej jeszcze. Żona moja Anna, jako córka misjonarza, mogła udzielić Murette trochę nauk. Znajdziesz w tym domu wiele książek. Po pewnym czasie zrozumieliśmy jednak, że należy jej dać więcej wykształcenia. Murette pojechała więc do Montrealu. A potem...

Urwał znów i długo patrzył w oczy Kenta.

— A potem — podjął opowieść na nowo — Donald wrócił raz z Dawson półprzytomny i oznajmił, iż znalazł swoich ludzi. Jednym był John Barkley, bogaty spekulant leśny, drugim Kedsty, inspektor policji z Athabaska Landing.

Kent nie usiłował nawet głosu dobyć. Zdumienie całkowicie odebrało mu mowę. Wargi miał suche jak w gorączce. Skinął tylko głową na znak, że słucha i prosi, by mówić dalej.

— Wiedziałem, co się stanie, jeśli Donald przychwyci Barkleya lub Kedsty'ego — ciągnął McTrigger. — A zatrzymać go nie umiałem, ten człowiek oszalał po prostu. Zostało mi więc jedno.

Pierwszy ruszyłem w drogę, by tamtych dwu przestrec Wobec posiadanych przez nas dowodów nie mogli się do winy nie przyznać. Choćby byli najbogatsi, najpotężniejsi, musieli uciekać nie tylko przed zemstą szaleńca, ale również przed grożącym im więzieniem. Usiłowałem Donaldowi wyperswadować, że lepiej oddać sprawę do sądu, ale on żądał krwi. Ruszyliśmy w drogę jednocześnie, jako młodszy miałem jednak znaczną przewagę. Ale popełniłem błąd. Sądziłem, że zdążę pojechać jeszcze do Montrealu i wrócić, zanim on się zjawi. Chciałem uprzedzić Murette, że w razie jeśli ją odwiedzi, musi skierować jego myśli na inne tory. Ale Murette, odebrawszy list, w którym zapowiadałem swój przyjazd i wspominałem pokrótce, co mnie sprowadza, nie czekając mego przybycia ruszyła zaraz do Athabaska Landing.

Zamilkł na chwilę i zgarbił się, jakby się postarzał.

— Wiesz, co było dalej, Kent. Donald mnie wyprzedził. Przybyłem nazajutrz po śmierci Barkleya. Przypadek chciał, że poprzedniego dnia ustrzeliłem sobie cietrzewia na obiad, a łapiąc rannego ptaka zakrwawiłem sobie rękaw. Aresztowano mnie. Poszlaki były miażdżące. Protestowałem oczywiście zapewniając o swej niewinności, ale jedyną skuteczną obroną byłoby wskazanie istotnego zabójcy, a tego nie mogłem uczynić ze względu na brata.

Wypadki potoczyły się teraz szybko. Ty, przyjacielu, złożyłeś fałszywe zeznanie, by ocalić człowieka, który ci kiedyś drobną przysługę oddał. Jednocześnie niemal Murette przybyła do Athabaska Landing. Zjawiła się nocą niepostrzeżenie i udała się prosto do Kedsty'ego. Opowiedziała mu wszystko i pokazała kopię piśmiennego zeznania złożonego przez pierwszego współnika, dodając, że oryginał znajduje się w pewnych rękach. Zdobyła nad nim z punktu władzę prawie nieograniczoną. Obiecała, że będzie milczeć, lecz zażądała w zamian, by natychmiast wypuścić mnie na wolność. Jednocześnie ty złożyłeś swoje zeznanie i to dało Kedsty'emu wymarzoną okazję.

Kedsty wiedział, że ty kłamiesz. Wiedział, że Barkleya zabił Donald. Gotów był jednak poświęcić ciebie, by samego siebie ocalić. Murette została w domu inspektora strzegąc go przed zemstą szaleńca, gdy tymczasem ja szukałem brata w okolicach Athabaska Landing. Wiedzieliśmy wszyscy troje, co grozi inspektorowi Kedsty, jeśli Donald zaskoczy go znienacka. Wreszcie Murette łamała sobie głowę, jakby ocalić również ciebie.

Kochała cię, Kent! Pokochała ciebie od pierwszej chwili widzenia w szpitalu. Usiłowała wytargować twoją wolność, ale Kedsty się uparł. Bał się ściągnąć na siebie podejrzenia. A może mu się trochę rozum pomieszał z tego wszystkiego. Oświadczył, że raczej sam zawisnie na szubienicy, niżby miał cię puścić wolno. Wówczas wyswobodziła ciebie na własną rękę, a tejsze samej nocy Donald wtargnął do domu i zabił inspektora.

Murette pierwsza znalazła trupa. Donald znikł. Murette kochała cię, Kent, i serce jej krwawiło, gdyś ją posądzał o morderstwo. Ale bała się o Donalda, toteż tobie nawet do czasu wołała nie powierzać jego strasznej tajemnicy. Z czasem miała ci wyznać wszystko. Ale wodospad was rozdzielił...

— I O'Connor się tego wszystkiego domyślił? — pytał Kent bez tchu.

McTrigger przecząco ruszył głową:

— Właściwie nie. Przypadek mu dopomógł. Jak sobie przypominasz zapewne, Kedsty wysłał go do fortu Simpsona, ale O'Connor wyłamał się spod dyscypliny i uszedłszy zaledwie kawałek drogi zawrócił do Athabaska Landing. Na szlaku znalazł Donalda konającego. Sądzę, że chciała tego Opatrzność. Donald przed śmiercią odzyskał na chwilę zdrowy sąd i złożył przed O'Connorem wyczerpujące zeznanie. Teraz historia ta stała się głośna w całym kraju. Dziwne po prostu, żeś jej z niczyich ust nie słyszał.

Przerwano im. Drzwi się otwarły i weszła Anna McTrigger. Uśmiechała się pogodnie. Ciemne

oczy świeciły wesoło. Spojrzała w pierw na męża, później na Kenta.

— Murette czuje się znacznie lepiej — rzekła miłym, niskim głosem. — Chciałaby się z panem zobaczyć, panie Kent. Czy może pan przyjść teraz?

Kent wyszedł w ślad za nią, idąc półprzytomnie, jak człowiek pogrążony w głębokim śnie. Po chwili kobieta wróciła sama i miękko opasując ramieniem szyję męża, szepnęła mu na ucho:

— Wyjdźmy przed dom, kochany. Zobaczysz, że gwiazdy świecą dziś jaśniej niż kiedykolwiek, a Strażnik sprawia wrażenie istoty żywej. Chodź!

Ujęła go za rękę i wyprowadziła z izby. Gwiazdy tysiącami płonęły na niebie. Lekki powiew wiatru niósł ze sobą świeżość szczytów górskich oraz aromat rozkwitłych łąk. Milcząc szli we dwoje doliną. A tymczasem w głębi domu Murette odsłoniła przed Kentem ostatni rąbek tajemnicy.

Starczyło parę krótkich chwil spoczynku i spokoju, by na twarz dziewczyny wrócił dawny rumieniec. Wargi miała pąsowe i wilgotne. Siedząc w wielkim fotelu rozpuściła teraz włosy, aż opłynęły ją całą niby bogaty, migotliwy płaszcz.

— Patrz, Jeems — rzekła — patrz i porównaj. Oto pasmo włosów, którymi biedny Donald zadusił pamiętnej nocy Kedsty'ego. To pasmo to była jedyna pamiątka, jaką sobie zostawił po śmierci żony.

Wręczyła mu małą paczuszkę, obserwując, jak niechętnymi palcami rozwija papier. Chciała coś jeszcze mówić, ale jej przerwał gwałtownie:

— Rozumiem, rozumiem wszystko. Wzięłaś winę na siebie, by ocalić przybranego ojca, Murette! Skinęła głową.

— Tak, Jeems. Bałam się, że policja go schwyta. Ale postanowiłam wyznać ci prawdę, gdy już będziemy wszyscy troje bezpieczni. A potem... myślałam, żeś zginął, Jeems, i nie chciałam dalej żyć — sama. Ale teraz czuję się zdrowa zupełnie i taka silna, i taka szczęśliwa.

Uśmiechając się wyciągnęła ku niemu rękę.

— Jeems, doprawdy odzyskałam siły. Chcę pójść razem z tobą, by zwiedzić przy księżycu i gwiazdach tę naszą dolinę, twoją i moją. Idziemy, Jeems!

Po upływie paru chwil zaledwie kamienny Strażnik spoglądał już na nich. Murette pociągnęła Kenta na płaski głaz, gdy zaś usiadł obok, rzekła cicho:

— Wiesz, siadywałam tu od dziecka. Pokochałam tę górę. I myślałam sobie nieraz, że on tak ku wschodowi patrzy, bo czeka na coś czy na kogoś. Teraz już wiem. Czekał na ciebie. Jeems.

Zacisnęła mu dłoń wokół dużego palca w swój dawny, dziecienny sposób.

— Tam, w dużym mieście tęskniłam do naszej doliny i do jej kamiennego Strażnika. Zdawało mi się nieraz nocami, że mnie wzywa z powrotem. Jeems, czy widzisz tę grudę na jego ramieniu, przypominającą jakby wielkie epolety?

— Widzę.

— Za nią, w prostej linii o setki mil, leży złoty kraj: Dawson Yukon, osady pełne ludzi, gwar i cywilizacja. Istnieje tylko jedno przejście na tę stronę gór, lecz Strażnik zwraca się doń plecami. Chce być sam. Ja także chcę być sama — z tobą. Kent opasał ją ramieniem i przytulił mocno.

— Gdy nabierzesz sił — szepnął — ruszymy razem w stronę wson. Sądzę bowiem, że tam znajdziemy misjonarza... i...

— I co, Jeems?

— Zostaniesz moją żoną, Murette.

— O, tak, Jeems. O, tak! Ale słuchaj... — tu zamknęła mu ręce wokół szyi — wkrótce będzie pierwszy sierpnia.

— Za parę dni.

— A pierwszego sierpnia rokrocznie przybywają do nas w odwiedziny rodzice ciotki Anny.

Ojciec ciotki Anny jest... jest...

— Jest kim?...

— Jest misjonarzem, Jeems.

W chwili tej, pełnej najwyższego szczęścia, Kent podniósł oczy ku niebu. Wzrok jego padł na wyniosły szczyt górski i wydało mu się naraz, że dostrzega na kamiennym obliczu Strażnika przelotny błysk uśmiechu.

Przygotowano na podstawie bookini.pl